



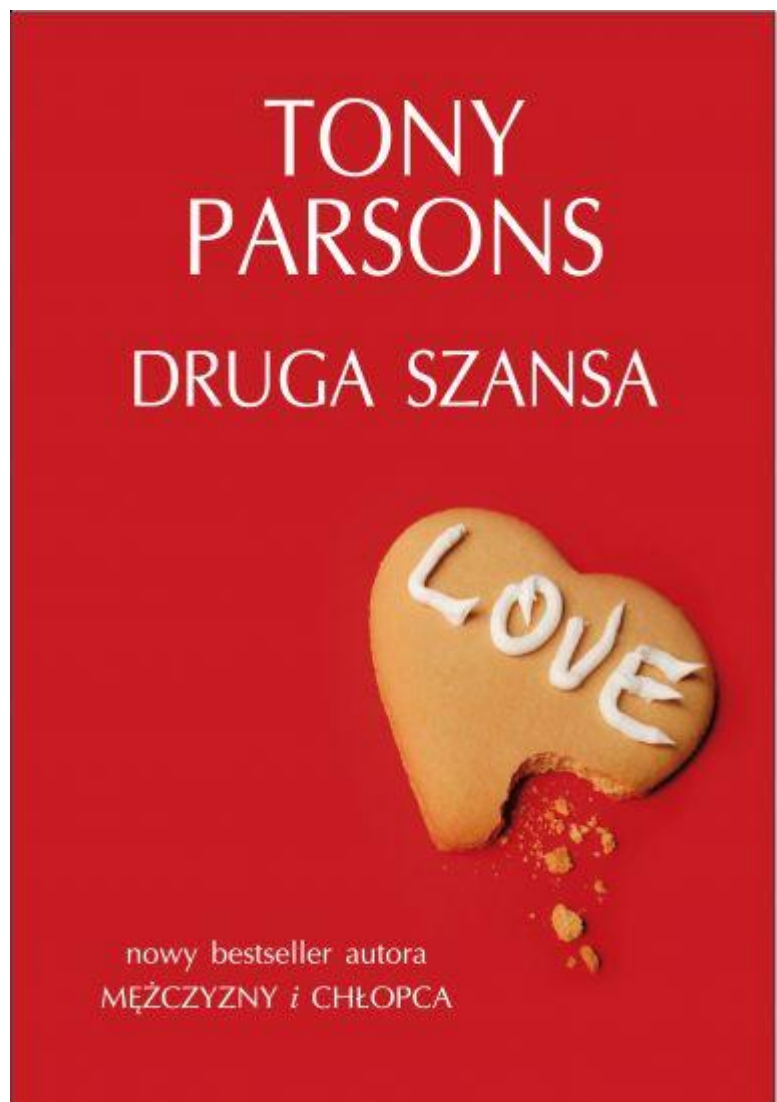
TONY PARSONS

DRUGA SZANSA

Z angielskiego przełożyli

JACEK MANICKI i ANDRZEJ

SZULC



Dla Yuriko

TLR

Wtedy dziewczynka Wendy po raz ostatni go widziała. Przez wzgląd na niego jeszcze przez jakiś czas starała się udawać, że nie odczuwa bólu, chociaż ten był coraz dokuczliwszy; i gnębiło ją, że jest wobec niego nie w porządku, kiedy odbierała nagrodę za wiedzę ogólną. Ale lata przyływały i odpływały, nie niosąc na swych falach tego wiecznego chłopca; a kiedy spotkali się znowu, Wendy była już mężatką i Piotruś znaczył dla niej tyle, co pyłek kurzu na pudle, w którym trzymała swoje zabawki z dzieciństwa. Wendy wydorosłała. Nie współczujcie jej. Zaliczała się do tych, którzy lubią dorośleć.

James Matthew Barrie, *Piotruś Pan i Wendy*

Część pierwsza

Kantyniarz kontra wieczny chłop

TLR

Kształt serca

Nie czuje się najpewniej za kierownicą tego samochodu. Jest za duży, jakiś obcy, za bardzo nasiąkł mężem. Żeby przynajmniej zamknęła się wreszcie ta baba z nawigacji satelitarnej.

Jeśli to możliwe, postaraj się zawrócić... postaraj się zawrócić.

Jest już późno. Nie zna okolicy. Wielkie bmw x5 sunie wzdłuż ciągu obskurnych sklepików, ohydnych supermarketów, nieoświetlonych podwórek otoczonych ogrodzeniami z drutu kolczastego i gdziekolwiek spojrzeć — małolaty. Stoją z rowerami w trzy-, cztero- albo więcej osobowych grupkach, ekranik włączonej komórki oświetla każdemu garść, twarze niewidoczne, skryte pod kapturami kurtek.

Postaraj się zawrócić...

— No, staram się przecież! — wykrzykuje i w tym samym momencie przemyka jej przez myśl, że chyba wypła o jedną lampkę wina za dużo.

Ścigają ją spojrzenia. Tak jej się przynajmniej wydaje. Jest za dobrze ubrana jak na tę dzielnicę, a samochód podejrzanie ekskluzywny. Powinna

była wziąć swojego poobtłukiwanego mini morrisa. Ale mąż wcisnął jej to bmw x5, argumentując, że będzie się w nim czuła bezpieczniej.

Aha, akurat.

Nagła zmiana w krajobrazie. Nie ma tu już obskurnych sklepików, supermarketów ani stad ponurych wyrostków. Jak okiem sięgnąć, żywego ducha. Po obu stronach ulicy rzędy — no właśnie, rzędy czego? — magazynów. Starych magazynów. Przysadziste, czarne bryły z długimi, powybijanymi świetlikami. Wyglądają tak, jakby nikt do nich od lat nie zaglądał, jakby murszały, jakby tylko czekały, aż ktoś je wyburzy, żeby coś pobudować na ich miejscu. Wielki samochód toczy się wymarłą ulicą. Do domu ma stąd kilka mil, ale czuje się tu obco.

Postaraj się zawrócić...

— Dobra, będę się starała! — krzyczy. — A ty się postaraj stulić ten rozgdakany dziób! I wtedy go zauważa.

Pośrodku jezdni leży chłopiec. Leży na boku, zwinięty w pozycji, którą można by określić jako płodową, gdyby nie wyciągnięta ręka, na której spoczywa głowa. Stopa kobiety przenosi się odruchowo na pedał hamulca, ale go nie wciska.

Ta wyciągnięta ręka podłożona jak poduszka pod głowę budzi w niej podejrzenie, że coś tu jest nie tak, zdecydowanie nie tak, że lepiej nie reagować, bo to pachnie kłopotami. Nie zatrzymuje się.

Stopa powraca na pedał gazu, gwałtowny skręt kierownicą i samochód w ostatniej chwili omija chłopca. Kobieta zerka w lusterko wsteczne i widzi, że tamten wciąż leży nieruchomo. Omal go nie przejechała, a on nawet

nie drgnął. I w tym momencie rodzi się w niej podejrzenie, że jednak była w błędzie.

To chyba ktoś naprawdę poszkodowany, myśli. Ktoś, komu trzeba pomóc.

Zatrzymuje samochód, sięga po telefon.

Nie ma sygnału.

Chcąc nie chcąc idzie w końcu za radą tej z GPS-u i zawraca, skręcając z ulicy na teren opuszczonej stacji benzynowej, gdzie nie ma już dystrybutorów, ale na dachu sterczy spłowiałe logo firmy petrochemicznej. Stację otacza niski murek, za którym powstało dzikie wysypisko śmieci. Wala się tam co niemiara rozmaitego baracha. Jakieś poroz-pruwane czarne torby, wypalony wrak samochodu, stary okopcony piec olejowy, przedpotopowe monitory komputerowe z powytłukiwanymi ekranami. Kobieta ma wrażenie, że jedzie po powierzchni Księżyca. Bmw x5 podskakuje na Bóg wie czym i teraz naprawdę można docenić jego zalety.

Zatrzymuje go obok dziury, jaka została w miejscu, gdzie stał kiedyś dystrybutor paliwa, i, nie gasząc silnika, pochyła się. Patrzy na chłopca, który leży nadal pośrodku jezdni w kałuży blasku reflektorów.

I wciąż nie jest do końca przekonana.

Nadal nie ma stuprocentowej pewności, czy on naprawdę ucierpiał w jakimś wypadku, czy tylko udaje. Nie może go tak zostawić. Ale z samochodu też boi się wysiąść.

Naciska więc znowu pedał gazu i rusza przez zrujnowaną stację benzynową. Wielki samochód kołysze się i podskakuje, a ona nie odrywa oczu

od chłopca, na którego padają światła reflektorów, a potem obserwuje go w lusterku wstecznym.

Chłopak nadal się nie porusza.

Ale ona już wie, że za żadne skarby nie wysiądzie. Skręca w ulicę, w stronę, z której nadjechała. Namolne babsko z GPS-u jest chyba wreszcie usatysfakcjonowane, bo milczy.

Na posterunku policji kobieta spotyka się z pełnym zrozumieniem. Chwala ją, że zachowała się roztropnie. W tamtej dzielnicy nie wysiada się z samochodu. Młody rudowłosy policjant ubrany po cywilnemu wraca z nią na miejsce, gdzie widziała leżącego na jezdni chłopca.

A po chłopcu ani śladu.

Policjant i kobieta wysiadają z nieoznakowanego samochodu. Może to nie tutaj? Nie, na pewno tutaj. Kobieta rozpoznaje stację benzynową z wyblakłym logo. Na pewno, powtarza.

I w tym momencie zauważają ciało.

Pewnie czaił się za murkiem otaczającym stację. Czekał, aż ona się zatrzyma. Czekał, aż wysiądzie, żeby pomóc jego koledze. Czekał, aż powodowana współczuciem popełni ten błąd.

A ona, zawracając, najechała na niego.

Na tego zaczajonego, tego, który czekał za murkiem.

Kobieta odwraca szybko wzrok, nie na tyle jednak szybko, by wcześniej nie zauważyć śladu opony na jego twarzy. Taki młody, myśli. Nastolatek jeszcze. Za młody, żeby skończyć, i to w ten sposób.

I nagle chłopak pojeźkuje. Kobieta i policjant przypadają do niego.

Jakimś cudem przeżył.

Jakimś cudem jeszcze żyje.

Ale to już agonia.

I w szpitalu, po stwierdzeniu zgonu nieznanego młodego mężczyzny przywiezionego na oddział ratunkowy, rudy policjant sporządza w obecności dyżurnej pielęgniarki protokoł dotyczący nędznej zawartości kieszeni denata. Odnotowane pozycje policjant wrzuca, jedną po drugiej, do plastikowej torebki.

Jakieś klucze. Karta Oyster. Portfel ze zdjęciem malucha, który, jeśli już nie raczkuje, to niedługo zacznie. Chłopczyk, uznaje policjant, ale tylko na tej podstawie, że śpioszki są niebieskie. Dziecko trzyma na kolanach jakaś kobieta. Widać jej dłonie, jej ramiona i tylko fragment uśmiechu.

Do tego plik kart kredytowych, każda na inne nazwisko. Hiroshi Yamamoto. Deirdre Smith. Elisabeth Kubler-Ross... Kilka zmiętych kartecek. I tani telefon komórkowy, wciąż włączony. Ekranik nagle się rozświetla, odzywa się melodyjka wybrana przez właściciela na dzwonek. To jakiś znany kawałek. Policjant odkłada telefon na ladę i wpatruje się w niego, stara się sobie przypomnieć, skąd zna ten motyw.

No i na koniec ta niebieska plastikowa karta. Policjant ogląda ją z obu stron.

Niewiele da się z niej wywnioskować.

Ot, plastikowa niebieska karta, a na niej kilka słów białym drukiem oraz czerwony kleks w kształcie serca.

Kobieta jest już w domu. Bezpieczna, niezagrożona, ale nadal roztrzęsiona. Popijają z mężem mocne drinki i on mówi, że dzięki Bogu nie uległa głosowi serca i została w samochodzie.

A ona sączy swojego drinka i też dziękuje za to Bogu.

Kiedyś, dawno, dawno temu, wysiadłaby, żeby podać pomocną dłoń potrzebującemu.

Ale człowiek, doroślejąc, wyrasta z takich altruistycznych odruchów serca.



Rozdział pierwszy

Czekałem w domu na powrót syna.

Pogapiłem się na wieczorne wiadomości i wyłączyłem telewizor. Przewertowałem gazetę i odrzuciłem ją na stolik. Otworzyłem drzwi kuchenne, zapaliłem i, stojąc nad progiem w rozkroku — jedną nogą w kuchni, drugą w ogródku, obserwowałem smużki papierosowego dymu ulatujące w nocne niebo. Raz po raz rozganiałem je ręką, żeby dokładniej zatrzeć ślady.

Ale przez cały ten czas czekałem.

Głowa już mi puchła od wyobrażania sobie, co złego może się przytrafić siedemnastolatkowi. Wypadek samochodowy. Szajbus z nożem. Proch przyprawiony jakąś trucizną. Za moim oknem dzieciak mordował dzieciaka, a mój syn gdzieś się tam teraz w tym piekiełku szlaja. Ale co ja mogę? Tylko czekać.

Rufus swój rozum miał, ale był zielony. I w tym właśnie rzecz. Nie w porywczoci czy głupocie, ale w młodym wieku. Ufałem mu, ale nie ufałem światu. W tym wieku trzeba mieć fart, myślałem i czekałem przy oknie, a jego jak nie było, tak nie było.

Mój siedemnastoletni syn. Prawie każdego wieczoru wsiadał do swojego zdezelowanego garbusa, którego kupił za własne pieniądze zarobione podczas wakacji, i dokądś jechał. Nie wiedzieliśmy dokąd, nie wiedzieliśmy po co, nic o nim nie wiedzieliśmy. Kontakt z dziećmi urywa się, kiedy przekraczają pewien wiek, i potem nigdy już nie daje się go odtworzyć. Z początku są waszą częścią, częścią przez lata od was nieodróżnialną, ale przychodzi taki czas, kiedy stają się osobami, które ledwo rozpoznajecie. I ten czas w naszym przypadku zbliżał się nieubłaganie.

Tak całkiem obcy jeszcze sobie z synem nie byliśmy. Miałem świeżo w pamięci, jak chodziliśmy razem do parku — tatuś z synkiem — na naukę jazdy na rowerku ze stabilizującymi kółeczkami. Ale ostatnio pojawiło się między nami to coś, ta tajemniczość z jego strony, ta skrytość, ten Wielki Kanion Niewiedzy, który zdawał się poszerzać i pogłębiać, ilekroć on wychodził z domu, nie mówiąc dokąd.

Kiedy minęła północ, ni stąd, ni zowąd nabrałem pewności, że już go żywego nie zobaczę. Ta pewność ścisnęła mi gardło i ugniotła pierś. Wyobraziłem sobie ze szczegółami, jak to będzie, kiedy przekażę tę tragiczną wiadomość jego matce i siostrze, jakie miny zrobią dziadkowie, przed oczyma stanął mi tłumek jego stremowanych kolegów z klasy i spoza niej, którym po raz pierwszy przyszło uczestniczyć w czyimś pogrzebie, i są o

wiele za młodzi, by pomyśleć, że na takie okazje wypada ubrać się na czarno. I dokładnie wiedziałem, jak to będzie. To będzie jak koniec świata.

I naraz usłyszałem jego samochód na podjeździe.

Światłami po oknach, gasnący silnik, trzask drzwiczek — siedemnastoletni chłopcy nie mają jeszcze wycucia w rękę — i jest, patrzy na mnie z góry, kontakt wzrokowy taki sobie, i jak zawsze z jednej strony odczuwam ulgę, a z drugiej czuję się jakoś nieswojo, kiedy tak nade mną stoi. Nie posiadamy się ze szczęścia, że widzę go w jednym kawałku, a jednocześnie onieśmiela mnie ten przerośnięty dzieciak-mężczyzna.

Co to za jeden? Skąd się tu wziął? Co toto ma wspólnego z tamtym berbeciem ostrzyżonym na beatlesa? Wspinam się na palce — a mam, przecież ponad metr osiemdziesiąt — i cmokam go w golony raz na tydzień, szorstki policzek. Mój jedyny syn obejmuje mnie w odpowiedzi, tak jakoś od niechcienia, i czuję jego twarde żebra.

Całowaliśmy się od zawsze, lecz w tym całowaniu i obejmowaniu pojawiło się ostatnio coś sztucznego, nieszczerego. Nie wiem skąd, ale wiedziałem, że Rufus wolałby, żeby ten od dawna wyprany z wszelkich znaczeń rytuał odstawić do lamusa. Ale takie odstawienie za wiele by znaczyło. Całowaliśmy się więc nadal na powitanie i obejmowaliśmy, tak po męsku, chociaż obu nas to krępowało. Odsunął się ode mnie.

—No — spytałem na tyle beztrosko, na ile tylko było mnie stać — gdzież to się bywało?

—Nigdzie. Tak sobie jeździłem — odburknął głębokim barytonem.

Wzdrygnąłem się. Coś niebywałego! Mój mały synek przemawia głosem olbrzyma! A na dodatek kłamie w żywe oczy jak najęty. Dobrze wie-

działem, że te wieczorne wypadki z domu nie są spowodowane samą chęcią pojeżdżenia sobie.

— Dobra — powiedziałem spokojnie i sięgnąłem po czekający na stoliku alkomat.

Było to prostokątne, plastikowe pudełko szarego koloru, z grubsza wielkości tych mieszczących się w dłoni urządzonek, w które na okrągło wlepia teraz gały każdy żuk i żaba, zamiast patrzeć sobie w oczy albo na gwiazdy. Z boku tego pudełeczka wystawał krótki ustnik wielkości mniej więcej niedopałka papierosa, który wdeptałem niedawno w ziemię pod krzewami róż.

— Nic nie piłem — zaprotestował Rufus urażonym barytonem, chociaż zalatywało od niego co najmniej małym browarkiem.

— I to ci się chwali — skomentowałem. — A zaraz będziemy to mieli czerwono na czarnym.

Nacisnąłem włącznik, na okrągłym wyświetlaczu alkomatu zamigotały czerwone cyferki i wskazanie zjechało z 200 na 000. Wręczyłem wyzerowany alkomat Rufusowi. Wziął głęboki wdech i dmuchał w ustnik, dopóki aparat nie wydał przejmującego pisku. Oddał mi alkomat i czekaliśmy w milczeniu, nie patrząc na siebie, otoczeni szumem miasta. Po chwili rozległo się kilka cichych pisków i na wyświetlaczu pojawił się wynik.

Trzy gołe zera; 000 — jak wygrywający rząddek w okienkach jednorękiego bandyty. Dziwne, pomyślałem. Przecież jedzie od niego jak z gorzelni. Potrząsnąłem alkomatem i znowu spojrzałem na wyświetlacz. Bez zmian, 000, a to oznaczało, że we krwi mego syna nie ma ani ułamka promila alkoholu. Przynajmniej raz w życiu powiedział prawdę.

Pokazałem wskazanie Rufusowi i kiedy kiwnął bez słowa głową, o mało nie porwałem go w objęcia. Tak ujęło mnie to kiwnięcie. Mój syn w ogóle był ujmujący, nawet w tym wieku, musiał to mieć po matce, bo po mnie z pewnością nie. Opanowałem jednak ten odruch i po chwili mi przeszło.

Życzyliśmy sobie dobrej nocy, nie ryzykując dalszych uścisków. Wstępując na schody, słyszałem, jak Rufus tłucze się po kuchni w poszukiwaniu czegoś na ząb. Żona spała. Ale wślizgując się do łóżka od swojej strony, wyczułem, że się poruszyła.

— Wrócił? — wymruczała sennie odwrócona do mnie plecami.

— Wrócił — powiedziałem. Słuchałem przez chwilę jej oddechu. To jej wystarczało. Sam fakt, że wrócił. Szczegóły Lary nie interesowały.

— Ale gdzie był? — spytałem i usłyszałem w ciemnościach ni to westchnienie, ni ziewnięcie.

— To dobry chłopiec, George — wymamrotała, zapadając z powrotem w sen. — Wrócił cały i zdrowy. Jest już w domu. Bezpieczny. Co za różnica, gdzie on bywa? — Nagle coś ją tknęło i uniosła się na łokciu. — Chyba nie kazałeś mu znowu dmuchać w alkomat?

— Mnie tylko zastanawia, gdzie on się szwenda po nocy — odburknąłem.

Przekręciłem się na bok i leżeliśmy tak, plecami do siebie, w pozycji dzikich zwierząt, które już dawno temu wymościły sobie legowisko. Czułem małą stopkę Lary na swojej łydce, wyczuwałem krągłość jej pośladków, w plecy uwierała mnie jej łopatka wypychająca spraną bawełnianą piżamę.

— I nie chcę, żeby coś mu się stało — dodałem bardzo cicho, chociaż ona już spała.

Podejrzewałem, że ja nie pośpię sobie tej nocy. Ale kiedy poczułem ciało Lary wpasowujące się w moje, obudziła się we mnie nadzieja, że sen w końcu jednak nadejdzie, bylebym tylko za wiele nie rozmyślał.

Och, jak marzyło mi się, żeby nasz syn był rozsądny i rozważny, żeby nie chodziły mu po głowie żadne durne pomysły, żeby dopisywało mu szczęście, którego tak potrzeba siedemnastolatкови, no i może żeby dla odmiany przestał kłamać.

Tego zresztą pragną wszyscy rodzice widzący, jak ich ledwie co opierzone nastoletnie pociechy bez kasku ochronnego i pasa bezpieczeństwa dają nura w świat dorosłych, łudząc się, że mają wszystko pod pełną kontrolą.

Cicha modlitwa przerażonego rodzica.

Że też nie da się zatrzymać czasu.

*

Rufus rzadko jadał z nami śniadania. Rano był niemal mityczną postacią, ulotną, za to hałaśliwą zjawą. Objawiał nam się czasami na mgnienie oka pod postacią zwalistego chłopiska z przewieszonym przez ramię, wypchanym podręcznikami plecakiem, z hukiem zatrzaskującego za sobą drzwi. No, wypisz, wymaluj — yeti.

Kuchnia pełna była zawsze dowodów wcześniejszej jego tam bytności. Odsunięte na środek krzesło. Samotny groszek coco pop na podłodze.

Brudna miska po chrupkach śniadaniowych czekająca w zlewozmywaku, żeby ktoś ją łaskawie umył.

Wkurzające to było. Bo dobrze wiedziałem, w czym rzecz. On się zwyczajnie migał przed moją owsianką.

Przyrządzałem dla rodziny jeden posiłek dziennie, a mianowicie śniadanie — smaczne, pożywne Scott's Porage Oats na mleku. Chodziło mi o to, żeby zdrowym początkiem zniwelować całą niezdrową resztę dnia potajemnie podpalane papierosy, fast foody, którymi dożywiałem się w pracy, nerwy. Co rano wznosiłem zaporę, która miała zapobiec mojemu przedwczesnemu zejściu. Zaporę z owsianki. Ale mój syn nigdy nie zaczekał, aż skończę.

Kiedy wycierałem ścierką jego miskę, do kuchni weszła Lara.

— Żebyś wiedziała, jak on mnie wnerwia — wywarczałem.

Cmoknęła mnie w policzek i poklepała po plecach.

— Ciebie ostatnio wszystko wnerwia, kochanie. — Spojrzała na sufit. — Ruby! — Brak odpowiedzi. Wyjęła mi miskę z rąk i kręcąc głową, odstawiła na szafkę. — Znowu się spóźni. Idź po nią.

Zmniejszyłem gaz pod owsianką, żeby nie wykypiała albo się nie przypaliła, i poszedłem na górę. Drzwi pokoju naszej córki były otwarte. Siedziała w szkolnym mundurku przed komputerem i zbierała włosy w koński ogon. Uśmiechnąłem się na widok wyrazu powagi na piętnastoletniej wersji idealnej twarzy jej matki.

To nieprawda, że wszystko mnie wnerwiało.

Córka nigdy mnie nie wnerwiała.

Na jej widok nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

I zawsze tak było.

Przez ekran monitora przewijały się jakieś apokaliptyczne sceny. Fabryki wydalające przemysłowe ścieki. Zdechłe ryby pływające brzuchami do góry w zatrutych rzekach. Autostrady zakorkowane smrodzącymi samochodami.

— Czy ktoś tu gustuje w owsiance? — spytałem, zapukawszy w otwarte drzwi.

— Już, już, tylko... — Zawiesiła głos, wpatrzona w topniejące czapy lodowe, gotującą się skorupę ziemską, w całą tę sodomę i gomorę. — Muszę tylko coś zobaczyć...

— Ruby — wpadłem jej w słowo — nie przejmuj się tak tym wszystkim. Do końca świata daleko.

Obejrzała się na mnie i skrzywiła.

— To nie żarty, tato. Aleja i tak się roześmiałem.

Kiedy zeszliśmy na dół, owsianka już delikatnie bulgotała, nabierając tej idealnej kremowej kleistości, o jaką mi właśnie chodziło.

Lara wróciła z ogródka, ściskając coś w garści. Pet. Rzuciła nim we mnie. Trafiła w sam środek klatki piersiowej, tam, gdzie zawsze odczuwałem ból. *Jęcza*, powiedziałaby mój tato. *Mała, wredna jęcza*.

— Wiesz, co to jest, George? — spytała, piorunując mnie wzrokiem. — To jest jeszcze jeden gwóźdź do twojej trumny. — Usiadła przy stole kuchennym i zakryła twarz dłońmi. Spojrzeliśmy z Ruby na siebie, a potem znowu na Larę. — Wielkie dzięki, George — doleciało zza jej dłoni. — Stokrotne, cholera, dzięki.

Po tych podziękowaniach nie pozostawało nam nic innego, jak tylko zabrać się do owsianki.

*

Rufus stał jeszcze na przystanku autobusowym.

Zatrzymałem wóz po drugiej stronie jezdni i opuściłem szybę. Rufus spojrzał na samochód z jego ojcem, matką i siostrą w środku, przygarbił się, skulił i spuścił wzrok. Na przystanku czekało jeszcze kilku chłopaków z jego szkoły, ale chyba nie byli to jego koledzy.

— Podrzucić cię? — zawołałem, przekrzykując szum rwącej między nami rzeki pojazdów porannego szczytu.

Oderwał oczy od chodnika i skrzywił się.

— Co?! — odkrzyknął. — Nie słyszę! Uczniowie na przystanku też teraz na nas patrzyli. Spojrzałem na siedzącą obok Larę.

— A o co ja miałbym go niby pytać? O co mógłbym w takiej sytuacji pytać syna?

Z tylnego siedzenia wychyliła się Ruby.

— O stolicę Peru. O to, czy jeśli Bóg naprawdę istnieje, to dlaczego na świecie jest tyle cierpienia. — Zachichotała, odchyliła się z powrotem na oparcie i z pobłażliwym uśmiechem obserwowała brata wypatrującego oczy za autobusem. — Tato, on chce jechać autobusem.

Miała rację.

Zostawiliśmy go więc na tym przystanku i zawieźliśmy do szkoły — pod samą bramę — Ruby. Na to mieliśmy jeszcze przyzwolenie. Cmoknęła nas nawet w policzki bez rozglądania się, czy ktoś aby nie widzi.

Przy niej trudno się było nie uśmiechać.

Ten uśmiech zgasł na mej twarzy dopiero, kiedy podbiegając do kolegów i koleżanek z klasy, zaczęła kołysać chudymi biodrami i podciągać szarą spódniczkę. Od jakiegoś czasu nosiła te białe szkolne zakolanówki, co mi się wcale nie podobało.

— Młoda damo! — zawołałem.

Odwróciła się, uniosła wyskubane brwi i ni to nam pomachała, ni to machnęła na nas niecierpliwie. Różnie można było ten gest interpretować. *No, czego jeszcze? Pożegnaliśmy się przecież. Spadajcie.* Ale tę szarą spódniczkę przestała podciągać. Dobre i to.

Kiedy włączaliśmy się znowu do ruchu, Lara pokazała na zegarek.

— Spóźnię się — powiedziała. Wcisnąłem guzik na desce rozdzielczej.

— Spokojna głowa — mruknąłem.

Kiedy zawyła syrena, zjechałem na przeciwny pas ruchu. Na widok dwóch błyskających na niebiesko świateł koguta na dachu wszystko, cała nadjeżdżająca z przeciwka hałastrą, umykało pod krawężnik. Słyszały mnie te dupki na długo przed tym, jak mnie zobaczyły, i czym prędzej usuwały się z drogi.

Życie byłoby piękne, gdyby tak zawsze.

— Przecież nie wolno ci tego robić — ofuknęła mnie Lara, kuląc się z zażenowaniem w fotelu pasażera, ale jednocześnie chichocząc.

Uśmiechnąłem się rad, że zaimponowałem żonie, dumny, że dowiozę ją do pracy na czas, i podjarany myślą, że niedługo zostanę wreszcie sam ze sobą i będę mógł się zaciągnąć pierwszym tego dnia szlugiem.

TLR

Rozdział drugi

Policjanci — podobnie jak Eskimosi mający z pięćdziesiąt różnych określeń na opisanie śniegu — mogą sypać jak z rękawa pogardliwymi określeniami tych, co nie wyściubiają nosa poza posterunek.

Posterunkowy Kocur. Kantyniarz. Bywalec. Wyświecony Zadek. Kustosz. Wysiadywacz. Makulaturnik...

To widowisko z rodzaju „światło i dźwięk”, jakie zaserwowałem Larze, było tylko na pokaz, bo w rzeczywistości byłem właśnie kimś takim. Kantyniarzem z wyświeconym zadkiem. Od niedawna, co prawda, ale jednak.

Reprezentowałem trzecie pokolenie. Policjantami byli i ojciec, i dziadek. Niestety, jeśli chodzi o cechy dziedziczne, to na służbie w policji w naszej rodzinie się nie kończyło. Dochodziły jeszcze kłopoty z sercem. Przeciwwskazania zdrowotne, orzekł facet w okularach. Takiej diagnozy dziadkowi i ojcu nigdy nie postawiono. I chociaż im pompki też szwankowały, to uniknęli upokorzenia, jakim jest degradacja do roli posterunkowego kocura z wyświeconym zadkiem. Ale czasy się zmieniają.

Kiedy dotarłem na posterunek, zaczynała się właśnie, zresztą jak co rano o tej porze, odprawa. Salka była pełna. W większości mężczyźni, parę kobiet, jedni w mundurach, inni po cywilnemu, i wszyscy, zażywając pierwszą tego dnia dawkę kofeiny, słuchali Cebuli — dymki, sierioży, sierżanta, zwanego również szyprem — omawiającego zadania na ten dzień. Ktoś z końca sali pomachał do mnie. Kawał chłopca po czterdziestce w takim garniturze, nieświeżej białej koszuli i pod nijakim krawatem, który przywodził na myśl uwieszonego u szyi zdechłego węża. Był to mój dawny partner, Keith, teraz w towarzystwie bystrookiego młodzieńca naprawdę robiącego notatki. Keith uśmiechnął się i wznosząc w toaście styropianowy kubek, ochlapał sobie herbatą brodę. Zaklął, otarł brodę grzbietem dłoni i tłumiąc ziewnięcie, przeniósł wzrok z powrotem na Cebulę.

— Co prawda do ostatniego weekendu karnawału jeszcze daleko, ale czas już o nim pomyśleć. Mam tu przed sobą oficjalne dane... — mówił Cebula przewracając stronę swojego notatnika — ...i z pewnością ucieszy was wiadomość, że jak wynika ze statystyk, w zeszłym roku ostatni weekend karnawału przebiegł bez poważniejszych incydentów.

Okrzyki niedowierzania z sali. Cebula łypnął spod krzaczastych brwi na audytorium i uściślił:

— Doszło wtedy do sześciu bójek z użyciem noża, czterdziestu ośmiu rozbojów i zadymy na średnią skalę, która miała miejsce pod dyskoteką Boombastic Dancehall Sound System, kiedy o trzeciej czterdzieści pięć nad ranem poproszono bawiących się tam przy muzyce Boba Marleya... — aplauz kilku młodszych funkcjonariuszy — ...o ściszenie muzyki. Na szczęście interweniujący wówczas dzielnicowy za miesiąc wychodzi ze

szpitala. Lekarze twierdzą, że nawet bez śledziony będzie nadal w pełni zdolny do służby. Tak się składa, że jakimś cudem żaden z tych incydentów nie miał bezpośredniego związku z karnawałowymi imprezami, a więc obywatele mogą bez obawy uczestniczyć wraz z całymi rodzinami, z żonami i dziećmi, w tym dorocznym, obfitującym w atrakcje festynie.

Nowy partner Keitha pracowicie to wszystko zapisywał. A ja słuchałem Cebuli i czułem się jak impotent w agencji towarzyskiej.

Diabli wiedzą, po co tu co rano przychodziłem. Nie, nieprawda — dobrze wiedziałem po co. Kiedy sierżant odczytywał listę skradzionych samochodów, włamań, kradzieży i napadów, czułem się tak, jakbym nadal ścigał złoczyńców, nadal brał udział w wojnie z przestępczością, nadal był mężczyzną, jakim pragnąłem być.

Kiedy odprawa się skończyła, wróciłem za swoje biurko, zapowiadając sobie, że nie będę spoglądał na zegarek. Jeśli tylko zdołam się przed tym powstrzymać, czas szybciej mi zleci. Zacząłem przeglądać MG-trójki — meldunki sporządzane dla prokuratury, żeby mogli tam na ich podstawie zdecydować, którym obwiesiom dobrać się na poważnie do skóry, a którym dać tylko w ucho i wypuścić.

Kiedy w pewnej chwili oderwałem wzrok od komputerowego monitora, zobaczyłem stojącego przed biurkiem Keitha.

— Nie wybrałbyś się ze mną na mały rajdzik po burdelach? — spytał, osuszając sobie serwetką świeżą plamę po herbacie na koszuli.

*

W fotelu pasażera służbowego samochodu siedział młody partner Keitha. Oderwał wzrok od swoich notatek i uśmiechnął się niepewnie, kiedy Keith wsunął głowę przez opuszczoną szybę.

— Mamy z podinspektorem Baileyem tajną akcję, która potrwa cały dzień — oznajmił Keith. — Zmywaj się.

Zdezorientowany młodzieniec wysiadł z samochodu.

—Ale... ale co ja mam robić, kiedy będzie pan z podinspektorem Baileyem na tej akcji?

—Nie wiem! — wybuchnął Keith z przesadną ekspresją. — Skąd mam wiedzieć?! Idź się umaluj. Rób, co chcesz.

Wsunąłem się na zwolniony fotel pasażera i usadowiłem wygodnie. Od razu lepiej się poczułem. Keith, rozjuszony, mrużąc coś pod nosem o zupełnym braku inicjatywy u tych młokosów, wsiadł za kierownicę. Zostawiliśmy młodego na parkingu. Z miną zbitego psa odprowadzał nas wzrokiem.

Kiedy byliśmy już na ulicy, Keith wyciągnął spod deski rozdzielczej dwa opakowania. Zestoretic. Amlodypina. Wycisnął po jednej tabletkę z każdego, połknął obie i popił sążnistym łykiem red bulla z puszki.

—Nadciśnieniu trzeba dawać odpór — wyjaśnił z uśmiechem.

—Starzejemy się — powiedziałem. Keith miał czterdzieści dwa lata, czyli był pięć lat młodszy ode mnie i wcale nie wyglądał na takiego, który ma już kłopoty ze zdrowiem. — Właściwie, to już jesteśmy starzy.

Keith roześmiał się i wyciągnął paczkę papierosów z nadrukowaną trupią główką. Trzymając jedną ręką kierownicę, a w drugiej swoje siekiero-

wate szlugi, zjechał na przeciwny pas ruchu i dał po garach tak, jakby naprawdę kogoś ścigał.

*

Zapłakana kobieta na chodniku.

— Zdjęcia moich dzieci — szlochała. — Miałam tam zdjęcia wszystkich moich dzieci.

— Co, komóreczkę rąbnęli? — spytał Keith, a kiedy kobieta kiwnęła głową, wskazał kciukiem za siebie. — Wskakuj, złociutka — rzucił wesoło. — Zaraz będziesz ją miała z powrotem.

W odzyskiwaniu skradzionych telefonów Keith był dobry. Specjalizował się w tym, można by rzec. Roztrzęsiona kobieta wsiadła posłusznie z tyłu i ruszyliśmy. Jechaliśmy wolniutko i przy stacji metra zobaczyliśmy grupkę chłopców w szkolnych garniturkach rozmawiających z chudym dwudziesto-parolatkiem. Gościu miał niezdrową, ziemistą cerę charakterystyczną dla uzależnionych od heroiny.

— Facet wyraźnie stroni od owoców i warzyw, nie uważasz? — skomentował Keith, zatrzymując wóz na podwójnej żółtej linii. Wysiedliśmy z samochodu i kiedy zbliżaliśmy się do grupki, zauważyłem w oczach chłopców strach. Podejrzany trzymał jedną rękę w kieszeni wyświechtanej kurtki, a drugą wyciągał do uczniów. Jeden z nich wręczał mu właśnie iPod'a. Keith, chichocząc, otoczył podejrzanego ramieniem.

— No i co my tu mamy grane? — spytał. Podejrzany drgnął i spojrział na niego zaskoczony.

— Eee... Nie wiem, panie władzo, kolega dawał mi dopiero do przesłuchania. — Oddał iPoda i zbierał się już w sobie, żeby dać w długą, ale przytrzymało go przyjazne ramię Keitha.

— Ściągamy sobie na to nielegalnie odjazdową muzykę, co? — Keith ruchem głowy wskazał na iPoda. — I co już zdążyliśmy ściągnąć? Trochę garażowego chłamu? Trochę Shirley Bassey? Ja, osobiście, uznaję tylko Clashów. — Powiódł wzrokiem po przestraszonych twarzach uczniów. — Nie słyszeliście o Clashach? To czego was teraz uczą w tych szkołach. No, zmykajcie nadrabiać braki w wykształceniu.

Posłuchali skwapliwie. Podejrzany też podjął jeszcze jedną próbą oddalenia się z miejsca zatrzymania, ale Keith objął go mocniej.

— Ty, koleś, zostajesz — powiedział. — Jesteś aresztowany.

Wolną ręką sięgnął do kieszeni kurtki podejrzanego i wyciągnął stamtąd zaostrowany na końcu śrubokręt.

— O, tym mi pomachał przed nosem — ożywiła się kobieta. Już nie płakała.

Keith z zainteresowaniem oglądał śrubokręt.

— Wybraliśmy się odkręcać jakieś śrubki? Coś podważać? Przeszukaliśmy mu resztę kieszeni. W każdej miał telefon

komórkowy. Kobieta rozpoznała swój i Keith poprosił ją, żeby wsiadła z powrotem do samochodu i tam zaczekała. Nie posłuchała.

Keith wciągnął złodzieja pod wywieszka z napisem ZAKAZ WSTĘPU na stację metra. Podążyliśmy z poszkodowaną za nimi. Słysząc tu było pociągi przemykające z turkotem głęboko pod nami. Keith przyparł gościa do ściany i wymierzył mu siarczysty policzek.

—Kradniesz komuś zdjęcia jego dzieci — wycedził. — Oj, nieładnie, nieładnie.

—Nie wolno panu tego robić — oburzył się podejrzany. — Policjantom nie wolno stosować brutalnych metod.

—Wolno, i to jakie im się tylko zamarzą, jeśli osoba stawia opór podczas aresztowania — wyrecytował Keith. — Widzieliście, jaki opór stawił, inspektorze Smith?

—Widziałem, i nie posiadam się z oburzenia, inspektorze Jones — odparłem.

—Ja znam swoje prawa! — wykrzyknął podejrzany. — Chcę się widzieć z moim adwokatem.

—Dobra, dzwoń do tego swojego adwokata — zgodził się wspaniałomyślnie Keith. — Ściągnij go tutaj z samego Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. — Znowu czerwieniał na twarzy. — Jemu też przyfasole. Zaraz, zaraz... — coś mu się przypomniało — ...niby z czego miałbyś zadzwonić do swojego adwokata? Przecież nie został ci ani jeden z tych skrojonych telefonów.

—Czy ja też mogę dać mu w gębę? — wtrąciła się kobieta stojąca obok Keitha.

—Ależ proszę się nie krępować! — zachęcił ją wylewnie Keith.

Chwycił podejrzanego za kołnierz i otwarta dłoń kobiety wylądowała z głośnym pacnięciem na nieogolonym policzku. Kobieta po raz pierwszy się uśmiechnęła.

—No i co, ulżyło? — spytał Keith. — Sądząc po minie, trochę ulżyło.

—Bardzo ulżyło — powiedziała kobieta. — Dziękuję.

— A tam, nie ma za co — zapewnił ją uprzejmie Keith i pociągnął podejrzanego do samochodu. Kobieta chciała mu jeszcze raz przyłożyć, ale ją delikatnie powstrzymałem. Byłem już myślami przy tych Himalajach papierkowej roboty, na które będziemy się musieli wspinać, ale kiedy znaleźliśmy się na ulicy, Keith puścił faceta. Jak wędkarz wrzucający z powrotem do wody kielbika, który nadział mu się na haczyk. Chichotał, odprowadzając wzrokiem podejrzanego usiłującego wtopić się w tłum przechodniów.

— Nie zgarniasz go? — spytałem zdziwiony. Keith pokręcił głową.

— Po kiego grzyba? Żeby za pół roku jakiś sędzia z bożej łaski mógł mu zasądzić parę dni robót publicznych? Szkoda czasu i atłasu. — Otworzył drzwiczki od strony kierowcy, ja od drugiej. — Więcej tu swojej mordy nie pokaże — dorzucił Keith ponad dachem samochodu. — A kto wie, może pójdzie po rozum do głowy i weźmie się do uczciwej pracy.

Kiedy wsiadaliśmy, podbiegła do nas poszkodowana kobieta, otworzyła klapkę komórki i pokazała nam zdjęcia swoich dzieci.

*

Do wczesnego popołudnia oszukiwałem sam siebie. Do wczesnego popołudnia udawałem, że znowu jestem prawdziwym policjantem. I naraz, wczesnym popołudniem, zobaczyliśmy wóz patrolowy.

Stał przed jakąś rudera i swoim żółto-granatowym ubarwieniem przydawał kolorytu całej tej zapyziałej uliczce. Było to bmw 530id, PZR — po-

jazd zbrojnego reagowania. Siedziała za nim w kucki, ze wzrokiem wbitym w budynek, trójka mundurowych. Keith zatrzymał się, wysiedliśmy i podszliśmy do nich.

Dwoje konstabli, mężczyzna i kobieta oraz inspektor, któremu na pagonach połyskiwały po dwie srebrne gwiazdki. Inspektor obrzucił nas obojętnym spojrzeniem i powrócił do obserwacji budynku. Uśmiechnęliśmy się z Keithem do siebie.

Panuje powszechna opinia, że policjanci po cywilnemu są w jakiś sposób wyżej postawieni od gliniarzy w mundurach. A prawda jest taka, że podlegamy temu samemu dowództwu. I tak, plasowaliśmy się z Keithem w hierarchii wyżej od dwojga młodych konstabli, ale już nie od mundurowego inspektora. I on chciał nam o tym przypomnieć.

—Założę się, że w posługiwaniu się zszywaczem to on nie ma sobie równych — powiedział do mnie Keith, nawet nie próbując zniżyć głosu. — Cholerne gryzpiórki. Jak myślisz, zabrał ze sobą długopis? — Keith zarechotał.

—W tym budynku znajduje się uzbrojony mężczyzna — powiedział inspektor, nie oglądając się. — Nazywają go Tęczowy Ron. Przykucnijcie lepiej, bo łby wam poodstrzela.

— A co to za jeden ten Tęczowy Ron? — spytał Keith. Spojrzałem na mundurowego inspektora. Prawdopodobnie

był po studiach. Ja miałem tylko ukończoną szkołę średnią, a Keith chyba nawet i tego nie. Odchrząknąłem i wyciągnąłem papierosy. Przypaliliśmy je sobie z Keithem, kiedy huknął strzał. Daliśmy nura za wóz patrolowy.

— Ma karabin! Ma karabin! — wydarł się inspektor.

— Zamknij się, Sherlocku — mruknął Keith.

W głębi ulicy pojawił się jakiś szczawik i widząc, że Icryjemy się za samochodem, zaczął obrzucać nas wyzwiskami. Psy, pałkownicy, zasrańce. Normalka. W swoim żargonie nazywaliśmy takich — obywateli łączących policję z bezpiecznej odległości — stujardowymi chojrakami. Kiedy patrzyliśmy na niego z Keithem, mój wzrok przyciągnęło nagle coś błyszczącego w rynsztoku. Podczołgałem się tam na czworakach i wziąłem to coś w dwa palce. Przypominało maleńki srebrny grzybek. Pokazałem ten grzybek Keithowi i ten parsknął śmiechem.

— To sztyft do wiatrówki kaliber dwadzieścia dwa — powiedziałem.

Keith otarł z oczu łzy rozbawienia.

— To co, robimy porządek z tą Al-Kaidą? Wstaliśmy. Keith wręczył sztyft mundurowemu inspektorowi.

— To na pamiątkę twojej pierwszej strzelaniny powiedział i ruszyliśmy w stronę rudery.

— Wyłaż z rękami w górze! — krzyknąłem zupełnie jak rasowy policjant, a nie jakiś tam kantyniarz. — Bo jak nie, to wsadzę ci tę pukawkę w dupę.

W drzwiach pojawił się brodaty menelik z wiatrówką w ręku. Do tych drzwi prowadziły kilkustopniowe schodki. Menelik zatrzymał się na ich szczycie i patrzył na nas z góry. Włosy miał rozwichrzone, skołtunione, na sobie stary płaszcz. My też się zatrzymaliśmy.

— Tęczowy Ronie — krzyknął Keith — czy jak cię tam zwa! Odrzuć, synu, tę pic-giwerę!

Facet albo był włóczęgą, albo uciekinierem z wesołego miasteczka. Tak czy owak, wyglądał na takiego, co nie ma nic do stracenia. Niespodziewanie, kiedy strach zaczął mi już jeżyć włoski na karku, gość odrzucił wiatrówkę. Zsunęła się z klekotem po schodkach. Keith schylił się, żeby ją podnieść. Ja nie spuszczałem oka z Tęczowego Rona i w pewnej chwili zauważyłem, że zerka w głąb uliczki. Też tam spojrzałem. Uliczką dreptała w naszą stronę jakaś starowinka. Szła pewnie do supermarketu przepuścić resztkę emerytury na dwie puszki kociego żarcia. Tęczowy Ron zaczął schodzić po schodkach. Obejrzałem się przez ramię; mundurowi kryli się nadal za swoim pojazdem, wykukując zza niego co i rusz, żeby sprawdzić, jak przebiega akcja. Staruszka zbliżała się, mruczając coś do siebie pod nosem. Uniosłem rękę. Nie widziała mnie. Była coraz bliżej. Uniosłem rękę jeszcze wyżej i krzyknąłem, żeby się zatrzymała. Miała chyba wyłączony aparat słuchowy, bo się nie zatrzymała. Tęczowy Ron zszedł z ostatniego stopnia schodków w momencie, kiedy Keith się wyprostowywał, oglądając podniesioną wiatrówkę. Staruszka wdrep-tała między nas. Tęczowy Ron wsunął brudną łapę za pazuchę swojego płaszcza.

Sięga po nóż? — przemknęło mi przez myśl.

— No nie, tego nie można nazywać bronią z prawdziwego zdarzenia — powiedział Keith, uśmiechając się z lubością do wiatrówki. Podniósł wzrok w momencie, kiedy w ręku Tęczowego Rona pojawił się pistolet z krótką lufą wyczarowany jakimś cudem spod płaszcza. — O kurczę blade — dokończył Keith, uskakując w bok. — Ale to już można.

Tęczowy Ron złapał babcię za kołnierz ze sztucznego futra i, wymachując czarnym pistoletem przed jej twarzą, wrzeszczał do nas, żebyśmy się cofnęli, my z Keithem z rękami w górze krzyczeliśmy do niego, żeby się uspokoił, nie robił głupstw, mundurowy inspektor za nami wzywał przez radio posiłki, a stujardowy chojrak w głębi ulicy zrywał boki ze śmiechu.

Patrzyłem Tęczowemu Ronowi w oczy płonące za opadającymi na czoło, pozlepianymi kosmykami. W konkursie na sobowtóra Charlesa Mansona pierwsze miejsce miałyby murowane.

Wyglądał na zdesperowanego, zdawał sobie chyba sprawę, że idzie na dno, i to czyniło go niebezpiecznym. Cofnąłem się o krok. I wtedy on pchnął staruszkę w naszą stronę. Przewróciła się biedaczka, a we mnie na ten widok zagotowała się krew.

I już go nie było. Wbiegł z powrotem po schodkach i zniknął w budynku. My za nim. Kiedy wpadliśmy do sieni, Tęczowy Ron był już w połowie schodów. Kontynuowaliśmy pościg, ale Keith dotarł tylko do półpiętra i tam spuchł. Złapał się za klatkę piersiową i sapał jak parowóz.

— Muszę zapalić — usłyszałem za sobą jego zdyszany głos, czyli byłem teraz zdany na siebie. Jak na wyniszczzonego menelika Tęczowy Ron kondycję miał godną pozazdroszczenia. Wbiegłem za nim na sam strych. Świetlik był otwarty. Wylazłem przez niego na dach, z dołu dobiegł mnie pomruk miasta. Tęczowy Ron obrócił się na pięcie i uniósł pistolet, mierząc mi prosto w twarz.

I przeszedł mi cały gniew. Jak ręką odjął. Odczuwałem tylko strach. Nie chciałem umierać na tym dachu. Zezując w wylot krótkiej czarnej lufy, próbowałem coś powiedzieć, ale nie byłem w stanie wykrztusić słowa.

Pistolet wyglądał na dziecinną zabawkę. Perwersyjną, paskudną zabawkę. To jakieś tanie, tandetne barachło, wmawiałem sobie. Diabelskie bawidełko. Zwyczajna replika z czarnego metalu tkwiąca w czerwonym, spoconym łąpsku. I przywodząca na myśl koniec świata.

Wycelowana w moją twarz.

Tęczowy Ron, widząc w moich oczach przerażenie, nabrał śmiałości i pewniejszy już siebie, biorąc to za dowód, że sprytnie wszystko rozegrał, zbliżył się i przyłożył mi lufę do nasady nosa. Pistolet, owszem, może i wyglądał na zabawkę, ale wcale nie musiał nią być.

Nacisnął spust i w tym samym strasznym momencie poczułem erupcję bólu w klatce piersiowej.

Był to ból rozpierający, wszechogarniający, bijący ze środka piersi i rozprzestrzeniający się na cały organizm, nieznany mi dotąd, nieludzki, obezwładniający rodzaj bólu, bólu, przy którym wysiadają zmysły.

Rozsadał mnie i jednocześnie zgniatał. Ciśnienie było niewyobrażalne, powalające, i rosło z każdą sekundą, w miarę jak ten ból przejmował nade mną władzę. Zupełnie jakby miażdżyło mnie jakieś niewidzialne, gigantyczne imadło, jakby wyciskano nim ze mnie życie, jakby sam ten ból próbował mnie uśmiercić, i już wiedziałem, że to już, że wybiła moja ostatnia godzina.

Zemdlałem.

Ocknąłem się, kiedy wprawne ręce układały mnie na noszach. Tęczywy Ron leżał twarzą do ziemi, jakaś policjantka skuwiała mu ręce na plecach kajdankami. Ponieśli mnie. Przez świetlik, potem schodami w dół. W klatce piersiowej nadal odczuwałem dławiący ból, ale silniejszy od tego bólu był strach.

Pomyślałem o żonie. Pomyślałem o synu i córce. Byłem im potrzebny. Nie chciałem jeszcze umierać. Kiedy wsunięto mnie z klekotem składających się nóżek noszy do karetki i ta natychmiast ruszyła, łzy popłynęły mi z oczu. I poprzez tę kurtynę łez zobaczyłem twarz Keitha.

— To była atrapa — powiedział. — Słyszysz mnie, George? Zwyczajna atrapa. Nie było co pękać. Kapujesz?

Niezupełnie kapowałem.

Keith mówił o pistolecie.

A mnie się roilo, że mówi o moim sercu.

Rozdział trzeci

Można sobie wyobrażać śmierć jako wieczne odpoczywanie. Tak, można. Jako senny niedzielny poranek, który rozciąga się w nieskończoność, a ty drzemiesz sobie i drzemiesz, i tak aż po kres czasu. Niczego sobie wizja śmierci. Co tam niczego sobie — całkiem do rzeczy wizja.

Co więc sprawia, że nie wyobrażamy sobie śmierci w ten sposób? Otworzyłem oczy i już wiedziałem.

Przy szpitalnym łóżku czuwała moja rodzina. Musieli tu koczować od dłuższego czasu, bo na wyspanych mi nie wyglądali, a to znaczyło, że źle ze mną. Moja żona, nasz chłopiec, nasza dziewczynka.

Wielki, ocieężały Rufus, już kawał chłopca, a przecież tyle jeszcze przed nim lat dorastania. I Ruby, moja kochana córeczka, z gładkim liczkiem, ni to jeszcze dziecko, ni to już kobieta. No i Lara, moja żona, przy której planowałem dożyć późnej starości, bo niby przy kim miałbym jej dożywać? No i teraz nie dożyję ani przy niej, ani przy nikim innym.

To właśnie ta trójka nie pozwalała mi postrzegać śmierci jako drzemki w niedzielny poranek, z której nigdy się nie wybudzę. Lara, Rufus, Ruby.

Ci, których bym zostawił. To oni stali na przeszkodzie, oni nie dawali mi w tę drzemkę zapaść. Chciało mi się płakać nad nimi i nad sobą, bo kochałem ich całą tą swoją pozatykaną, zrujnowaną, żalosalną namiastką serca.

Przyszedł lekarz i zakrzętnął się. Przejrzał karty choroby, popatrzył na mnie sponad okularów do czytania. A ja tymczasem całkiem już oprzytomniałem i stwierdziłem, że tłoczy się za nim cała sfera innych lekarzy. Niedokończonych lekarzy, którzy uczą się dopiero swojego fachu i wpatrują w niego jak w guru całej medycznej wiedzy, i we mnie, jak w preparat umieszczony w słoiku.

— Mężczyzna, czterdzieści siedem lat, choroby serca w rodzinie, doznał zawału przed... spójrzmy... przed trzema dniami.

Trzy dni? To już naprawdę trzy dni? Lekarz uniósł pod światło wiotką celuloidową kliszę i zaczął wodzić palcem po jakichś rozmazanych plamach. Niedokończeni lekarze zbili się w jeszcze ciaśniejszą gromadkę i wyciągnęli szyje.

— O, tutaj, widzicie? Tętnica wieńcowa była już uszkodzona przez kaszak. Wszyscy widzą? Ścianka zdrowej żyły jest gładka i krew nie będzie na niej krzepnąć. A ta wygląda jak wnętrze starego czajnika obrośnięte kamieniem, prawda? — Niedokończeni lekarze przytaknęli skwapliwie. — To doprowadziło do skrzepliny — tworzenia się zakrzepów krwi, które w końcu zablokowały tętnicę, pozbawiając segment mięśnia sercowego dopływu tlenu, czyli dosłownie go udusiły. — Odłożył wiotkie czarno-białe zdjęcie. — I stąd ten zawał.

Mówił o mnie, a ja, nie wiedzieć czemu, słuchałem go z niezmaconym spokojem. Może to przez te leki, którymi mnie faszrowano. Lekarz spojrział sponad okularów do czytania na Larę.

— Od kiedy jest na KLOP-ie? — spytał i Lara się stropiła. — Na Krajowej Liście Oczekujących na Przeszczep — przetłumaczył i w jej oczach pojawił się błysk, straszny błysk. Bo już wiedziała, o czym on mówi. O czymś, co stało się w naszej rodzinie tematem tabu.

— Od trzech miesięcy — odpowiedziała. — Mogłoby z tego wynikać, że problem jest nowy, ale nie jest. — Mówiła za szybko, prawie bełkotała. Chwyła mnie za rękę, tak jakby to miało w czymś pomóc. I, o dziwo, pomogło. — Kłopoty z sercem ma od wielu lat — dokończyła już spokojnie.

Spojrzałem na Rufusa i Ruby, którzy wycofali się pod ścianę, kiedy weszli lekarze. Siedzieli w kącie na plastikowych krzesłach wystraszeni i onieśmieleni. Jedno siedemnaście lat, drugie piętnaście, a oboje wyglądali teraz jak małe dzieci. W niczym nie przypominali nastolatków.

Żadnych sztubackich figli-migli na sali szpitalnej. Żadnych porozumiewawczych uśmiezków.

— Jakie są rokowania? — spytała lekarza Lara i któremuś z naszych dzieci wyrwał się pojedynczy szloch.

Chłopcu.

— Wszystko zależy od tego, jak długo będzie się trzymał — odparł lekarz i uśmiechając się do Lary, zaczął się wycofywać w stronę drzwi. — Tysiące osób nie dożywa nawet wciągnięcia na listę. Jeden na dziesięciu oczekujących na przeszczep umiera, zanim znajdzie się dawca. —

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Nie był to uśmiech najszczęśliwszy, ale tak ogólnie facet mi się podobał. Nie jego wina, że to, co my postrzegaliśmy jako koniec świata, dla niego było chlebem powszednim. Taka praca. I był to uśmiech na tyle szczery, że dodał Larze otuchy, wyraźnie ją podbudował. Część niedokończonych lekarzy wyszła już na korytarz. Ich wielki szaman zatrzymał się jeszcze w progu i zwracając znowu do Lary, zupełnie jakby mnie tam nie było, ewentualnie jakbym leżał w śpiączce albo był niewidzialny, powtórzył: — Tak więc, im dłużej będzie się trzymał, tym większe szanse.

Dobra nasza.

To już coś.

Nie rozumiałem, dlaczego Lara, zamiast się ucieszyć, tak się po tych słowach rozkleiła. Pochyliła się nade mną, objęła, wprawiając w niebezpieczne wibracje kroplówkę, do której byłem podłączony, i wyznała mi na ucho coś, co oboje od początku powinniśmy sobie na głos wyznawać, ale jakoś nigdy się nie składało. Teraz pluję sobie w brodę, że przez wszystkie te lata sam nie powtarzałem jej tego dzień w dzień. Tak zaniedbać sprawę. Tyle przez to stracić.

— Kocham cię — szepnęła, głaszcząc mnie po potylicy. — Nic nie mów. — Uśmiechnęła się. — Wiem, że ty mnie też.

Potem wyprostowała się. Silna kobieta była z tej mojej żony. I dzielna.

— No, powiedzcie coś ojcu — zakomenderowała.

Ruby przypadła do mnie ze zdławionym okrzykiem: „Tatusiu!”, wybijając mi na moment swoim ciężarem powietrze z płuc. Objąłem ją wolną

ręką, tą, w którą nie była wbita igła kroplówki, i poczułem zapach szampynu, którym umyła niedawno swoje długie, kasztanowe włosy.

Przyszła kolej na jej brata.

Rufus z jakimś takim ociąganiem ruszył w moim kierunku. Nieswojo się czuł w tej szpitalnej salce, w swojej młodzięcej skórze, w całej tej sytuacji. Nie chciał tu być, coś go odrzucało, chyba najchętniej dałby stąd drapak i zaszył się w swoim pokoju. Ale Lara chwyciła go za rękę i doprowadziła do mojego łóżka. Dotknął kołdry i uniósł ją do ust. Rozpłakał się. Ciągnął tę kołdrę do siebie z takim zapamiętaniem, że odkrył mi nogi i poczułem na stopach mroźny powiew klimatyzacji.

W jego łzach było coś rozdzierającego. Już nie dziecko, a płakał jak dziecko. Przypomniałem sobie pewien wypadek na placu zabaw. Rozciął sobie wtedy głowę. Kolorowe drabinki całe we krwi, a my w te pędy na pogotowie. To właśnie jest najgorsze, kiedy ma się dzieci. Robisz wszystko, żeby nic złego im się nie przytrafiło, a mimo to się przytrafia. A jak już się przytrafi, starasz się przejść nad tym do porządku dziennego, co nie zmienia faktu, że się przytrafiło.

Poklepałem go po grzbiecie dłoni i zadziwiło mnie, ile włosków mu tam wyrosło. Istny las deszczowy. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio dotykałem jego dłoni.

— Rufus — wymruczałem — kiedyś ty tak porósł sierścią? Cofnął rękę jak oparzony, a mnie nagle strasznie zachciało

się spać. Powieki same mi opadły i chociaż ból wybił wielką dziurę w morfinie, zasnąłem.

*

Jak George poznał Larę.

Szedłem sobie przed dwudziestu laty Shaftesbury Avenue w kierunku Piccadilly Circus. Był wczesny wieczór, tłumy przechodniów rozstępowały się z szacunkiem przed umundurowanym funkcjonariuszem policji, chociaż ten zaledwie przed rokiem ukończył szkolenie i był jeszcze surowy jak sushi. I naraz usłyszałem za sobą kobiecy głos:

— Przepraszam! Halo! Bardzo przepraszam! Obejrzałem się i zobaczyłem blondynkę, niewysoką, ze

swingującymi włosami — no wiecie, takimi rozwichrzonymi, zdającymi się tańczyć przy każdym ruchu swinga — które w jednej chwili mnie urzekły. Włosami, które nie poddają się układaniu w żadną fryzurę, tylko swingują każdy sobie. Takie właśnie miała włosy. Nie za długie, nie za krótkie, do ramion. I swingujące. Tego rodzaju szczegóły stanowią fundament, na którym budujemy swoje życie.

Była w dresie, co nie przeszkodziło mi zauważyć, że ciało pod nim ma gibkie i jędrne. Filigranowa, a przy tym wysportowana i tak ogólnie seksowna. Niewiele jej było, za to wszystko w dobrym gatunku. Za dobrym jak na mnie, pomyślałem więc, że to wołanie jest skierowane do kogoś innego. Może do chłopaka, który nie zatrzymał się w miejscu, w którym się umówili? Przyjaciela, którego wypatrzyła w tłumie? Wystarczył jeden rzut oka i już wiedziałem, że to nie moja liga. Poza tym nie wyglądała na wzburzoną. A większość obywateli podbiegających do umundurowanego funkcjonariusza policji szuka u niego pomocy.

Ale Lara pomocy nie szukała. Miała coś dla mnie. Dogoniła mnie zdyszana i uśmiechnięta. I kiedy wręczała mi bilety, poznałem ją. Była tancerką.

Pracowała w teatrze, z którego właśnie wracałem, spędziwszy tam służbowo ponad godzinę. Dostaliśmy zgłoszenie, że w garderobach teatru — i tych męskich, i tych damskich — buszuje złodziej. Trochę to trwało, ale w końcu, wyteżając swoje detektywistyczne talenty, wytypowałem podejrzanego — stróża, w którego szafce znalazłem siedemnaście wypchanych reklamówek od Prądy, kilka eleganckich zegarków i dwadzieścia kart kredytowych na różne nazwiska. Przymknęliśmy gościa i zespół — ci ładni chłopcy i te dziewczęta jak malowanie u progu kariery — był nam bezgranicznie wdzięczny. Patrzyłem na dwa sprezentowane mi bilety tak, jakbym pierwszy raz w życiu widział bilet.

— To na dzisiejszy wieczór — powiedziała. — Niech pan zabierze przyjaciółkę.

Zabrałem Keitha. Wówczas jeszcze konstabla Keitha Roo-neya. Siedzieliśmy w pierwszym rzędzie, wciąż w mundurach, Keith chrupał frytki, a ja starałem się nie stracić jej z oczu w kłębiącym się na scenie tłumie wieśniaczek, które chcą zlinczować Jeana Valjeana przyłapanego na kradzieży lichtarza staremu księdzu, i tak było, dopóki nie wcieliła się z kolei w rolę jednej z pięknych pań nakłaniających Fantynę do zostania prostytutką, bo to rozwiąże jej problemy. Od tej chwili nie miałem już trudności z odróżnieniem jej od innych aktorek na scenie. Żadna bowiem nie poruszała się z taką gracją jak Lara.

Była przede wszystkim tancerką. W tym zawodzie na samym tańcu się nie kończy, trzeba być wszechstronnym, a jej głos — o czym później się dowiedziałem — pozostawiał sporo do życzenia i jeśli śpiewała, to tylko w chórkach siedemnastowiecznych francuskich wieśniaczek albo ladacznic. Za to w tańcu nie miała sobie równych. Nie wiedziałem, skąd się bierze ta moja opinia, bo się na tym przecież nie znałem. Wyczuwałem to intuicyjnie.

Oczywiście w *Nędznikach*, poza scenami z wesela Kozety z Mariuszem, niewiele jest tańca. Ludzie umierają tam głównie w tragicznych okolicznościach, a ci, którzy przeżyli, zbierają się i szczerze ich opłakują. Ale mnie zachwycał sposób, w jaki ona się poruszała, nawet nie tańcząc. Po masakrze wyelegantowanych studentów wcieliła się w rolę kobiety śpiewającej pieśń o tym, że nic się nigdy nie zmienia i nie zmieni, a ja nie mogłem oderwać od niej oczu. Na koniec, kiedy Jean Valjean konał na rękach swojej zrozpaczonej córki, a Lara podeszła na skraj sceny jako anioł w świeżo wypranej koszuli nocnej, siedzący obok mnie Keith zaszlochał cicho w paczkę frytek.

*

Obudziłem się na szpitalnym łóżku. Za oknem ciemno, w salce odór alkoholu. Zajęczałem, przekręciłem się na bok i poczułem, jak napina się wężyk wbitej w moje ramię kroplówki.

Był środek nocy. W kącie włączony telewizor z przyciszoną fonią. Myślałem z początku, że jestem sam. Ale patrzę, a tu Keith. Drzemie na

krzeselku oblany poświęcą ekranu, spomiędzy nóg sterczy mu butelka wódki.

Przeniosłem wzrok na telewizor. Jakiś kanał sportowy. Same gole. Wszystko, co nudne, wycięte. Fizjonomie graczy nic mi nie mówiły. Barwy klubowe tudzież. Jakaś z Trzeciego Świata liga. Rosły napastnik przelobował piłkę nad wybiegającym bramkarzem, a potem w te pędy do kamery. I zanim porwali go w objęcia koledzy z drużyny, wywinął koziołka w tył, a potem jeszcze jednego i jeszcze jednego. Zwinny, żywotny, młody. Wyszczrzył w uśmiechu garnitur białych ząbków.

Nabija się ze mnie.

Nabija się.

Nabija...

*

Kiedy obudziłem się ponownie, było już jasno i czułem się zupełnie skołowany. Nie wiedziałem, czy yo wizja tkana przez miliardy synaps w moim mózgu, czy halucynacje po jakichś psychotropach, czy jeszcze coś innego. Nie wiedziałem, czy to moja podsyciona lekami wyobraźnia, czy jakaś nowa, niewyobrażalna rzeczywistość. Nie wiedziałem, czy to szpital, czy niebo.

Na ziemię sprowadził mnie głos Lary:

— Nie musisz mi odpowiadać — mówiła, i teraz wszyscy,

ze mną włącznie, płakali, z tym że ja na sucho, bez łez. I chyba dlatego wydało mi się takie nie na miejscu, kiedy do sali wpadł uśmiechnięty od

ucha do ucha, spocony z zachwytu lekarz, oznajmiając: — No, mamy dla pana serducho.

TLR

Rozdział czwarty

Śniło mi się, że jestem na boisku.

Było gładziutkie i zieloniutkie jak stół bilardowy — boisko nad boiskami — a ja cwałowałem po nim na oczach wielotysięcznego tłumu. Tłumu coraz bardziej rozgorączkowanego, tak jakby tam, na trybunach, wiedzano zawczasu, co za chwilę nastąpi.

Uśmiechnąłem się pod nosem, bo ja też już wiedziałem. Zaraz potem znalazłem się w powietrzu, do góry nogami — zawisłem tak na tę magiczną sekundę, kiedy w trakcie przewrotki prawie zamiata się włosami murawę, a podeszwy korek celują w niebo. I świat staje na głowie.

Widziałem kiedyś zdjęcie popularnego w latach pięćdziesiątych aktora w towarzystwie przyjaciółki, pstryknięte na nowojorskiej ulicy. Fotograf uchwycił go w momencie, kiedy, robiąc salto w tył, niemal dotyka szopą blond włosów chodnika, a jego trzymająca nadal pion urodziwa przyjaciółka uśmiecha się z dumą do obiektywu. Nazywał się Russ Tamblyn. Grał w *West Side Story*. Czy może miał dopiero zagrać w tym musicalu. W każdym

razie zagrał. I był tancerzem. Jak moja żona. To ona pokazała mi tę fotografię.

Potem zwałem się na trawę i tłum jęknął z zachwytu. Co tu dużo gadać, takiej przewrotki jeszcze nie widzieli. I dawali temu wyraz. No to zrobiłem dla nich jeszcze jedną. A potem jeszcze jedną. I po każdej mojej przewrotce oni pojękiwali coraz głośniej, jeszcze głośniej klaskali i w ogóle wpadali w coraz większą euforię.

Oż ty w życiu! Ja umiem robić przewrotki, przemknęło mi przez myśl. I to nie byle jakie. Russ Tamblyn z lat pięćdziesiątych niech się schowa. Ten z *West Side Story*. Kur-debalans!

I naraz zobaczyłem w tłumie kibiców-niekibiców znajomą twarz. Tyle twarzy, a ja widziałem tylko tę jedną. Pobiegłem w stronę tej wyróżniającej się twarzy, w połowie drogi padłem na swoje nieznaną bólu, fantastycznie elastyczne kolana i, ślizgając się na nich po tej niewiarygodnie zielonej murawie, wjechałem na klęczkach w ramiona Lary, a trybunami wstrząsnął ryk aprobaty.

*

Nazajutrz obudziłem się pod respiratorem trzymany za rękę przez Larę. Znajdowaliśmy się na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej, ona była w masce, rękawiczkach i w fartuchu, przez co wyglądała trochę jak supermenka. Wszyscy tutaj ubrani byli na to samo kopyto. Ale ja wiedziałem, że to ona.

To nie mógł być nikt inny.

— Nie musisz nic mówić — powtarzała.

Chciałem jej powiedzieć, że wygląda jak supermenka, ale nie zdążyłem, bo znowu zasnąłem zubożniały na to, czy jeszcze się kiedyś przebudzę. Nawet w tym przymulonym medykamentami stanie zdawałem sobie sprawę, że coś tu jest nie tak.

Nafaszerowalii mnie lekami osłabiającymi układ odpornościowy, żeby moje nowe serce mogło się zadomowić w moim starym ciele z większymi szansami na to, że nie zostanie przezeń wyeksmitowane. Ale osłabiając celowo mój system immunologiczny poprzez odessanie z organizmu wszystkiego tego, co zwalcza bakterie i wirusy, narażono mnie na powalenie przez jakąś zabójczą infekcję. Krótko mówiąc, paragraf 22-bis. Podobny do paragrafu 22, tylko gorszy.

Pierwszą dawkę środków przeciwozrzurowych zaaplikowano mi na sali operacyjnej, pod narkozą, w nocy, bo wtedy przeprowadzane są wszystkie transplantacje. Od teraz będę musiał brać te leki do końca życia. A licho wie, jak długo jeszcze pociągnę.

To zasypiałem, to się budziłem. A Lara wciąż przy mnie siedziała przebrana za tę supermenkę. Trwało to jakiś czas.

Zasypianie. Budzenie się. Korciło mnie, żeby ją zapytać, czy już nie ma w domu do roboty? Chciałem jej powiedzieć, że bardzo przepraszam za cały ten ambaras, że wiem, ile sprawiam jej kłopotu. Chciałem jej powiedzieć, że jestem jej wdzięczny, że takiej żony ze świecą szukać.

Ale zasypiałem, zanim udało mi się coś wymamrotać, a jeśli coś mi się śniło, to tego nie pamiętam.

Leżałem na OIOM-ie trzy dni, a potem przenieśli mnie do małej salki, w ich żargonie wylotowej. Nie było tu respiratora.

Lara przestała się przebierać za supermenkę i nie powtarzała już, że nic nie muszę mówić, a mnie tego, nie wiedzieć czemu, brakowało.

Ale to był dobry znak,
Bo znaczył, że według niej będę żył.

*

Kiedy dają człowiekowi nowe serce jego orgazm usiłuje je odrzucić.

I głupio robi.

Stara się, jak może, pozbyć tego, co uznaje za obce, niepożądane ciało. Nazywają to odrzucaniem, ale jest w tym coś więcej. Słowo „odrzucenie” sugeruje, że organizm zarządza bojkot nowego serca, nie chce, żeby zamieszkało w jego dominium, bo to automatycznie obniża wartość całości.

A to wcale nie tak. On naprawdę chce je ukatrupić.

Wyobraź sobie, że budzisz się w środku nocy i stwierdzasz, że po twoim domu myszkuje włamywacz. Zrywasz się z łóżka, gonisz go po ciemku, dopadasz i dźgasz na oślep nożem kuchennym, tulipanem ze stłuczonej butelki po mleku, czy czym tam jeszcze, co nawinie ci się pod rękę. Robisz tak z przekonaniem, że walczysz o życie. Z przekonaniem, że przeżyjesz tylko pod tym warunkiem, że zadźgasz tego intruza na śmierć.

A kiedy jest już po wszystkim, zapalasz światło. I okazuje się, że ten intruz to ty.

*

Obudziłem się i zobaczyłem przy łóżku tatę.

Rozejrzałem się po salce, odruchowo szukając wzrokiem mamy — miłej, wiecznie uśmiechniętej, parzącej herbatę rozjemczym w zatargach, do jakich dochodziło od czterdziestu siedmiu lat pomiędzy ojcem a mną — ale na próżno. Naszej filigranowej moderatorki tutaj nie było. Wyszła pewnie zaparzyć herbatę, zostawiając mnie sam na sam z tatą.

— Dobrze jest, a idzie ku lepszemu — odezwał się tym znajomym, ni to łagodnym, ni to burkliwym głosem. A ja stwierdziłem, że jestem wdzięczny za tę optymistyczną diagnozę, chociaż usłyszałem ją z ust emerytowanego gliniarza, który nie ma bladego pojęcia o kardiologii. Żałosne.

Czułem w klatce piersiowej ból przelewający się przy każdym zaczerpnięciu powietrza.

— Boli — stęknąłem na wydechu, krzywiąc się. Wygiąłem plecy w pałąk i rurka kroplówki wbitej w grzbiet mojej dłoni napreżyła się, jakby nie było jej to w smak. Opadłem z powrotem na poduszkę, która była o wiele za miękka i przypominała gigantyczną purchawkę.

Ojciec przysunął się z krzesłem bliżej i wziął mnie za rękę. Tę, w której nie tkwiła kroplówka. Dziwny jakiś był ten uścisk. Ni to delikatny, ni to szorstki. Tak samo jak jego głos.

— Zamknij oczy — powiedział. — Utnij sobie małą drzemkę. Dobrze ci zrobi.

I od razu zachciało mi się spać. Wyczerpał mnie sam proces przebudzenia. Ale zamiast zasnąć, wpatrywałem się z niedowierzaniem w swoją dłoń w dłoni ojca. Najprawdopodobniej już wiele razy trzymał mnie za rękę.

kę. Odprowadzając mnie do szkoły. Prowadząc na spacer do parku. Jednak pewności nie miałem. No właśnie, trzymał czy nie trzymał? Kiedyś tam? Nie przypominałem sobie niczego takiego. Może nie miał czasu, żeby się mną zajmować, bo pracował. Tak czy owak, odnosiłem wrażenie, że robi to po raz pierwszy.

— Ból minie — powiedział, ściskając mocniej moje palce i potrząsając nimi delikatnie, co miało oznaczać: „Głowa do góry”. I teraz nie odniosłem wrażenia, że mówi mi to po raz pierwszy.

Zamknąłem oczy, a tato dalej trzymał mnie za rękę. Czułem, jak ogarnia mnie senność nafaszerowanego lekami pacjenta, a on wciąż mnie trzymał.

Po chwili do salki weszły Lara, a za nią mama z herbatą i kawą, więc otworzyłem oczy.

— No, jest! — zawołała mama z taką ulgą, jakby obawiała się, że pod jej nieobecność wymknąłem się poskakać na bungee.

I wtedy poczułem, że tato puszcza moją rękę.

*

Nalegali, żebym ćwiczył. Znaczący lekarze. I pielęgniarki. Kazali mi wstawać z łóżka i jak najwięcej chodzić. Widzieli, że czuję się coraz mniej komfortowo w tym przegrzanym bąblu mojej salki, regularnie karmiony i dogładany jak noworodek. I faktycznie, mniej więcej tak się czułem. Na samą myśl, że w ogóle tu jestem, chciało mi się rzeć ze śmiechu.

Bo powinienem już nie żyć.

Na domiar złego coraz bardziej wciągały mnie nadawane za dnia programy telewizyjne. Przepisy kulinarne, w kółko te same wiadomości i rozwrzeszczane kłótnie rodzinne. Seriale o szpitalach i plotki o celebrytach. Powtórki transmisji sportowych.

Pora z tym zerwać. Pora pomyśleć o swoim programie rehabilitacji i o grafiku fizykoterapii. Pora postawić pierwsze kroki.

I po paru próbnym sesjach dreptania po salce pozwolono mi szwendać się bez asysty po szpitalu. Nie mieli czasu ani zamiaru za mną chodzić. Mieli na głowie obłożnie chorych. Po prostu wywlekli mnie z łóżka i puścili na głęboką wodę, żebym gimnastykował swój krwiobieg.

I tak odkryłem dach.

Człapię sobie korytarzem, zaciskając ciaśniej pasek szlafroka, żeby moja pasiasta pizama od M&S jak najmniej rzucała się w oczy. Mijam stanowisko pielęgniarek, dochodzę do końca korytarza i łapię windę towarową jadącą na górę. Salowe z wielkimi worami śmieci i niewielką znajomością angielskiego, gawędząc o swoich sprawach, witają mnie w kabinie z grzeczną obojętnością. Na ostatnim piętrze mówię „Do widzenia” salowym, zostawiam je sam na sam z ich śmieciami, wysiadam i wspinam się po paru schodkach do drzwi, które zgodnie z przepisami przeciwpożarowymi nigdy nie są zamykane na klucz. Przekraczam próg i jestem na dachu, w mieście, w szerokim świecie.

Cisza z nieustającym szumem miasta w tle. Świeże powietrze zmieszane z odorem spalin. Odosobnienie, a pode mną tyle żywych istot, których nigdy nie poznam.

Metalowa barierka okalająca dach była tak niska, że zaparło mi dech w piersiach, zakręciło mi się w głowie i cofnąłem się odruchowo, o mało nie gubiąc szpitalnych laczków. Sześć piętér niżej płynęła potężną rzeką Marylebone Road. Odechnąłem głęboko, uśmiechnąłem się i naraz poczułem, że ktoś za mną stoi.

— Tato?

To był Rufus. Zmierzyłem go wzrokiem. Oczy podkrążone, zmarniały jakiś, gdyby nie ten mój szlafrok i piżama w paski, można by pomyśleć, że to ja jego odwiedzam.

— Patrzyliśmy w Google'u — wydukał i zaciął się. Zamknął oczy, starając się wziąć w garść, ale nie bardzo mu to szło, wciąż go dławiło w krtani. — Z Ruby patrzyliśmy. Szukaliśmy czegoś... no wiesz... o tobie. O tym, co ci się przytrafiło. — Znowu zacisnął powieki. Oddychał jakoś nierówno. A potem spojrzał na swojego ojca. — Połowa tych po przeszczepie umiera w ciągu dziesięciu lat.

Uśmiechnąłem się.

—Znaczący połowa z nas jednak przeżywa. Skulił się, wzdrygnął.

—No tak, ale...

— Nie bądź czarowidzem — powiedziałem i zabrzmiało to ostrzej, niż chciałem. — No wiesz, jednym z tych, dla których szklanka jest do połowy pusta.

Staliśmy chwilę skrzepowani naprzeciwko siebie, nad falującym w dole miastem. Potem Rufus bąknął, że chyba wróci do środka, a ja pochwaliłem

ten zamiar. Powiedziałem, że niedługo też wracam. Cały ten dialog bez choćby przelotnego kontaktu wzrokowego.

Patrzyłem za nim zły, że nie znalazłem słów, które by mu poprawiły samopoczucie, uzmysłowiły, że w obliczu cudu nie robi się pod siebie, nie panikuje i nie wchodzi w Google'a.

Jak mu to wyjaśnić? Czuję się silniejszy. W formie, szczęśliwy. I zno-
wu młody.
Czuję — jak to się mówi?
Że żyję.

*

— Wujek Keith! — zawołała Ruby na widok wchodzącego do salki Keitha, zerwała się z krzesła i podbiegła, żeby się do niego przytulić.

Siedziałem na łóżku rad, że nazywa go nadal wujkiem Keithem, chociaż prawdziwym wujkiem nie był i nie łączyły go z naszą rodziną żadne więzy pokrewieństwa. Rad byłem, że nie jest na to zbyt zmanierowana ani za dorosła.

— Witaj, ślicznotko — powiedział. — Jak tam nasz pacjent?

Spojrzeli na mnie oboje z uśmiechem.

— Całkiem, całkiem — zaszczębiotała. — Zostawię was samych.
— Cię niepokoję przemknął przez jej gładkie liczko. — W razie czego jestem w kafejce.

Kiwnąłem nonszalancko głową. Bez obawy. Nie chciałem, żeby się za bardzo przejmowała, chociaż miałem świadomość, że to zbyt wygórowane oczekiwanie. Kiedy Ruby wyszła, Keith przyciągnął sobie krzesło do mojego łóżka i zaczął skubać winogrona, które przyniósł.

— No to jeszcze zipiesz? — spytał.

Spojrzałem na zegarek.

— Jeszcze nie pora na mnie. Uśmiechnął się.

— Musimy dogadać naszą wersję — powiedział.

— Wersję czego?

Keith kiwnął swoją wielką jak globus głową.

— Skąd się wziąłeś na tamtym dachu. Jak to się stało, że kantyniarz brał udział w obławie na złoczyńców. Dlaczego zamiast mojego dwudziestoparoletniego partnera w samochodzie byłeś ty.

. Zastanowiłem się.

— Wyszliśmy na lunch i zobaczyliśmy mundurowych w potrzebie.

Odchylił się na oparcie szpitalnego krzesła. Zatrzeszczało protestacyjnie, projektant nie przewidział, że będą na nim siadywać tacy jak Keith.

— Tak, to by nawet uszło — ziewnął, zapakował sobie garść winogron do ust i spojrzał na mnie ze znużeniem.

— Smaczne te winogronka? — spytałem.

— Niczego sobie — mruknął. — Eee, przepraszam stary... spróbujesz?

— Wierzę na słowo — odmruknąłem.

A on z szelmowskim uśmiechem wyciągnął zza pazuchy odpieczętowaną paczkę niskosmołków.

— Na wypadek gdyby cię przypiliło — powiedział. Po-
dziękowałem mu skinieniem głowy i wsunąłem je głęboko w kieszeń szla-
foka. Podał mi kiść winogron.

— No więc... jak się czujesz?

Przegryzłem winogrono i nie poczułem żadnego smaku. To przez te le-
ki. Czułem, jak pod pasiastą pizamą pulsuje szrama na mojej piersi. Tak,
tak, nie serce, a właśnie ta szrama.

— Jak młody bóg — mruknąłem.

Keith roześmiał się i pokręcił głową.

— Twarda z ciebie sztuka, co?

Uśmiechnąłem się.

— Twardsza od ciebie — odciąłem się. Prychnął.

— Aha, prawda była.

Wyraźnie szykował mi jakiś numer. Gdyby nie to wyjadanie moich
winogron, byłby z niego wzorowy odwiedzający. Cieszyłem się, że przy-
szedł. Wiedziałem, że nie chodziło mu tylko o uzgodnienie naszych zeznań.
I dosyć już miałem widoku tych roztkliwiających się nade mną przybitych
moim nieszczęściem osobników. Podwinąłem prawy rękaw pizamy. Keith
przymrużył oczy.

— Nie prowokuj mnie, wyświecony zadku — ostrzegł. Roześmia-
łem się i zacząłem opuszczać rękaw.

— A już myślałem, że nie ma większego cykora nad pułkownika
Sandersa...

Zerwał się z krzesła i też podwinął rękaw. Do samego barku.

— O ku... — wyrwało mi się.

Biceps miał otoczony wyblakłym przez lata tatuażem przedstawiającym drut kolczasty. Ustawiliśmy między sobą stół, który stał po drugiej stronie mojego łóżka. Zakołysał się, kiedy opieraliśmy łokcie na blacie. Nie był dostosowany do siłowania się na ręce.

— Trochę rozkolebany — stwierdził Keith.

— Nie marudź — przywołałem go do porządku. — Lepszego tu nie ma.

Pokonywał mnie właśnie po raz drugi, kiedy do pokoju weszła Lara z bukietem kwiatów i przenośnym odtwarzaczem DVD. Uśmiech zamarł na jej twarzy, kiedy zobaczyła, jak Keith przygina moją rękę z triumfalnym rykiem do stolika i usłyszała okrzyk bólu i porażki wyrywający się z mojej piersi. Na widok mojej żony Keith przestał się śmiać.

Lara stała z kwiatami i odtwarzaczem DVD w progu szpitalnej salki i patrzyła na nas jak na dwóch przerośniętych, durnych małych. Spojrzałem na Keitha. Siedział ze zwieszoną głową i zdawało się, że zaraz wyduka: „To nie ja, babciu”.

Zdusiłem w zarodku ogarniający mnie śmiech i nic nie powiedziałem.

Rozdział piąty

Usłyszałem ciche pukanie do drzwi sypialni i weszła Ruby ze wstydliwym uśmiechem na twarzy i tacą ze śniadaniem w rękach.

Czując aromat świeżo usmażonego bekonu, zamrugalem, żeby odgonić resztki snu. Mógłbym przysiąc, że przez całą noc nie zmrużyłem oka, deliberując sam ze sobą, ile też czasu ekstra sprezentowali mi lekarze, ale chyba przysnąłem na krótko przed pobudką. Ruby postawiła tacę na pustej połowie łóżka, gdzie sypiała jej matka. Sok pomarańczowy. Kubek parującej herbaty. Bacon. Jajecznica z dwóch jajek. Spieczona na węgielek kiełbaska.

— Witamy z powrotem w domu. Upichciłam to, co lubisz najbardziej.
— Uśmiechnęła się.

Weszła Lara, już ubrana, wcierając sobie w dłonie jakiś krem. Zapach kremu mojej żony zmieszał się z zapachem śniadania przyrządzonego przez moją córkę. Gryzły się trochę ze sobą te zapachy. Spojrzeliśmy wszyscy troje na tacę, z twarzy Ruby zniknął powoli uśmiech.

— Bardzo smakowicie to wygląda, kochanie — powiedziała Lara. — Ale twojemu ojcu nie wolno jeść...

— Co tam, nie wolno — wpadłem jej w słowo, chwytając za nóż i widelec. Mrugnąłem do córki i jej twarz znowu pojaśniała. — Święta racja. To lubię najbardziej. Najlepszy posiłek dnia.

Ruby zerknęła na talerzyk.

— Kielbaska mi się trochę...

— Na oko nic jej nie brakuje — orzekłem, piłując ten węgielek nożem.

— Z kielbaskami trudno utrafić — tłumaczyła się Ruby. — Bo one takie grubaśne.

Kiwnąłem głową, nie spoglądając na Larę. Czułem jednak, że ta zakłada ręce na piersi i dobiera słowa, szykując się do przywrócenia ładu i porządku. Bez patrzenia na jej twarz wiedziałem, co się na niej maluje. No i oczywiście miała rację. Ale jednocześnie popełniała grubą błąd.

— A gdzie sos do pieczeni? — zapytałem, nadziewając na widelec skremowany wiór.

— Ojej — roześmiała się Ruby. — Wiedziałałam, że o czymś zapomniałam. — I wybiegła, żeby donieść mi sos do pieczeni. Nazywali go Sosem Tatusia, kiedy byłem w jej wieku.

Przeżuwając z mozołem chrzęszczącą w zębach, przypaloną kielbasę, spojrzałem na Larę. Uśmiechnęła się do mnie blado. Z trudem jej to przyszło. Wiedziałem, że na sercu leży jej moje dobro. Kiedy się odezwała, zabrzmiało to jak głos rozsądku w rozbrykanym wariatkowie. Głos chłodny, racjonalny, z lekka rozsierdzony.

— Czy ty w ogóle słuchałeś, co ci mówili lekarze? Dotarło do ciebie coś z tego? Naprawdę chcesz przytknąć sobie znowu tętnice tym samym śmieciowym żarciem, które cię...

—Dobrze już, dobrze — wymamrotałem, przelitykając zgliszcz kielbaski. W ustach pozostał mi smak spalenizny. Ale bekon wyglądał jak trzeba. Ładnie przyrumieniony, soczysty.

—A właśnie, że niedobrze. To głupota. To autodestrukcja. To po prostu... — Pokręciła głową, tak jakby kładła na mnie krzyżyk. Ale ja wiedziałem, że jest od tego daleka. — Robisz to, bo nie chcesz sprawiać jej przykrości? Sprawisz jej większą, kiedy...

Odwróciła głowę.

—Daj spokój, Laro — mruknąłem. Nic nie powiedziała, kiedy przynębiony zabierałem się do bekonu. Wróciła Ruby z dzbanuszkami sosu pieczeniowego w jednej ręce i małymi, przezroczystymi pojemniczkami w drugiej.

—Sól i pieprz — poinformowała. — O nich też zapomniałam.

Lara spojrzała na nas. Otoczyła córkę ramieniem.

—Tatusiowi nie wolno jeść takich rzeczy, Ruby. — Mówiła łagodnie, ale z naciskiem. — Nie wolno mu solić potraw. Już nigdy nie będzie mu wolno. Rozumiesz? Równie dobrze mogłabyś mu przyprawiać posiłki trutką na szczury.

—Nie przesadzaj — warknąłem. Tego było już za wiele. — Nie porównuj soli do trucizny na szczury.

Posłała mi lodowate spojrzenie.

— Racja, George. Trucizna na szczury mniej by ci prawdopodobnie zaszkodziła. Jest bardziej treściwa. — Mocniej, z lekkim potrząśnięciem, przytuliła do siebie Ruby. — Ładnie z twojej strony, że zrobiłaś tacie powitalne śniadanie. To ci się chwali. Ale zrozum, kochanie, że pod

tym względem nie jest już tak jak dawniej. — Spojrzała na mój talerz ze śniadaniem i westchnęła. — On już takich rzeczy nie może jeść. — Opuściła rękę, którą obejmowała Ruby. — Bo go wykończą — dorzuciła cicho.

A ja się roześmiałem. I znowu zaatakowałem nożem i widelcem zawartość talerza. Trochę już ostygła, a ostygła jeszcze bardziej, kiedy polałem ją zimnym sosem do pieczenia.

— Jedno porządne śniadanko mnie nie wykończy — wymamrotałem z pełnymi ustami.

— Dosalać chyba nie trzeba — wybąkała Ruby, przyciskając do piersi dwa przezroczyste pojemniczki, tak jakby naszła ją obawa, że zaraz je jej wyrwę.

— Raczej nie — przyznałem, sięgając po tost. Był grubo posmarowany masłem, które zdążyło się tymczasem rozpuścić i pociekło mi teraz strugą tłuszczu po nadgarstku.

Żona i córka patrzyły z posepnymi minami, jak żarłocznie pochłaniając swoje pierwsze od wielu dni porządne śniadanko. Zupełnie jakby chciały odebrać mi wzrokiem apetyt. Jakby bardzo im na tym zależało.

Zupełnie jakby miały przed sobą skazanego na śmierć, który spożywa swój ostatni posiłek przed egzekucją.

*

Ruby była w swoim pokoju.

Zapukałem, a jakżeby inaczej, a potem jeszcze raz, i dopiero po tym drugim pukaniu usłyszałem mruknięcie, że mogę wejść. Siedziała przy

biurku przed włączonym komputerem, przygarbiona, w takiej pozycji, jakby się do niego modliła.

— Dziękuję za śniadanie — powiedziałem.

Nie zaszczyciła mnie nawet spojrzeniem, kiwnęła tylko głową. Rozejrzałem się za czymś do siedzenia. Wybór nie był wielki. Albo jej pojedynczy tapczanik, albo zajęte już przez nią krzesło.

— Wszystko w porządku? — spytałem. :

Kolejne kiwnięcie głową. Kurtyna kasztanowych włosów opadła jej na twarz.

— Możesz się trochę przesunąć? — spytałem. Zrobiła to bez słowa. Ze mnie jest kawał chłopca i chociaż ona zawsze była drobnym dzieckiem, to i tak ledwo się pomieściliśmy we dwoje na tym jednym krześle. Całe szczęście, że figurę odziedziczyła po matce, tancerce, a nie po niedźwiedziowatym ojcu.

— Coś złego wisi w powietrzu — wyszeptała, jakby do siebie, bo na mnie nie spojrzała.

Poklepałem ją po ramieniu. Z tej odległości czułem zapach jej żelu pod prysznic.

— Nic złego w powietrzu nie wisi — zapewniłem ją. — Możesz mi wierzyć.

Pokręciła głową. Znacząco nie uwierzyła.

— Coś złego. Bardzo złego. I nieuchronnego.

— Posłuchaj — powiedziałem, żeby rozwiać jej obawy. — Lekarzy mam solidnych. Przepisali mi najlepsze, jakie można, leki. A poza tym

dobrze się czuję. — Odchyliłem się w bok i spojrzałem na jej profil. Rysy matki, ale z moją domieszką — szerokie czoło, górna warga wystająca nad dolną, z czym wygląda lepiej niż kiedyś ja. — Nic mi nie zagraża, aniołku.

I teraz na mnie spojrzała.

— Ja nie o tobie, tatusiu — odparła. — Ja o planecie.

*

Kiedy dom w końcu opustoszał, wszedłem do salonu po paczkę papierosów, którą tam sprytnie zakamuflowałem.

Uśmiechałem się do siebie pełen uznania dla własnej przebiegłości. Ukryłem tę paczkę tam, gdzie nikt nigdy nie zajrzy — w kominku, za węgielkami sztucznego paleniska — i oto zbliżała się chwila, kiedy będę się mógł spokojnie sztachnąć.

Sięgnąłem za węgielki, namacałem gazrurkę, sunąc po niej palcami, trafiłem do moich szlugów, wyciągnąłem je i uśmiech zastygł mi na twarzy, kiedy zobaczyłem małe dziurki porobione przez kogoś w paczce.

Sprawcy nie bawili się w wyjmowanie papierosów. Zniszczyli je hurtem, z podziwu godną precyzją i zawziętością, przekłuwając paczkę w rogach szpilką czy czymś takim, jak iluzjonista swoją magiczną skrzynię mieczem.

Bo nie chcieli, żebym umarł.

Wyciągnąłem jednego zadżganego papierosa i obejrzałem go. Zwiśł mi smętnie w palcach, jakby zawstydzony, z dziurek w bielutkiej bibułce sypał się tytoń cieszący oko złocisto-brązową barwą. Wrzuciłem całą paczkę do

kosza na śmieci i wszedłem po schodach na górę, zastanawiając się po drodze, któż to się tak o mnie troszczy.

Podłoga w pokoju Ruby zasłana była częściami garderoby, szkolnymi podręcznikami i przeróżnym technicznym badziewiem. Słuchawki do empetrójki. Ładowarka do baterii. Wciąż wibrująca elektryczna szczoteczka do zębów. Podniosłem tę ostatnią, wyłączyłem i położyłem na biurku. Spowodowany tym mini wstrząs pobudził do życia jej komputer i na ekranie pojawił się obrazek wygaszacza ekranu, a mianowicie nasza błękitna planeta widziana z kosmosu.

Na ścianach pokoju zachowały się jeszcze pamiątki z jej wczesnego dzieciństwa. Ale te wystrzępione postery suszących zęby aktorów i dawno rozwiązanych boysbandów nikły pośród ostatnio zawieszonych plakatów przedstawiających Ziemię w płomieniach albo skutą lodem. DZIAŁAJ, NIE CZEKAJ, AŻ KTOŚ TO ZROBI ZA CIEBIE! — nawoływał jeden. Patrzyłem przez dobrą chwilę na ten slogan.

Potem przeniosłem wzrok na biurko. Archeolog miałby tu pole do popisu. Czy tę linijkę z nadrukiem *High School Musical* i tę temperówkę w kształcie lalki Barbie trzyma z sentymentu, czy po prostu nie chce jej się ich wyrzucić? Przeprowadziłem gruntowną rewizję, ale nie znalazłem niczego, co mogłoby posłużyć do podłego zniszczenia kochanemu tatusiowi awaryjnego zapasu fajek.

Stąd wniosek, pomyślałem, że mogła się tego dopuścić moja żona.

Szpilkę, dedukowałem. Broszkę. Czymś ostrym. Bizuterię trzymała w szufladzie szafki nocnej przy łóżku. Nie było tego wiele. Niebieska szkatułka od Tiffany'ego z drobiazgami, których nakupowałem jej przez lata.

Złota bransoletka z dwoma samotnymi serduszkami, na jednym wygrawerowane TO CHŁOPIEC, na drugim TO DZIEWCZYNNKA. Sznur pereł z zepsutą zapinką. I srebrne serce na łańcuszku. Czyli nic, czym można by dokonać tego sabotażu.

Ale w szufladzie leżała jeszcze jedna szkatułka z biżuterią jej matki. Zdawałem sobie sprawę, że nie wypada mi tam zaglądać, ale mimo wszystko zajrzałem, podejrzewając, że narzędziem dewastacji mogła być szpilka od którejś z tych staromodnych broszek, jakie nosiły kiedyś kobiety.

Było to czerwone plastikowe pudełko z pękniętym wieczkiem pokrytym tkaniną w różyczki. Jednym słowem, tandeta.

Rzeczywiście zawierało kilka staromodnych broszek. Jedna w kształcie motyla, inna wykonana z jakiegoś szarego metalu, chyba z cyny, z jeleniem oglądającym się za siebie, i jeszcze jedna przedstawiająca złoty model cncorde'a. Ta ostatnia miała długą, ostrą szpilkę, ale nie chciało mi się wierzyć, żeby Lara do niszczenia moich papierosów użyła biżuterii swojej matki. Były tam jeszcze trzy pierścionki. Zaręczynowy z najmniejszym brylancikiem, jaki kiedykolwiek widziałem. Zwykła złota obrączka ślubna. I coś, co nazywają pierścieniem na wieczność.

Zamknąłem pudełko ostrożnie, żeby na dobre nie przełamać pękniętego wieczka, i odłożyłem je na miejsce, czując na sobie potępiające spojrzenia świętej pamięci rodziców mojej żony. Następnie poszedłem do pokoju syna.

Nie przypominał w niczym pokoju nastolatka. Przypominał pokój czterdziestodziewięcioletniego księgowego. Nic nie leżało na podłodze. Na biurku równe stosy szkolnych podręczników i zeszytów. Komputer wyłą-

czony. Biała koszula na jutro na drucianym wieszaku w szafie. Łóżko zasłane z wojskową precyzją. Mała półka na książki z równymi rządками tomów w miękkich okładkach. Wyjąłem jeden i zacząłem kartkować. Jedno zdanie przykuło mój wzrok. *Dzika i ekstatyczna radość samego istnienia*. Spojrzałem na okładkę. Błękitne niebo. Samochód z lat pięćdziesiątych. Dwaj uśmiechnięci mężczyźni z twarzami skrytymi do połowy w cieniu. Jack Kerouac, *W drodze*. Odstawiając tomik na półkę, zauważyłem leżący na książkach szwajcarski scyzoryk. Zacząłem go rozkładać.

Był tam malutki śrubokręcik oraz cały zestaw rozmaitej wielkości ostrzy i ostrych szpikulców, którymi można było wydłubać kamień z końskiej podkowy, ewentualnie zniszczyć komuś awaryjny zapas papierosów.

On mnie naprawdę kochał.

Skubaniec.

Na drzwiach wisiała czapka, a pod nią skórzana kurtka, którą Rufus nosił na przemian ze szkolnym blezerem. Czapka była wełniana, ale miała z przodu mały daszek i do złudzenia przypominała dżokejkę. Ale ponieważ była z wełny, nie na wiele by się zdała spadającemu z konia.

Włożyłem ją i przejrzałem się w lustrze.

Nieźle w niej wyglądałem.

Szpanersko. Klękajta narody. I młodziej. Zdecydowanie młodziej. Powiedziałbym nawet, że młodo.

Do dżokejki nie za bardzo pasowała reszta tego, co miałem na sobie. Rozciągnięta koszulka polo. Workowate portki. Popielate skarpetki. Formalnie gryzło się to wszystko z czapką. Wyglądało przy niej na stare, zno-

szone łachy. Nic dodać, nic ująć, tylko wziąć i wyrzucić. Będę musiał odnowić swoją garderobę.

Zelektryzował mnie zgrzyt klucza w zamku. Zbiegłem szybko po schodach i uśmiechnąłem się niewinnie do wracającej Lary. Pomogłem jej wnieść torby z zakupami do kuchni. Objęła mnie, ucałowała i zajęła się parzeniem herbaty.

— Dlaczego masz na głowie tę śmieszoną czapkę? — spytała. Kiedy dopiliśmy herbatę, wyprowadziła mnie na spacer do parku. Jak małego chłopczyka albo szczeniaczka.

W każdym razie jak kogoś, kogo nie można zostawić bez opieki.

*

Śniło mi się, że śpię u boku kobiety, której pożądam miliony mężczyzn. Kobiety zjawiskowej, niezwyklej, jedynej w swoim rodzaju.

A po przebudzeniu stwierdziłem, że to nie był tylko sen.

— George — jęknęła Lara. — Nie, George.

Ale ja nie dałem się zbyć. Znała to spojrzenie. Rozpoznawała je w moich oczach nawet w szarówce przedświt, kiedy ledwie kropelka księżycowej poświaty przesącza się przez zasłony.

Przekorne, krotochwilne, trochę wstydlive.

Spojrzenie miłości.

Przesunąłem się na jej stronę łóżka i wziąłem w ramiona. Pocałowałem ją w usta. Znałem te usta i tęskniłem do nich.

Uświadomiłem sobie teraz, że tęsknię za wszystkimi aspektami tych spraw. Nasze wargi zespoliły się na dobre. Pasowały do siebie jak ulał. Wyczuwałem, jak matczyne radar Lary przeczesuje okolicę pod kątem obecności dzieci.

Ale Rufusa nie było, a Ruby spała.

— George, George — jęknęła znowu, dając mi ostatnią szansę na ochłonięcie. — Naprawdę tego chcesz?

Naprawdę chciałem.

Potem nic już nie mówiła, nie wypowiadała nawet mojego imienia, i kochaliśmy się pierwszy raz od miesiąca. I wyszło nam nadspodziewanie dobrze, wyszło wspaniale i w zupełności by wystarczyło, ale po jakimś czasie obudziliśmy się, a raczej wybudziliśmy z czegoś w rodzaju półsnu i już wolniej, łagodniej, nie tak zachłannie znowu się zespoliliśmy.

A potem — niech mnie ktoś uszczypnie — tuż nad ranem, kiedy sypialnia wciąż pełna była nocy, trzeci raz. A wtedy znów z żądzą pierwszego razu — i to zarówno z żądzą pierwszego razu tej nocy, jak i pierwszego razu w ogóle. Było tak jak na samym początku, kiedy partnerzy nie mogą się sobą nasycić, kiedy nie wierzą w swoje szczęście, a wypełniona rozkosznym żarem noc mija w okamgnieniu i kończy się zaśnięciem z wyczerpania pośród rzadniejącego mroku.

Kiedy Lara wstała i poszła do łazienki, ja dalej leżałem na jej połowie łóżka. Słyszałem ptaki i widziałem białe krawędzie brzasku wokół ram okiennych. Teraz chciało mi się spać, naprawdę się chciało. Byłem skona-ny. Ale otworzyłem jedno oko, kiedy Lara wróciła i zapaliła lampkę nocną.

—Co jest? — wymruczałem. Dotknęła mojego policzka.

—Nic. Sprawdzam tylko. — Uśmiechnęła się. Przetoczyłem się na swoją połowę łóżka i zamknąłem oczy.

— Co sprawdzasz? — spytałem z twarzą wtuloną w poduszkę. Roześmiała się.

— Czy to naprawdę ty — wyjaśniła.

TLR

Rozdział szósty

Kilka osób zagapiło się na nas, kiedy wchodziliśmy do domu opieki Jesienny Gaik. Staruszka w fotelu na kółkach zabierana właśnie na niedzielną popołudniową przejażdżkę po parku. Jej syn w średnim wieku i dwoje nastoletnich wnucząt. Portier, którego nie znałem.

Potem recepcjonistka powitała nas z uśmiechem i towarzystwo odwróciło wzrok. Zdążyliśmy już do tego przywyknąć. Tworzyliśmy z żoną jedną z tych par, za którymi ludzie się oglądają, sami nie wiedząc dlaczego. Ale ja wiedziałem.

Dlatego, że na pierwszy rzut oka do siebie nie pasowaliśmy.

Lara drobna i ładna, zachowała grację i lekkość ruchów tancerki. Ja wielki i ociężały, no może nie do końca szpetny, ale z nosem złamanym w dwóch miejscach — raz przez pacholek, którym zamalował mnie w twarz piątkowy pijaczek, a po raz drugi podczas szamotaniny, jaka się wywiązała, kiedy próbowałem nygusa obezwładnić i zaaresztować. Od tamtego czasu wyglądałem jak zbir z pokancerowaną, zwichrowaną facjatą, który niejedno

ma na sumieniu i tylko patrzeć, jak mu cofną warunkowe zwolnienie. Jeśli się dobrze zastanowić, to określenie „szpetny” pasowało do mnie jak groszek do marchewki.

Dla odmiany od Lary, w jakiś niewytłumaczalny sposób była nadal ta aura z czasów, kiedy tańczyła. Ludzie płacili kiedyś spore pieniądze za to, żeby zobaczyć ją na scenie, żeby popatrzeć, jak na niej bryluje. Za niecały rok miał jej stuknąć czwarty krzyżyk, była pracującą matką dwojga nastoletnich podrostków, a mimo to rozsiewała wokół siebie nadal ten blask show-biznesu. Natomiast ja byłem niedźwie-dziowaty. W niczym nie przypominałem innych jej wielbicieli. Nie przypominałem w niczym tego, z którym chodziła, zanim poznała mnie. Jej poprzedniego chłopaka. Nie było we mnie nic z urodziwego zalotnika pędzącego na złamanie karku ze Stratfordu po spektaklu, w którym grał księcia, żeby zasiąść na widowni półamatorskiego teatrzyku. Ja byłem z zupełnie innej bajki; uganiałem się za wachaczami kleju, za drobnymi złodziejaskami, za pyskatymi, rwącymi się do bitki pijakami po to tylko, żeby konstabl Keith Rooney mógł im nałożyć po pysku i przykazać, żeby sporządzili. Był ze mnie zwalisty, prosty facet ze złamanym kinolem, który nie boi się fizycznego świata. I właśnie to jej się we mnie spodobało. Ta schaboszczakowo-kartoflano-kapuściana solidność, coś, co mogłoby odstręczać inne dziewczyny. Znaczą się kobiety. Wiedziała, że nigdy nie przestanę jej kochać. Wiedziała, że nigdy nie przyjdzie mi to nawet do głowy, że zawsze będę uważał, że trafiła mi się jak ślepej kurze ziarno, i tu miała rację. Oglądali się za nami zwłaszcza mężczyźni. I z ich oczu można było wyczytać: Kurczę blade, skoro poprzeczka tak nisko zawieszona, to... Ale wystarczyło, że łypnąłem na nich

spode łba, a czym prędzej odwracali wzrok. Bo wyczuwali coś we mnie. I nie chodziło wcale o to, że byłem policjantem. Że był ze mnie kawał chłopca. Nie chodziło nawet o to, że starałem się naśladować ojca, też policjanta. Wyczuwali po prostu, że wstępują na poświęconą ziemię. Bo Lara była dla mnie wszystkim. I dawali za wygraną.

Ciekawe, czy byłoby inaczej, gdyby jej rodzice nie zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miała dwanaście lat. Wracała z siedmiodniowej wycieczki szkolnej w jakieś francuskie góry. Jechali po nią na lotnisko. Padało i droga była śliska. Wpasowali się pod ciężarówkę, która złapała kapcia i zatrzymała się na pasie szybkiego ruchu.

Gdyby żyli...

Ale nie żyli.

A ten drugi rodzaj szczęścia, to poczucie bezpieczeństwa, jakie dają nam ognisko domowe i rodzina, docenia się w pełni dopiero, kiedy los nam je zabierze.

*

—A przynieśliście moją książeczkę? — zapytała babcia Lary, kiedy pomagałem jej przenieść się z łóżka na fotel. Pod słowem „książeczka” rozumiała „czasopismo”, a pod tym z kolei swój ulubiony dodatek z programem telewizyjnym dołączany do weekendowego wydania gazety.

—Masz tu, Nan — powiedziała Lara, kładąc jej na kolanach dodatek telewizyjny otwarty już na stronie z dzisiejszą datą, z zakreślonymi na czerwono programami, które najchętniej oglądała. Lara przysiadła na łóżku i uśmiechnęła się.

— No, co tam dzisiaj ciekawego?

— *Amerikanin w Paryżu* — odparła Nan i wodnisto-błękitne oczy zabłysły jej za okularami.

Lara ożywiła się. Nie udawała.

— Z Gene'em Kellym i... no, i z kim? — spytała.

— Z Leslie Caron — odpowiedziała bez zastanowienia Nan, wyglądając dłonią dodatek. — I z muzyką Gershwina. — Kiwnęła z entuzjazmem głową. — Podoba mi się ten Gershwin — dodała, tak jakby George Gershwin był obiecującym debiutantem i jej typem na pierwsze miejsce listy przebojów.

Lara i Nan uśmiechnęły się do siebie, prawie dosłownie tocząc ślinę na samą myśl o *Amerikaninie w Paryżu*. Moja żona wciąż pasjonowała się tańcem. Tak jej zostało. Z tańcem, jeśli już się raz zacznie, nie da się zerwać. Kochała go ponad wszystko. Kiedy straciła pierwszą rodzinę, a drugiej jeszcze

nie założyła, taniec był całym jej życiem. Zaraziła ją nim Nan. Ona nie tylko prowadziła młodą Larę na lekcje tańca i przesłuchania, jak jej matka. Nan pokazała Larze, że w tańcu można się zatracić, jeśli się tylko tego chce albo potrzebuje.

Lara odwiedzała Nan w Jesiennym Gaiku dwa razy w tygodniu. Zazwyczaj beze mnie. I czuła, że powinna częściej. Patrzyłem, jak sadza teraz staruszkę przed telewizorem, jak nalewa jej soczku i cierpliwie przytrzymuje szklanekę, z której Nan popija niczym wróbelek, drobnymi łyčzkami, i widziałem, jak moja żona ją kocha. Nie była to zwyczajna miłość, jaką czuje się do babki. Nan tyle dla niej zrobiła. Zaliczała się do grona tych szcze-

gólnych babć, które wychowały dwa pokolenia. Nan nie poświęcała Larze całego swojego czasu, nie tylko ją miała na głowie. Jej rodzice też nie dali by sobie bez niej rady, mawiała.

To, co spotkało matkę i ojca Lary, jest zadziwiająco powszechne. Znam kilka osób, które straciły oboje rodziców w jednym wypadku samochodowym. Małżeństwa często podróżują razem samochodem i zdarza się, że razem giną. A więc Lara nie była tu wyjątkiem. Ale z biegiem lat zaczynałem dochodzić do przekonania, że tylko ją to dotknęło. Wyznała mi kiedyś ze wzruszeniem, ale z suchymi oczami: „Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie babcia. Wzięła mnie do siebie. Otoczyła miłością. We wszystkim wspierała. Bez niej marnie bym skończyła”.

Nan uwielbiała musicale kręcone niegdyś przez wytwórnię

MGM. Fred i Ginger szalejący w Ritzu. Gene Kelly drący koty z Debbie Reynolds. Lara zamieszkała z nią na początku lat osiemdziesiątych, czyli w czasach, kiedy wypożyczalnie wideo powstawały jedna po drugiej. *Deszczową piosenkę*, *West Side Story* czy *Oklahomę* można było oglądać, kiedy tylko człowiekowi przyszła na to ochota.

A Nan i Lara miały ją na okrągło.

Przepadały za Gene'em, Ginger, Fredem, Debbie i resztą, ale ich największą idolką była Cyd Charisse. Podziwiały ją tańczącą z Gene'em Kellym we wspaniałej broadwayowskiej sekwencji z *Deszczową piosenką* — Kelly na klęczkach przed Cyd, kochanką gangstera, w zielonej sukni — i z Fredem Astaire'em we *Wszyscy na scenę*, w szemranym, zadymionym barze, co w końcu doprowadza do bójki.

Chociaż już od jakiegoś czasu chodziła na lekcje baletu i stepowania, to właśnie wtedy naprawdę pokochała taniec — w te deszczowe, niedzielne popołudnia, kiedy oglądały z Nan musicale z wytwórni MGM. W te dawne niedzielne popołudnia, kiedy kolory wydawały się jaskrawsze niż w rzeczywistości. Ładniejsze niż w rzeczywistości. I obserwując teraz Larę oglądającą film ze swoją babcią, zastanawiałem się, czy od tamtego czasu w ogóle zaszła jakaś zmiana. Odnosiłem wrażenie, że taniec nadal rozbudza jej wyobraźnię.

— Nadejdzie jeszcze taki dzień, kiedy zatańczę tango w Buenos Aires — powiedziała. Siedziała na poręczy fotela Nan, obejmując wątle ramiona staruszki. Obie nie odrywały oczu od Gene'a Kelly'ego. — Są tam szkoły tańca. To znaczy w Buenos. Tak na nie mówią w skrócie. Widziałam w Internecie. — Roześmiała się i zerknęła na mnie. — To szczyt marzeń wielbicielki musicali rodem z MGM — powiedziała. — Zatańczyć tango milonga z własnym mężem w Argentynie. Muzyka, ścisk i pot, a wszystkie kolory ładniejsze niż w rzeczywistości.

Z tym mogły być kłopoty. Co prawda w okresie naszego narzeczeństwa chodziłem na randki w lakierkach, ale to jeszcze nie znaczyło, że rwę się do tańca.

Kiedy Lara wyszła po obiad dla Nan, staruszka skinęła na mnie. Podszedłem i nachyliłem się. Myślałem, że chce mi opowiedzieć coś o George'u Gershwinie albo o Genie Kellym. A ona szepnęła mi konfidencjonalnie na ucho:

— Nie starzej się.

*

Moi rodzice, oboje po siedemdziesiątce, uczęszczali na kurs samoobrony. Ćwiczyli w identycznych lśniących dresach Adidasa — z tym że ten mamy był czerwony, a taty czarny — i wyglądali w nich bardzo bojowo. Starając się nadać swym łagodnym twarzom jak najzawziętszy wyraz, dreptali teraz po parkiecie sali gimnastycznej w towarzystwie tuzina innych pensjonariuszy — w większości kobiet — musztrowani przez trenera.

— Psy nie znają kung-fu — klarował im instruktor. — Psynie znają karate ani taekwondo. A przecież każdy pies potrafi się bronić.

Kursanci uśmiechnęli się do niego dobrotliwie. Na nogach mieli tenisówki bielutkie jak ich włosy. Wyglądały, jak dopiero co wyciągnięte z pudełka, jakby nigdy nie miały się zestarzeć. Instruktor zacisnął pięści i zęby.

— Co on powiedział, złociutka? — spytała moją mamę jakaś staruszka.

— Powiedział, że psy nie znają kung-fu, złociutka — odparła mama i posłała mi promienny uśmiech. Cieszyła się, że mnie widzi. Rzadko ich odwiedzałem. Nie miałem na to czasu.

— Zaatakowani od przodu niedźwiedzim uściskiem — powiedział instruktor, przywołując do siebie skinieniem ręki mojego ojca — ręce macie unieruchomione na wysokości pasa — ciągnął, demonstrując na ojcu rzeźbiony chwyt. Ja nigdy ojca w ten sposób nie obejmowałem. I wątpię, czy mamie się to zdarzyło.

— Pierwsze, co robicie, to kopiecie napastnika kolanem w jądra — objaśniał instruktor.

— W co? — spytała niedosłyszająca staruszka.

— W jądra, złociutka! — krzyknęła jej w ucho mama. — Kopiemy napastnika kolanem w jądra, złociutka.

Tato uniósł nogę kilka cali nad parkiet, symulując miażdżenie jąder instruktrowi.

— Następnie — ciągnął instruktor — wewnętrzną krawędzią podeszwy buta szorujecie po jego goleni od kolana po kostkę.

Mój ojciec zademonstrował to w zwolnionym tempie.

— Potem przydeptujecie mu z całych sił stopę — kontynuował instruktor, i tato, jak zawsze pierwszy do takich publicznych pokazów, udał, że z całych sił przydeptuje instruktrowi stopę.

Pensjonariusze zachichotali. Ten i ów zaklaskał. Mama promieniała rozbawieniem i dumą. Tato był w siódmym niebie.

— A jak i to nie pomoże — podjął instruktor, zarzucając lekko głową — to walcie go ze wszystkich sił z bańki między oczy. I „adiu Fruziu”. Dobra, przećwiczmy to teraz w parach.

Siedziałem na ławeczce pod ścianą i, obserwując swoich rodziców oraz ich znajomych w akcji, nie mogłem się nadziwić witalności i odwadze, ale przede wszystkim rozbijającej naiwności i ufności tych ludzi wobec świata.

Skąd u nich ta pewność, że napadnie ich tylko jeden bandzior?

Po zakończeniu zajęć podeszli do mnie. Mama cmoknęła mnie w policzek i rozpląnęła się w ochach i achach nad jakimiś najnowszymi zdjęciami dzieci zrobionymi w domu po moim powrocie ze szpitala i, jak powiedziała, to nie do wiary, że Rufus wyrósł na takiego przystojnego młodzieńca, a Ruby, ta malutka Ruby, jest już praktycznie młodą damą.

I bardzo się ucieszyła, kiedy powiedziałem, że w najbliższym czasie musimy ich zaprosić do siebie na niedzielny lunch. Ale tato mnie przejrzał. Ojciec, emerytowany policjant, zawsze potrafił mnie przejrzeć. Odczekał, aż mama pójdzie do szatni, i spytał:

— Wciąż jesteś na chorobowym?

*

Czasami czułem się podle.

I wynikało to nie tyle z huśtawki nastrojów — kardiolog uprzedzał mnie, że coś takiego może nastąpić — ile ze zmiany percepcji. Napadało mnie to znienacka. A objawiało się głównie wyostreniem świadomości, że wszystko jest zawodne. Zwłaszcza mój organizm. A zaraz po nim nasz boiler w łazience. Słyszałem, jak się dławi i krztusi. Trzeba będzie wezwać do niego hydraulika, chodziło mi wtedy po głowie, i wzdychałem w głębi duszy tak przeciągle, że tej przeciągłości zdawało się nie być końca i zastanawiałem się, od kiedy to moje życie skurczyło się do układania listy tego, co trzeba w domu naprawić.

— Chcesz mi coś powiedzieć? — spytała kiedyś Lara, otaczając mnie ramieniem.

Może i chciałem, ale nie wiedziałem, od czego zacząć ani na czym skończyć, ani co w ogóle miałbym jej powiedzieć.

— Przez jakiś czas mogę być nie w sosie — wyburczałem.

Zabrała rękę, kiwnęła głową i po chwili usłyszałem, jak krząta się po naszej sypialni. Potem odgłosy tej krzątaczki ucichły, pozostało tylko noc-

ne warczenie lodówki i krztuszenie się bojlera przełączonego w stan czuwania.

W butelce czerwonego wina widać już było dno, kiedy wrócił Rufus. Wyglądał nieszczęśliwie. I śmierdzał piwem. Formalnie jak z krzyża zdjęty i spłukany browarem. Spojrzał na alkomat leżący na stoliku.

—Bez obawy — uspokoilem go, dostrzegając nagle w tym błyszczącym, szarym aparaciku bezsensowny kawałek plastiku. — Dzisiaj możemy sobie darować.

—Mnie tam nie zależy, mogę dmuchnąć. — Rufus schylił się, wziął alkomat do ręki, popatrzył na niego, a potem na mnie. — Nic nie piłem — oświadczył.

Uśmiechnąłem się.

— A czy ja coś mówiłem? — Kłamał w żywe oczy z podziwu godną miną pokerzysty. — Ale następnym razem próbuj czymś zakąsać.

I tu się wściekłem, wyszedłem z siebie, jak na nastolatka w jego wieku przystało.

—Nie wierzysz, tak?! — wrzasnął.

—O ton niżej — upomniałem go. — Mama i siostra śpią.

—Nie wierzysz mi! — powtórzył, potrząsając alkوماتem. — Za cholere mi nie wierzysz.

Westchnąłem.

— Rufusie — powiedziałem, kręcąc głową z niedowierzenia, że można tak bez mrugnięcia powieką wciskać komuś podobny kit. — Przecież czuję.

— Ale ja tego naprawdę nie wypilem — wyrzucił z siebie. — Oni mnie nim oblali. Oblali mnie tym piwem, tato.

Zdębiałem.

— Co zrobili? Kto? Jacy oni?

— Nieważne — mruknął, chociaż widziałem, że to dla niego bardziej niż ważne.

Popatrzyłem na swojego syna, na to wielkie, niezdarne monstrum, tego obraźliwego obcego, i zapragnąłem zobaczyć na jego miejscu tamtego chłopaczka z czupryną jak mop, którym jeszcze niedawno był i którego mógłbym przytulić bez obawy, że zostanę odepchnięty.

— Co się z nami porobiło, Rufusie? Przecież trzymaliśmy sztamę, prawda? Pamiętasz, jak byłeś mały? Chodziliśmy razem do parku. Na mecze piłkarskie. Byliśmy w Legolandzie. Pamiętasz Legoland?

— Legoland? A tak, pochorowałem się wtedy w samochodzie. Rzygałem przez całą drogę do Windsoru.

— Ale podobało ci się, kiedy już tam dojechaliśmy. Pamiętasz? Jak cię już obczyściliśmy. Co się z nami stało?

Prychnął, spojrzał w bok.

— Normalka. Wydoroślałem.

To stąd ta zmiana? Tylko stąd? Naprawdę? Czyżby z upływem lat między każdym ojcem i synem coś pękało i ta szczelina coraz bardziej się poszerzała? Czy to naturalna kolej rzeczy? Nie chciało mi się wierzyć. Czułem, że gdzieś na szlaku skręciłem nie w tę, co trzeba stronę i przez to nasze drogi się rozeszły.

— To nie takie proste — powiedział. — Mieć za ojca gliniarza. Osobę publiczną. To ciągle porównywanie do ciebie. To samoocenie. Syn swojego ojca. Tak to widzę. — Uśmiechnął się gorzko. — Żyję w cieniu twojej sławy.

Pokręciłem głową.

— Nie jestem sławny — zaproponowałem. — Bill Gates jest sławny. Brad Pitt jest sławny. Dalajlama... Ciesz się, że twoim ojcem nie jest Dalajlama. Ja nie jestem sławny.

— Jak nie, jak tak. — Zaperzył się. — Przynajmniej w okolicy. Wszyscy tu wiedzą, kim jesteś. A raczej kim byłeś, zanim się pochorowałeś. Jesteś czymś w rodzaju mikrocelebryty.

— Przesadzasz. — Nalałem sobie szczodłą ręką czerwonego wina. I nagle dostrzegłem na jego twarzy zatroskanie.

— Co się stało? — spytał.

— Nic — mruknąłem. — Tylko jakiś zdołowany się czuję. To pewnie przez te lekarstwa. Nastrój się od nich rozhuśtuje. Nie przejmuj się. Mam po prostu zły dzień. Jak ty. A może wydaje ci się, że tylko tobie się przytrafiają?

Nadal ścisnął w rękę alkomat. Pokazałem na butelkę, w której coś niecoś jeszcze zostało.

— Chcesz łyka? Zabronili mi pić. Ale ja mam już po dziurki w nosie słuchania, co mi wolno, a czego nie. Nie zdarzyło ci się to nigdy?

Rufus pokręcił głową.

— Ja nie piję, tato. Nic z tych rzeczy.

Odłożył alkomat na stolik. Popatrzyłem na niego przeciągle.

— To gdzie ty się szwendasz po nocy? — spytałem. I powiedział mi.

Kiedy skończył, uścisnąłem go nieporadnie, a on jeszcze nieporadniej odwzajemnił ten uścisk. I zostawiłem go w kuchni buszującego hałaśliwie w poszukiwaniu czegoś na ząb.

W sypialni na górze światło było zgaszone, ale moja żona nie spała. Czekala na mnie.

:

*

Ocknąłem się ni z tego, ni z owego na długo przed świtem.

To nie było w moim stylu. Sypiałem zawsze jak dziecko. Nie, nie jak ten niemowlak, który budzi się co dwie godziny i wrzeszczy, bo ma mokro w pieluchach. Ja sypiałem jak podrośnięty już berbec i budziłem się dopiero na śniadanie. Zwłaszcza po odbytych stosunku. Ale tej nocy było inaczej. I coś mi mówiło, że tak mi już zostanie.

Leżałem przez jakiś czas, wsłuchując się w miarowy oddech Lary. W ustach dratwa po wypitym winie. Nie, dzisiaj już nie zasnę. Zwlokłem się z łóżka i zszedłem na palcach na dół.

Pochylony w kuchni nad laptopem żony, po ciemku, oblany tylko poświatą padającą z ekranu, połączyłem się z moimi braćmi i siostrami. Z ludźmi, którzy szykowali się już w poczekalni do odlotu w zaświaty i w ostatniej chwili

odwołano ten ich rejs. „Bóg dorzucił jeszcze jedno polano do mojego ogniska” — pisał jakiś mężczyzna.

Mężczyźni i kobiety, dorośli i dzieci ze wszystkich zakątków planety. I siedząc tak w komputerowym blasku, uświadomiłem sobie, że łączy nas to, że każde zawdzięcza życie niewyobrażalnej łaskawości jakiejś zupełnie mu obcej osoby. I że łączy nas coś jeszcze. Nie tylko uciekliśmy śmierci spod kosa. Zmieniliśmy się. Och, jakże się zmieniliśmy.

Zmieniliśmy się, i to jak. Zmieniliśmy ponad wszelkie pojęcie.

—Jestem frankensteinem — łkał po wybudzeniu Louis Washkansky, pierwszy człowiek, któremu w 1967 roku przeszczepiono serce w południowoafrykańskim Kapsztadzie. — Jestem frankensteinem.

—Nie frankensteinem, lecz aniołem — skorygowała pielęgniarka.

Wyłączyłem komputer. Kiedy wracałem do łóżka, za oknami było wciąż ciemno. Moja rodzina spała w najlepsze. A mnie serce podeszło do gardła, kiedy zobaczyłem go w lustrze, mijając ciemną łazienkę — zapuszczone, rozwichrzone włosy, oczy jasne i nawiedzone, zapadnięte policzki porośnięte szczecią nieogolonego zarostu, zwiotczała skóra. Takiego widoku w środku nocy można się było przestraszyć.

I dopiero po dłuższej chwili uświadomiłem sobie, że patrzę na siebie.

Rozdział siódmy

Stałem w sypialni przed lustrem w rozpiętej koszuli i znowu patrzyłem na szramę, która przecinała moją pierś. Była długa, świeża, czerwona, tak jakby ktoś próbował mnie niedawno przepiłować na pół z góry na dół. Przesunąłem po niej palcami i przypomniało mi się, jak dotykałem podobnej szramy na brzuchu żony po tym, jak wydała na świat naszego synka. Świat naznaczył mnie, tak jak wcześniej ją, jakby dla zasygnalizowania, że dobiegł końca jeden etap życia, a zaczął się nowy. Kiedy zabierałem się do zapinania koszuli, w progu stanęła Lara.

—Taksówka już jest? — spytałem.

—Nie jedziemy taksówką — odparta, uśmiechając się tajemniczo.

W sieni, oparte o ścianę, czekały rowery. Różowy „góral” Ruby, zachlapany błotem, które jeszcze nie obeschło, oraz wielki, czarny saracen dirtrax Rufusa, trzyletni, ale lśniący jak nówka. Czasami daje się dzieciom prezenty, a one wyrastają z nich, zanim je rozpakują.

Popatrzyłem na te rowery, potem na żonę.

— Żarty się ciebie trzymają — mknąłem.

— To ci dobrze zrobi — odparła, ściskając mnie za ramię. — A wiem, że już możesz — mrugnęła do mnie filuternie. — Rozumiemy się, koguciku?

— To, że mogę... nie znaczy jeszcze, że mogę...

— Ty weź ten różowy — wpadła mi w słowo. — Łatwiej się prowadzi.

— No, sam nie wiem... — wybąkałem, patrząc, jak Lara bierze duży czarny rower i wyprowadza go przez drzwi frontowe. Kręcąc z powątpiewaniem głową, chwyciłem kierownicę różowego roweru i wyszedłem za nią. Miała dwa kaski ochronne. Założyła mi jeden na głowę i zaczęła zapinać pod brodą.

— Dasz sobie radę — powiedziała.

Był to jeden z tych pogodnych dni, kiedy całe miasto pławi się w słońcu. Zjechaliśmy jedno za drugim z Primrose Hill między wysokie domy St John's Wood. To znaczy zjechała Lara, bo jeśli o mnie chodzi, to lepiej nie mówić. Oglądała się co chwila, upewniając się, czy ze mną wszystko w porządku. A w porządku nie było. Bałem się. Bałem się, że jeszcze trochę, a wyzionę ducha. Bałem się, że lada chwila będę zmuszony pożegnać się z tym światem. Bałem się, że spadnę z roweru.

Przed wejściem do Regent's Park zsiadłem z roweru i poprowadziłem go dalej za kierownicę. Lara też zsiadła ze swojego i szliśmy tak ramię w ramię. Domyślałem się, że wsłuchuje się w mój oddech — w to złajanie, które wynikało nie tyle ze zmęczenia, ile z tłumionej paniki. Skoncentrowany na wewnętrznej walce z tym lękiem aż podskoczyłem, kiedy dotknęła mego ramienia.

—George?

—Co?

Spojrzałem na nią z góry półprzytomnie. Patrzyła na mnie z uśmiechem.

— Uroczo tu, prawda? Park. Te piękne domy. Wskazała na zaprojektowane przez Nasha zgrabne szere-

gowce w stylu regencji, które okalają Regent's Park niczym górskie pasmo w niebie. Odchrząknąłem, niby to przyznając jej rację: „Tak, rzeczywiście uroczo”, ale myśli miałem akurat zajęte czymś innym.

— Dlaczego podziurawiłaś mi papierosy? — spytałem.

— Bo cię kocham — odparła Lara. — Jak chcesz, to możemy kupić ci kilka paczek. Żebyś mógł się dalej truć.

— Nie, masz rację — mruknąłem, pchając z ponurą miną rower mojej córki przez Regent's Park.

— Nic złego ci się nie przytrafi — podjęła Lara. Zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy na siebie. — Boja do tego nie dopuszczę. — Wytrzymała moje spojrzenie. — Obiecuję, zadowolony?

Wgramoliłem się z powrotem na różowy rower górski. Ale poczucie równowagi, pewność siebie i w ogóle to wszystko, co potrzebne, żeby jeździć na rowerze, całkiem już mnie opuściło. Wsunąłem się z jednej strony na siodło i natychmiast zsunąłem z niego na drugą. Rower przechylił się. Ratując się przed upadkiem, wyrzuciłem w bok nogę, ale było już za późno. Wyrzuciłem podbródkiem w pedał.

— Nie dam rady...

Ujęła w dłonie moją twarz. Oczy jej płonęły. I nic nie powiedziała. Wzięłam głęboki oddech, odczekałam chwilę, aż ból minie, i ponownie wsiadałam na rower, ale tym razem Lara trzymała go za kierownicę i siodełko jak znarowionego konia, który zaraz wierzgnie. Nadepnałam na pedał, a ona w dalszym ciągu trzymała za kierownicę i siodełko i nie puszczała.

Z początku rower kolebał się pode mną niepewnie i zdawałam sobie sprawę, że gdyby nie poświęcenie Lary, jak nic bym się wyłożył, ale nie trwało to długo, bo po chwili poczułam, że wraca mi biała magia równowagi, a potem zrobiło się już zupełnie dobrze, poczułam bowiem, że łapię dryg. A to dzięki niej. Przypomniało mi się, jak w tym samym parku uczyłam syna i córkę jazdy na dziecięcym rowerku z odkręconymi kółeczkami stabilizującymi. Najpierw nie rozwijaliśmy nadmiernej prędkości. Tempo było ślimacze i Lara bez trudu za mną nadążała. Potem nagle przeszła w trucht, ale dalej mnie podtrzymywała.

— Mam cię pod kontrolą — wysapała i już nie miałem najmniejszych wątpliwości, że czuję ten rower. Nacisnąłem mocniej na pedały i z płynną niewymuszoną gracją, pożyczoną jak gdyby od kogoś innego, zostawiłem Larę za sobą.

Roześmiałem się w głos. Odniosłem wrażenie, że po raz pierwszy w życiu śmieję się tak prawdziwie, że to śmiech wolny od wszelkich trosk. Nabierając wciąż szybkości, smagany w twarz prądem powietrza, wystrześliłem jak z procy z parku, przeciąłem trawnik i bocznym ślizgiem wypadłem na jezdnię Albany Street, zajeżdżając drogę rozpędzonemu samocho-

dowi z opuszczonymi szybami, z którego buchała głośna muzyka. Kierowca cudem mnie ominął. Mignęły mi rozszerzone twarze młodych ludzi za szybą. Jeden z nich rzucił we mnie papierowym kubkiem po kawie. Spudłował. Parsknąłem dzikim śmiechem.

—Lubię ten kawałek! — krzyknąłem za nimi i puściłem kierownicę, zwieszając ręce po bokach jak dwunastoletni gazeciarz kończący sobotnią kolporterską rundkę. Ktoś krzyknął z oburzeniem, kiedy na czerwonym świetle skręcałem w, o dziwo, niezakorkowaną Marylebone Road w kierunku West Endu. Podkurczyłem łokcie i poderwałem rower na tylne koło. Ktoś coś za mną krzyknął. Ledwie zrozumiałem:

—Mam cię!

*

—Hm — wymruczał mój kardiolog, pan Carver, studiując wyniki badań z taką miną, jakby miał przed sobą listę szlachetnych win i zastanawiał się, które by tu wybrać do kaczk. — Cyklosporyna z prednizolonem swoje robią, ale korci mnie, żeby wzmocnić ich działanie azatiopryną.

—No nie, cholera, jeszcze jedno lekarstwo do kompletu — jęknęła Lara z fotela pasażera przed wielkim, wysprzątanym biurkiem lekarza. — Jakby jeszcze mało ich brał. Czy zażywanie tego wszystkiego nie wywołuje aby jakichś skutków ubocznych?

Moja żona nie krępowała się mu postawić i wytrzymała lodowate spojrzenie, którym obrzucił ją sponad półksiężycowatych okularów do czytania.

— Owszem — odpowiedział, wstając. — Ubocznym skutkiem działania tych wszystkich leków — tego istnego szwedzkiego stołu środków przeciwozrostowych — jest utrzymywanie pani męża przy życiu.

Ja też wstałem i zacząłem rozpinąć koszulę, ale myślami błądziłem gdzie indziej. Po Harley Street*¹, z której dobiegał miły dla ucha gang dieslowskich silników czarnych taksówek. Po rozległej zielonej połaci Regent's Park na północy. Poczuvszy na piersi dotyk długich, zimnych palców lekarza, wstrzymałem oddech.

— Dobre serce się panu trafiło — orzekł, przyglądając się się mojej bliźnie. — Silne. Zdrowe. Młode. Serce młodego mężczyzny. Wrócił za biurko i patrzył na mnie.

— Chciałbym podziękować rodzinie mojego dawcy — powiedziałem. — Czytałem o tym w Internecie. Ludzie piszą do rodzin swoich dawców. Czasami nawet do końca życia. A nawet się z nimi spotykają.

— Owszem — przytaknął pan Carver. — I takie kontakty przybierają czasami bardzo emocjonalne formy. Podarunek życia. Przyjęcie go. Świadomość, że zmarły bliski dał komuś szansę na przedłużenie życia. — Długimi, kościstymi palcami zmiotł ze swojego biurka nieistniejący pyłek kurzu. — Ale rodzina pańskiego dawcy zastrzegła sobie anonimowość. To też się zdarza. A więc w pańskim przypadku pozostaje tylko przyjąć z pokorą i bez żadnych ceregieli to, co pan dostał.

— Ale ja bym chciał komuś podziękować.

¹ * Gabinet przy tej ulicy mają najlepsi lekarze w Londynie.

—Rozumiem — odparł. — To naturalne. Ale rodzina dawcy ma prawo do zachowania anonimowości. Mogę tylko zdradzić, że pańskim dawcą był dziewiętnastolatek, który zmarł w londyńskim szpitalu. Figurował w rejestrze dawców narządów i mogę jeszcze panu zdradzić, że prócz serca pobrano od niego również oba płuca, trzustkę, jelito cienkie, krew oraz szpik kostny.

Zastanowiło mnie, jak to możliwe, żeby taki zdrowy, młody człowiek z sercem jak dzwon nagle umarł? I już wiedziałem: zginął tragicznie.

—Czasami dziwnie się czuję — wyznałem.

—Nieswojo. — Carver uśmiechnął się ze zrozumieniem. Kiwnąłem głową.

—Jakbym... no nie wiem... jakbym był kimś innym.

—Takie odczucie jest rzeczą całkowicie naturalną — odparł doktor Carver. — Dziwiłbym się, gdyby pan go nie miał. Wielu pacjentów uskarża się na huśtawkę nastrojów, którą wywołuje końska dawka sterydów aplikowanych im po operacji. No i po takim czymś co pan przeszedł wszyscy się zmieniają. Ci, którzy mieli dawniej problem z nadwagą, biegają później w maratonach. Byli nałogowi palacze wdrapują się na Mount Everest. — Obdarzył mnie swoim uśmiechem z Harley Street. Spokój, profesjonalizm, doświadczenie; wszystko wliczone w te 450 funtów za godzinę. — Otarcie się o śmierć zmienia każdego.

—Ale to coś więcej — powiedziałem. — Czytałem o kobiecie, która miała lęk wysokości, a potem, po transplantacji, zaczęła uprawiać wspinaczkę wysokogórską. I o dziewczynce, którą zaczęły dręczyć okropne

koszmary, odkąd przeszczepiono jej serce zamordowanego dziecka. I o kobiecie, która wcześniej czytywała tylko plotkarskie czasopisma o celebrytach, a po przeszczepie przerzuciła się na Dostojewskiego i Jane Austen. I o...

Widząc uniesioną rękę Carvera, przerwałem tę wyliczankę.

— Ma pan na myśli zjawisko pamięci komórkowej — wyjaśnił miodopłynnym, profesjonalnie opanowanym głosem. — Osoby po przeszczepie, które rzekomo przejmują cechy charakterologiczne swoich dawców.

— Pełno tego w Internecie — zapewniłem go.

— W Internecie pełno również relacji ludzi, których jakoby uprowadzili kosmici — odparował. — Środowiska medyczne i naukowe uznają za rzetelnie udokumentowany tylko jeden jedyny przypadek metamorfozy, jaka zaszła u pewnej piętnastoletniej Australijki po przeszczepieniu nerki.

— A co się jej stało? — zainteresowała się Lara. Carver, siadając znowu za biurkiem, patrzył na nią. A kiedy już usiadł, odwrócił wzrok.

— Zmieniła jej się grupa krwi — powiedział cicho i na chwilę zaległo między nami milczenie. Potem kardiolog zachichotał. — Widzicie państwo, niektórzy ludzie już na zawsze pozostają pacjentami transplantologów. Nie potrafią się przemóc i zaakceptować daru, jaki otrzymali. Inni nie mają z tym większych problemów. Twierdzą, że dostali z powrotem swoje dawne życie. Albo że zaczynają nowe. Usilnie nalegam, żeby dziękował pan Bogu i skupił się na dochodzeniu do zdrowia. To teraz pańskie serce. — Jego dłonie spoczywające na wysprzątanym blacie biurka przypo-

minały dwa wielkie, białe pająki. — Dostał pan coś, o czym ludzie marzyli od wieków — szansę na drugie podejście do ułożenia sobie życia.

Zauważyłem, że mi zazdrości. Fascynowałem go. Wiele by dał, żeby się na własnej skórze przekonać, jak to jest, kiedy się dostaje tę drugą szansę. Ale ja słuchałem go tylko jednym uchem. Myślni byłem już na zewnątrz — dzień taki piękny, a ja marnuję czas w tych czterech ścianach.

A kiedy wreszcie znalazłem się tam fizycznie, wskoczyłem na rower i popedałowałem przed siebie, upajając się przepięknym porankiem, wystawiając twarz na prąd powietrza i promienie słoneczne, pedałowałem ze wszystkich sił jak szajbus przeświadczony, że będzie żyć wiecznie.

Bóg dorzucił jeszcze jedno polano do mojego ogniska. I im szybciej pedałowałem, tym bardziej czułem, że ono się zajęło i płonie.

*

Spodziewałem się czegoś w rodzaju klubu nocnego. Sam nie wiem — stolików z lampką na każdym, kelnerki roznoszących koktajle. No, może jeszcze parkietu do tańca. Ale to był pospolity eastendowski pub, wszystko zbrązowiałe od nasiąkania przez lata dymem z papierosów i rozchlapanym piwem, do tego mała scenka ze strażackim słupem pośrodku dla tancerek, które popisywały się przy nim w środowe i sobotnie wieczory.

Dziś wypadła wieczór otwartego mikrofonu i lokal pękał w szwach. Dziwne, bo na afiszu nie doczytałem się żadnego znanego nazwiska. Nikogo, kto kiedykolwiek pojawił się w telewizji, a przecież w telewizji mógł wystąpić teraz każdy kretyn.

Ale salę zapełniali podchmieleni już, uśmiechnięci i wrzaskliwi młodzi mężczyźni i kobiety z butelkami piwa w dłoniach. Wszyscy wpatrywali się w scenę, przez którą przewijały się ofiary z ludzi.

Ruchem kierował konferansjer stojący na skraju sceny. Miał ciemną skórę, azjatyckie rysy i nosił biały T-shirt z nadrukami *Nie mylić mnie z Zulusem —jestem Hindusem* na piersiach i *Nie panikujta zasrańce — nie jestem muzułmańcem* na plecach. Kiedy widownia wyrażała bezceremonialnie swoją dezaprobatę dla występującego, wyłączał mikrofon i prosił następnego delikwenta.

Na scenie produkował się teraz uśmiechnięty, spocony tłuscioszek w błyszczącym garniturku.

— Och, jak ja nienawidzę Londynu — mówił śpiewnym akcentem z okolic Newcastle. — Cholernie nienawidzę. Wy, cockneye, jesteście tacy grubiańscy. Dzwoni człowiek pod dziewięć dziewięć dziewięć i słyszy od operatora: „Streszczaj się, palancie”.

Ktoś z sali cisnął w niego kebabem i trafił w twarz.

Konferansjer wyłączył mikrofon i tłuscioszek, wciąż uśmiechnięty i zlany potem, zmył się w niesławie ze sceny z cząstkami pomidora i sałaty na klapach połyskującej jak skóra rekina marynarki.

I nagle ścisnęło mnie w dołku, bo na scenę wmaszerował Rufus z tym wymuszonym uśmiechem, który widywałem u niego bardzo dawno temu. Kiedy pierwszy raz szedł do szkoły, kiedy jako ostatni zjawił się na przyjęciu urodzinowym jakiegoś kolegi i w ogóle kiedy powstrzymywał łzy. Był to uśmiech maskujący przerażenie.

Zaklaskałem, ale nikt nie poszedł za moim przykładem. Rozległo się kilka sarkastycznych okrzyków — tyle sarkazmu na tym świecie, skąd on się bierze? — ktoś zabuczał. Poczułem, jak matka Rufusa tężeje u mojego boku. Wziąłem ją za rękę i mocno ścisnąłem.

— Wszystko musi być teraz wygodne, wszystko proste — zaczął Rufus. Powiedział to za głośno, za bardzo zbliżając usta do mikrofonu. Przeróżliwy wizg sprzężenia zwrotnego poraził uszy publiki zapelniającej zbrawoziwały pub. Ktoś zarechotał ironicznie. Nie musiało to mieć nic wspólnego z tym, co powiedział Rufus, ale mogło. Znowu — to złośliwe dążenie do udupiania wszystkiego, jak leci, w zarodku. Mój syn zasłaniający się uśmiechem przed tym bezwzględny światem uznał to chyba za zachętę.

— Szybkie wybieranie numeru dajmy na to — ciągnął. — Komu to potrzebne? Co, nie mamy już czasu albo jesteśmy zbyt załatani, żeby wybrać jakiś tam numer telefonu na piechotę?

— Oj, spadaj! — ryknął ktoś z irracjonalną wściekłością i ze wszystkich stron podniosły się głosy wazeliniarskiego poparcia.

— Przynudzasz! — wrzasnął ktoś inny. Ta straszna hałastrza potrafiła zbić człowieka z pantałyku. Wytlukłbym ich wszystkich do nogi.

Ale Rufus uśmiechnął się, jakby go to bawiło, i brnął dalej, i zrobiło mi się go cholernie żal, kiedy jakiś palant chlusnął mu piwem na spodnie.

Jeszcze głośniejsze pokrzykiwania i wszędzie wokół uniesione w górę blade gęby, jakby wężące, wyczuwające w powietrzu zapach ofiary.

— W książce... — dukał Rufus — ...książce adresowej mojego telefonu mam wbite dwa numery szybkiego wybierania — gorącej linii Dobrych Samarytan dla samobójców i pizzerii Dominos Pizza... Sam już nie

wiem, ile razy dzwoniłem do Dominos Pizza i jęczałem, że już nie mogę, że to moje ostatnie podrygi — i za każdym razem jakaś miła Polka pytała mnie: „Coś do picia albo jakiś deser do tego?”.

Roześmiałem się i spojrzałem na Larę. Twarz miała jak z kamienia, nie odrywała oczu od Rufusa.

A on brnął dalej, nie przerywając, żeby nie dopuścić do głosu prześmiewców z sali.

— I sam nie wiem, ile razy dzwoniłem pod ten numer dla samobójców i mówiłem: „Kurza twarz, nie polaliście mojej pizzy keczupem!”.

Tsunami piwa zalało scenę i naszego syna, ale niezrażony tym Rufus mówił dalej, tyle że do wyłączzonego już mikrofonu. Ze ściśniętą krtanią patrzyłem, jak sterczy tam wciąż z tym swoim błagalnym uśmiechem w stylu: Pokochaj-mnie-okrut-ny-świecie na ustach. Jakiś popapraniec koło mnie zrywał boki ze śmiechu. Już miałem mu przyfasolić, kiedy Lara pociągnęła mnie za rękę.

— Chodź — powiedziała, nie odrywając oczu od schodzącego ze sceny Rufusa. Przecisnęliśmy się przez tłum i weszliśmy za kulisy, chociaż to chyba zbyt szumne określenie tego, co znajdowało się za wystrzępioną kurtyną z boku sceny. Był to wąski korytarzyk z rządkiem poobijanych srebrnych baryłek beczkowego piwa pod ścianą i pełen zdenerwowanych młodzieńców tudzież równie zdenerwowanych dziewcząt z przejęciem powtarzających sobie na głos monologi, które mieli za chwilę wygłosić.

Rufusa znaleźliśmy w klitce wielkości dużej trumny. Graffiti na ścianach, brak okna, duchota. Smród potu i strachu wprost zatykał. Spojrzał na

nas. Włosy miał mokre, pozlepiane piwem, które na niego wylano. Lara pogłaskała go po nich.

— Och, spójrz tylko na siebie.

Nie odepchnął mnie, kiedy go objąłem.

— Jestem z ciebie dumny — wyszeptałem.

— Dzięki, tato — powiedział.

Zaprzagnąłem jak najszybciej znaleźć się w domu. Nalać wszystkim po drinku, a jemu minerałki. Chciałem, żebyśmy wszyscy byli razem. Obojętne gdzie. Ale do kanciapki zajrzała jakaś chuda dziewczynina w spranych dżinsach i uzmysłowiłem sobie, że Rufus może mieć inne plany na ten wieczór. Nie przedstawił nas dziewczynie ani jej nam. Ale podziękował, że wpadliśmy, i wyczułem, że to dużo dla niego znaczy. Uścisnąłem go więc z taką siłą, że aż stęknął. Roześmialiśmy się obaj i on poklepał mnie po plecach.

Zostawiliśmy go w pubie. Lara odezwała się dopiero, kiedy siedzieliśmy już w samochodzie, po sprawdzeniu, czy zamek centralny zadziałał.

— Nie wiem, czy dobrze robisz, że go zachęcasz — powiedziała.

Westchnąłem ciężko, dając jej tym do zrozumienia, że psuje mi dobrą zabawę.

— Nie przesadzaj — burknąłem. — W jego wieku przebierałaś się za kocię i przeżyłaś przy muzyce Andrew Lloyda Webbera.

— Ale byłem w tym dobra — odparła cicho. — Kiedy zaczęłam występować w tym kostiumie kocię, miałam już za sobą lata praktyki. Ćwiczyłam, uczyłam się, gimnastykowałam. Mama i babcia prowadziły mnie na lekcje tańca, na castingi. Balet, stepowanie, jazz. I tak rok po roku. Dwie

dekady robienia szpagatów. — Teraz to ona westchnęła. — Nie wychodziłam z założenia, że taniec pozwoli mi... sama nie wiem. Z dnia na dzień zaistnieć.

Patrzyłem ponuro na ciemne ulice West Endu. Przed nami skrzyły się światłami wieżowce Canary Wharf. Chciałem, żeby zrozumiała. Musiałem ją przekonać.

— On jest w tym wieku, kiedy człowiekowi wydaje się, że świat stoi przed nim otworem. Kiedy ma jeszcze marzenia. To rewelacyjne uczucie, Laro. — Spojrzałem na nią z uśmiechem, żeby przeciągnąć ją na swoją stronę. — Cudowny sposób postrzegania świata. Wierzyć, mieć pewność, że masz go u swych stóp. Roześmiała się ironicznie.

—Ale to mrzonki — powiedziała. — On nie leży u twoich stóp, prawda? Świat nie jest taki.

—Niestety, nie jest — przyznałem z goryczą. — I Rufus to wkrótce zrozumie. Ten stan ducha nie trwa długo. W wieku dwudziestu paru lat człowiek nadal myśli, że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych, ale zdaje już sobie sprawę, że urzeczywistnienie planów musi zająć trochę czasu. Po przekroczeniu trzydziestki zaczyna mu świtać, że właściwie nie jest światu do niczego potrzebny, że z powodzeniem kręciłby się i bez niego. Ale wtedy jest już prawdopodobnie uwikłany w małżeństwo, w kredyt hipoteczny i ma na karku dwójkę dzieci.

—Tak, przepraszam cię za to, George. Przepraszam, że cię uwikłałam. Pokręciłem głową.

—Nie mówię o sobie.

—Ale tak to zabrzmiało.

—Zmierzam do tego, że w życiu każdego człowieka nadchodzi moment, kiedy uświadamia sobie, że nigdy nie będzie tym, kim chciał zostać... i wtedy po raz pierwszy dopadają go kłopoty ze zdrowiem, ale jeszcze nie takie poważne. Potem podupada na zdrowiu po raz drugi, i to już jest poważna sprawa. I jakiś czas później — po roku, dziesięciu latach, dwudziestu — umiera. Kie lichy? Co jest? A to. To skończyło się twoje życie, stary. To było moje życie? A mogę prosić o powtórkę? Mogę się komuś poskarżyć? Mogę spróbować jeszcze raz? Przykro mi, stary — żadnych powtórek, żadnych ksiązek skarg i zażaleń, żadnych drugich podejść. — Uderzyłem lekko pięścią w kierownicę. — I dlatego ani myślę pozbawiać go marzeń. Świat sam go ich pozbawi, i to niedługo. — Zalaływało od nas piwem, którym zostaliśmy ochlapani w pubie. — On musi mieć jakieś marzenia — oświadczyłem z naciskiem, spoglądając na żonę i z powrotem na drogę. — Bo jak nie, to co?

— Nawet gdyby te marzenia bokiem mu wyszły? — spytała Lara, ale jej nie odpowiedziałem. Woląłem trzymać gębę na kłódkę i udawać, że całą moją uwagę pochłania ruch na zatłoczonej Mile End Road.

Widać już było światła Kentish Town, gdzie mieszkaliśmy, kiedy bliźna na piersi zaczęła pulsować jak szalona. Powitałem ten ból jak starego przyjaciela. Odciągał moje myśli od wszystkiego innego — od obawy, z jaką patrzymy na swoje dzieci śmiejące się do nas ze szczytu drabinek na placu zabaw, od lęków związanych z kończącymi się oszczędnościami i nieubłagany procesem starzenia się, od szwankującego bojlera pozostawionego w stanie czuwania — od trosk codziennego życia, które w końcu nas wyjaławiają.

*

Obudziłem się o świcie. Kremowe światło wstającego dnia przesączało się przez zasłony w oknie. Jeszcze w półśnie poczułem tę rozkoszną, nieproszoną twardość.

Z cichym jękiem przekręciłem się na bok. Wdychając zapach włosów Lary, które umyła przed położeniem się do łóżka, żeby pozbyć się odoru z pubu, przywarłem do jej uda. Wtulony w nią, błędząc dłonią po jej krągłościach opiętych bawełnianą piżamą, wyobrażając sobie rozkosze, których za chwilę zaznam, znowu mimowolnie zajęczałem.

Co za kobieta. Kobieta nad kobiety.

Odsunęła się ode mnie z pomrukiem rozdrażnienia, który miał swoje źródło gdzieś w głębi i wydostał się na zewnątrz przypadkiem, wraz z westchnieniem zniecierpliwienia.

— Tobie tylko to jedno w głowie? — wymamrotała i zanim odwróciła się plecami, dziwnie na mnie spojrzała. Zupełnie jakby mnie już nie poznawała.

*

Stałem w kafejce Never Too Latte, czekając na swoje zamówienie, docierało do mnie, że Lara miała rację. Po głowie tłukło mi się w zasadzie to jedno. Nic dodać, nic ująć. Bo jak się dobrze zastanowić, to czy jest na tym świecie coś ważniejszego? No jest?

Dziewczyna z Never Too Latte była odwrócona do mnie plecami i robiła właśnie to coś srebrnemu dozownikowi skondensowanego mleka. Za każdym razem, kiedy srebrny dozownik strzyknął porcją mleka, chwyciła go prawą ręką i wstrząsała. Potem jej dłoń owinięta białą ściereczką pocierała cylinder na całej długości ruchem posuwisto-zwrotnym, który coś mi nieodparcie przypominał. Z dziobka dozownika skapnęła pojedyncza kropelka skondensowanego mleka.

No, jasny gwint. I co ja niby miałem sobie pomyśleć? Niby z czym miało mi się to skojarzyć? Bo raczej nie z przyrządzaniem przez kogoś filiżanki kawy.

A ona robiła to teraz powoli — rozpusznica jedna. Jej dłoń owinięta białą ściereczką sunęła wolniutko, wolniuteńko wzdłuż cylindra, wyciskając go do cna. Fascynująca praca nadgarstka.

Oczy wyszły mi na wierzch, z trudem przełknąłem ślinę i obejrzałem się na klientów stojących w kolejce za mną. Miny mieli obojętne, znudzone. Może to tylko ja?

Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na mnie pytająco. Coś mówiła. Weź się w garść, George, musisz się skoncentrować. Była to jedna z tych zaharowanych, ładnych dziewcząt, jakich w city od groma — z Bałkanów, znad Bałtyku czy innego zadupia. Podparta pod boki czekała na moją reakcję.

— Co? — bąknąłem.

Westchnęła ciężko, niemal zginając się przy tym wół. Jej drobna, idealnie ukształtowana klatka piersiowa wznosiła się i opadała miarowo pod obcisłym granatowym T-shirtem Never Too Latte.

— Pytam, jaką pan sobie życzy?

Otworzyłem usta. I zamknąłem je. Poruszała wargami — tymi słodkimi wargami z Bałkanów, znad Bałtyku albo z innego zadupia. Nie wierzyłem własnym uszom.

— Ta mała czarna ma być słodka i gorąca? Założę się, że chcesz słodką i gorącą, zgadłam, zbereźniku? I mocną. Bardzo, bardzo mocną. Takie najbardziej lubisz, prawda? Właśnie takie, świntuszku? I dużo mleczka — idę o zakład, że lubisz, jak mleczko rozplywa się po całym twoim ciele i ścieka...

Zaraz, zaraz. Czy ona to naprawdę mówi? Czy tylko coś mi się roi.

Mężczyzna stojący za mną zaszeleścił niecierpliwie gazetą. Zmęczone, niebieskie oczęta patrzyły na mnie wyczekująco.

— Pytałam, czy czekolada też ma być? Kiwnąłem głową.

— Tak, poproszę.

Wyszedłem z Never Too Latte na miękkich nogach, czerwony jak burak, trafiony żądzą i wstydem, z palcami upačkanymi czekoladą przemieszana z mleczkiem.

Rozdział ósmy

Siedzieliśmy w dwunastoosobowym kółeczku w wynajmowanej na dwie godziny salce nad kwaciarnią. Przed nami urzędował tu Taniec Brzucha dla Początkujących, po nas wchodzili Anonimowi Narkomani. Za wynajem płaciliśmy po dziesięć funtów od łebka. Całkiem przystępna cena. Grupa składała się z samych mężczyzn w różnym wieku i różnych ras. Ale pod koszulami nosiliśmy wszyscy takie same blizny.

— Zaczniemy od wyrażenia swojej wdzięczności za to nowe życie — zaintonował Larry, nasz lider.

Wzięliśmy się wszyscy za ręce i zamknęliśmy oczy.

Szczerze mówiąc, to nie byłem entuzjastą tego trzymania się za ręce ani wywnętrzania na stojąco przed zbieraniną obcych mi w zasadzie ludzi. Ale mój kardiolog, doktor Carver, twierdził, że dobrze mi zrobi kontakt z takimi, którzy przeszli przez to samo, co ja, że to pomoże mi w poradzeniu sobie z tak zwanym psychicznym stresem związanym z transplantacją. No i podobał mi się Lany. Był to sympatyczny, łysy jak kolano olbrzym, od któ-

regu wprost biła ciepła pewność siebie. Może mnie nią zarazi, myślałem sobie.

— Jesteśmy wdzięczni naszym rodzinom za wsparcie — ciągnął Lany, zwieszając swoją wielką, łysą głowę jak do modlitwy. — Jesteśmy wdzięczni za dar życia. Jesteśmy wdzięczni lekarzom za ich kwalifikacje. I jesteśmy wdzięczni dawcom, bez których nie byłoby nas już na tym świecie.

Lany otworzył oczy i zachęcił nas do zwierzeń. I posypały się jak z worka. Wszystkie utrzymane w optymistycznym tonie. I nie dziwota. Ci ludzie zajrzeli śmierci w oczy. Mało brakowało, a zamiast siedzieć nad kwaciarnią przy Hamps-tead High Street, wachałoby teraz kwiatki od spodu.

Był to jakiś uwznioślony rodzaj optymizmu, pełen zadziwienia, euforyczny optymizm ludzi nie do końca wierzących w szczęście, jakie ich spotkało. Mężczyźni z naszego kółeczka mówili o cudach.

— Przez wiele lat katowałem swój organizm — rozpoczął swoją historię niski facet w okularach po mojej prawej, wstając. — Palilem, piłem i niezdrowo się odżywiałem. Ciało, zamiast świątynią, było dla mnie zsympem na śmieci. — Kółko skwitowało to nerwowym chichotem. — A teraz po raz trzeci startuję w maratonie.

Stał jeszcze przez chwilę, tak jakby czekał, aż przebrzmi echo jego słów, potem usiadł.

— Dzięki, Geoff — odezwał się Lany. Dał znak mężczyźnie po mojej lewej. Wysokiemu i chudemu. Najmłodszemu z nas wszystkich. Facet podniósł się powoli z krzesła.

—Zawał dopadł mnie, kiedy moja żona była w szóstym miesiącu ciąży — zaczął drżącym głosem. Spojrzał ponad moją głowę na Geoffa. — Nigdy nie paliłem. Nigdy nie przesadzałem z piciem. — Otarł grzbietem dłoni oczy. Milczeliśmy. Staraliśmy się na niego nie patrzeć.

—W porządku, Paul — przerwał mu Lany, przejmując inicjatywę. — Jeśli to dla ciebie za trudne...

Paul pociągnął nosem, pokiwał zapamiętałą głową i wyjął portfel. Otworzył go i pokazał zebrany zatkniętą w nim fotografię. Przedstawiała uśmiechniętego brzdąca na słonecznej plaży.

— To Yasmin — powiedział. — W przyszłym tygodniu kończy trzy latka. — Potrząsnął głową, zamknął portfel. — Nic dodać, nic ująć.

Usiadł. Lany wstał, podszedł i objął go. Potem wrócił na swoje miejsce, spojrzał z uśmiechem na mnie i skinął zachęcająco głową. Wziętem głęboki oddech i wstałem.

— Bywa, że całymi nocami ślęczę w Internecie — powiedziałem, wpychając ręce głęboko w kieszenie swoich nowych dżinsów marki Diesel. — I dużo się z niego dowiaduję. O takich jak my. Ludziach po przeszczepie. Niedawno przeczytałem tam o mężczyźnie z Gruzji, który dostał serce samobójcy i dwanaście lat później popełnił samobójstwo w ten sam sposób, co dawca.

Uniosłem rękę do czoła, kiedy ten mikry po mojej prawej — Geoff? — prychnął niedowierzająco. Zignorowałem go i brnąłem dalej:

— I przeczytałem o kobiecie, która dostała serce mężczyzny, i ni z tego, ni z owego zaczęła chodzić jak futbolista, żłopać piwo i obżerać się kurczakami z Kentucky Fried...

Geoff parsknął śmiechem. Ale zaraz zatkał sobie dłonią usta i ściągnął twarz.

— Przepraszam — wydukał. A ja wciąż go ignorowałem.

— Przejęła wszystkie odruchy i nawyki dawcy — ciągnąłem. — I dzieje się tak nie tylko w przypadku transplantacji serca. Jednej piętnastoletniej Australijce po przeszczepie wątroby zmieniła się grupa krwi. Naprawdę się zmieniła. — Pokręciłem głową. — Dziesiątki, może nawet setki, tysiące ludzi z całego świata, którym, tak jak nam, coś przeszczepiono, twierdzą, że po operacji się zmienili. Zmienili się. Siedmioletnią dziewczynkę, której przeszczepiono serce zamordowanego dziecka, zaczęły dręczyć senne koszmary. Pewna Amerykanka cierpiąca dawniej na lęk wysokości, wspina się teraz na góry...

Geoff podniósł rękę.

— Nie kończ, sam zgadnę — powiedział. — Jej dawczynią była kowalica.

— Ale ja nie muszę zarywać nocy, żeby się tego dowiadywać — kontynuowałem. — Bo ja to wiem. Wiem po sobie. Tak jest naprawdę. I nie w samej zmianie rzecz. To jest tak, jakby oni, jakbyśmy my, stawali się kimś innym. — Odgarnąłem kosmyk z czoła. Zapuszczałem włosy. — Nowymi ludźmi — zakończyłem i usiadłem.

Geoff stłumił markowane ziewnięcie.

— Mówisz o zjawisku pamięci komórkowej — powiedział. — Pic na wodę — fotomontaż. Jest nawet na to takie fachowe medyczne określenie: gówna prawda.

Śmiech. Poczulem, że dostaję wypieków. Lany uniósł obie ręce.

— Pamiętajmy, że serce to tylko pompa — rzekł łagodnie, zwracając się do wszystkich, lecz patrząc na mnie.

Lubiłem go, ale drażniło mnie, że trzyma się oficjalnego stanowiska jak pijany płotu, jakbym słyszał swojego kardiologa. Tylko jeśli wymienisz głównie miecza, a potem jego rękojeść, to czy to nadal ten sam miecz? No, co ty na to, Geoff?

— Organy pobierane są do transplantacji już po śmierci dawcy — ciągnął Lany, uśmiechając się do mnie z nieskończoną wyrozumiałością. — Przeszczep nie zmienia twojej osobowości ani zachowania.

— A huśtawkę nastrojów wywołują końskie dawki sterydów — wyrwał się Geoff.

Spojrzałem na niego spode łba, szczerząc zęby i zaciskając pięści.

— Nie mam żadnej huśtawki nastrojów! — wywarczałem mu z furją w twarz.

Odsunął się przestraszony.

Larry znowu uniósł ręce w uspokajającym geście.

— George — powiedział, zupełnie jakby mnie znał. I chyba pod wieloma względami, które się liczą, znał. Widział mnie dzisiaj po raz pierwszy w życiu, ale niektórym tyle wystarcza. — Masz na imię George, tak?

Zwiesiłem głowę i kosmyk znowu opadł mi na czoło. Nie odgarniałem go. Twarz płonęła mi ze wstydu. Przecież chciałem powiedzieć coś optymistycznego.

— Po pierwsze, George — ciągnął cicho Larry — wypadaloby przeprosić Geoffa, że tak na niego naskoczyłeś. — Czekal jak nauczyciel pacyfikujacy bijatyke na szkolnym boisku. — Po co te nerwy?

Pokrecilem glowa, przygryzlem warge i zaszuralem tenisowkami. Przeprosiny nie chialy mi przejść przez gardlo. Poprawilem sie na krzesle. Zalezalo mi na tym, zeby Larry mnie polubil.

—Przepraszam, Geoff — wyburczalem w koncu.

—Nie ma za co — odburknela ta menda, Geoff.

—Organy wewnetrzne nie sa nošnikiem pamieci genetycznej — ciagnal Larry.

Spojrzałem na niego i w dekolcie rozpiętej pod szyją koszulki polo marki Lacoste zobaczyłem bliznę.

Jak nie są, jak są, pomyślałem. Bo jak to inaczej wyjaśnić?

Ludzie wynajmujący tę salkę nad kwaciarnią nie byli sobą. Byli duchami. Duchami tych, którzy nas ocalili. Tych, dzięki którym ziściły się te cuda.

Prawie wyczuwałem ich obecność, czułem, jak nagabują nas, żebyśmy się do nich upodobnili. Słyszałem bicie ich serc, słyszałem ich szepty, wyczuwałem, jak kłębią się pod drzwiami. Ale to byli tylko nawróceni koka-
iniści z klubu Anonimowych Narkomanów czekający na swoją kolej. Jednego z nich jakbym już gdzieś widział. Przystojny, czarnowłosy ni to Irlandczyk, ni Hiszpan, twarz zdecydowanie znajoma. Czyżby jakiś wyrokowiec? Skoro był ćpunem na odwyku, to całkiem możliwe, że go kiedyś tam za coś zgarnąłem.

Kiedy nasz czas się skończył i wychodziliśmy, a tamci wchodzili, spojrzeliśmy sobie obaj w oczy i on szybko odwrócił wzrok. Parsknąłem śmiechem. Niektórym typkom spod ciemnej gwiazdy wystarczy na mnie spojrzeć, a już wiedzą, czym się trudnię. Żona twierdzi, że zdradza mnie rozmiar obuwia. Mnie się wydaje, że to raczej przez sposób, w jaki patrzę na takich jak oni. Ale fakt pozostaje faktem.

Gliniarza potrafią wyniuchać na milę.

*

Siedziałem z Lanym w pubie sąsiadującym z kwiaciarnią i patrzyłem, jak on raczy się guinnessem.

— Mmmm — wymruczał rozanielony. — Założę się, że mój dawca był piwoszem.

Roześmiał się, kiedy posłałem mu karcące spojrzenie.

— Przepraszam. Kiepski żart. — Jego duża, mięsista twarz spoważniała. — Efekty uboczne rzecz jasna się zdarzają. Chemiczne, psychologiczne, emocjonalne. Osoby przewlekle chore, całkowicie uzależnione od swoich partnerów, stwierdzają nagle, że znowu stać je na samodzielność.

Przypomniałem sobie minę Lary.

— Ja nie chcę żadnych zmian — odparłem. — Chcę, żeby wszystko zostało po staremu.

— Otóż to — podchwycił, nie do końca rozumiejąc, co miałem na myśli. — Odzyskana po latach wolność może przysparzać nieliczych proble-

mów. — Pociągnął sążnisty łyk piwa. — Spójrz na to w następujący sposób: twoje nowe życie jest darem. I to jakim, w porównaniu z alternatywą.

Do naszego stolika podeszła kobieta z dwojgiem dzieci. Drobna, ładna, rudowłosa, z bliźniętami, chłopcem i dziewczynką mniej więcej jedenastoletnimi. Larry ogarnął całą trójkę naraz niedźwiedzim uściskiem swoich potężnych ramion, a kiedy zamawiał im coś do picia, jego żona spojrzała na mnie z uśmiechem.

— Larry mówi, że jest pan policjantem — powiedziała. — To chyba bardzo ekscytujący zawód.

I w tym momencie do pubu wszedł on. Ten przystojny czarnowłosy Irlandczyk wyczulony na punkcie gliniarzy.

Przemaszerował pewnym krokiem przez salę, tak jakby dokładnie wiedział, dokąd zmierza. Przy barze siedział jakiś mężczyzna. Na widok Irlandczyka wstał i zniknęli razem w toalecie.

— Owszem, jestem policjantem, ale nie takim typowym — odrzekłem.

*

Wyważyłem kopniakiem drzwi do toaletowej kabiny. To nie takie trudne. Wystarczy kopnąć tuż pod klamkę. Otworzyły się z hukiem. Tamci dwaj byli właśnie w trakcie dzielenia na porcje kupki jakiegoś białego proszku usypanej na wierzchu spluczki. No i co to niby było? Irlandczyk stał schylony, zatykając palcem jedną dziurkę nosa, żeby lepiej weszło, ten

drugi trzymał w ręku brzytwę i zwinięty banknot. Spojrzał na mnie i szybko upuścił brzytwę. Uśmiechnąłem się do Irlandczyka.

— Ja ciebie znam — powiedziałem.

*

— Rufus w domu? — spytałem, całując żonę w policzek.

— U siebie, na górze — poinformowała mnie Lara i wymieniła uprzejme uśmiechy z gościem, którego przyprowadziłem.

Odniosłem wrażenie, że z miejsca go rozpoznała. A przynajmniej zaświtało jej, że skądś go zna, tylko nie bardzo wie skąd. Przed dziesięciu laty Irlandczyk był wziętym komikiem u szczytu kariery. Pełno go było wtedy w radiu, w telewizji, na rozmaitych odwykach. Ale dla Eamona Fisha dni sławy dawno przeminęły. Gdzieś po drodze, gdzieś pomiędzy festiwalem w Edynburgu i Priory, jego miejsce zajął ktoś młodszy, bardziej cięty, trzeźwiejszy. Mimo wszystko czułem się zaszczycony, że goszczę go w swoich progach. Wchodził za mną na piętro niczym ministrant za księdzem.

W życiu trzeba mieć trochę fartu, myślałem. Ten drugi nie wyciąga noża, chociaż ma go w kieszeni. Działka narkotyku nie jest przyprawiona trutką na szczury, a jeśli już czymś, to co najwyżej sztucznym słodzikiem. Pędzący na człowieka samochód skręca w ostatnim momencie. Bez tej odrobiny fartu daleko się nie zajdzie. I właśnie tę odrobinę fartu sprowadzałem teraz do domu z myślą o swoim synu.

—Rufusie! — zawołałem, puknąłem raz w drzwi i weszliśmy do pokoju mojego syna. Siedział na łóżku i czytał *Love AU the People* Bilia Hicksa w kieszonkowym wydaniu. Spojrzał na Eamona Fisha i szczeka mu opadła.

—Dobra, dobra — westchnął Eamon, podał mu rękę i oficjalnie przeze mnie przedstawiony kiwnął głową. — Pokaż, co tam masz.

Usiadł w nogach łóżka Rufusa, a Rufus wstał. Ja również usiadłem na łóżku, ale z drugiego końca, prawie na poduszce, można by pomyśleć, że zostawiam miejsce dla kogoś, kto zaraz do nas dołączy. Rufus patrzył na mnie i uśmiechał się głupawo. Co tu ukrywać, wszyscy byliśmy trochę spezeni. Ale mogło być gorzej.

Mój syn wziął głęboki oddech.

— Bardzo bym chciał zapoznać jakąś dziewczynę do rzeczy — zaczął — ale w dzisiejszych czasach romantyczności jak na lekarstwo. Wczoraj wieczorem objąłem taką jedną. Dygotała na całym ciele, usta miała rozpalone. — Urwał i odczekał chwilę. — Okazuje się, że miała malarię.

Pukanie do drzwi. .!-

—Chcecie herbaty?! — zawołała zza nich Lara.

—Nie, dziękujemy! — odkrzyknąłem, trochę za głośno, jak do namolnego świadka Jehowy. Zerknąłem na Eamona. Twarz miał jak z kamienia. Po policzkach nie ciekły mu łzy rozbawienia, nie klepał się po udach, nie skręcał ze śmiechu. A w moim mniemaniu było z czego. Inna sprawa, że zaliczałem się do najzagorzalszych fanów mojego syna.

—Czasami... czasami myślę sobie, że jeśli chodzi o miłość, to występuje ona tylko między mężczyzną i kobietą, którzy się nie znają — ciągnął

Rufus, spacerując przed nami wte i wewte po małym pokoiku. — Facet w moim wieku... nabuzowany hormonami...

Zachichotałem i pokiwałem głową.

— Ludziom się wydaje, że taki ktoś jak ja robi to na okrągło — kontynuował Rufus. — A prawda jest taka, że w moim przypadku seksu tyle, co zasiłku dla bezrobotnego...

— Coś tam skapnie raz na tydzień — podchwycił Eamon — ale nie na miarę potrzeb. Podobał mi się zawsze ten monolog. — Uniósł gęste czarne brwi. — Wal dalej.

Rufus zatarł dłonie. Oblizał wargi. Pot zraszał mu czoło.

— Moje życie seksualne jest do bani — podjął. — Gdyby nie kieszonkowcy, w ogóle bym go nie miał. — Podkreślił tempo, mówił za szybko, chciał jak najprędzej mieć to już za sobą. Nadal się uśmiechałem, ale bardziej z rozpędu niż rozbawienia. — Ja się, cholera, nie nadaję na singla — ciągnął Rufus. — Bywa, że zmywam talerz po kolacji, ścielę łóżko i myślę: Boże, za miesiąc też będzie tak samo.

— Dno — warknął Eamon i Rufus zatrzymał się jak wryty, czerwieniejąc na twarzy. — Do dupy jesteś. Kompletne beztalencie. Won ze sceny.

Rufus spojrzał na mnie, potem na Eamona. Uniósł ręce i rozczapierzył je gestem wędkarza pokazującego, jaka sztuka urwała mu się z haczyka. Ale milczał. Wyraźnie go zatkało.

— Won! — wrzasnął Eamon. — Won! Won! Won! Następny, proszę! Trujesz, stary! Przynudzasz!

— Spokojnie — wtrąciłem się, kładąc dłoń na ramieniu skórzanej kurtki Eamona.

Stracił ją gniewnie.

— Taka jest twoja metoda? — zwrócił się do Rufusa, wstając. — Taki sposób na położenie dobrego tekstu. Stajesz z rozdziawioną gębą i wyglądasz tak, jakbyś za chwilę miał się rozbeczeć? Tym próbujesz rozbroić złośliwców? No tym?

— No... — Rufus zająknął się. — Przeważnie.

— Słuchaj, przez cały czas musisz mieć pod kontrolą dwie rzeczy — ciągnął Eamon. — Swoją tekst i swoją widownię. To twój występ, prawda? Twój światek. Musisz unieszkodliwić krytykantów. Wdeptać ich w ziemię jak mrówki. To proste. Oni wszyscy są podpici. To idioci. Nieudałki. Nie poszliby na spektakl baletowy podstawić nogi tancerzom, prawda? Nie poszliby na zawody golfowe przeszkadzać Tigerowi Woodsowi w trafieniu piłką do dołka, prawda?

Rufus pokręcił głową.

— Za chińskiego boga — przyznał.

Eamon wskazał na łóżko i mój syn usiadł na nim obok mnie.

— Wyobraźmy sobie, że trzymasz mikrofon — podjął Eamon. Rozejrzał się, chwycił szczotkę do włosów i uniósł ją do ust jak mikrofon. Dał nam znak głową. — No, jazda — zachęcił. — Spróbujcie zbić mnie z pantałyku.

Rufus uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Do dupy jesteś — warknąłem w jego imieniu i nawet z przekonaniem, o które nie było wcale tak trudno. — Całkiem do dupy.

— Kto to powiedział? — Eamon uśmiechnął się. — Ten młodzian od stolika pod ścianą? Zechciałbyś rozwinąć temat, chłopcze?

— Jesteś... no... zwyczajnie... do dupy — powtórzyłem, ale już z mniejszym przekonaniem, rozbrojony uśmiechem, który rozkwitał coraz szerzej na przystojnej, śniadej twarzy Eamona.

— Że do czego jestem? — Przyłożył rękę do ucha, parszcząc prawie śmiechem.

— No... do dupy? — wydukałem i Eamon spojrzał triumfalnie na Rufusa.

— Tak się to robi — powiedział. — Każe się im powtarzać, co wyrzeszczeli. Niewykluczone, że nie wszyscy na widowni usłyszeli to za pierwszym razem. Niewykluczone, że gość starł się zaimponować tym okrzykiem jakiejś dziewczynie i ta uzna go za ostatniego palanta, zanim każe mu powtórzyć po raz trzeci to, co mu się wykrzyczało. Można też użyć standardowej odzywki: „Ty, koleś, jak będziesz mi dalej przeszkadzał w pracy takimi uwagami, to jutro zjawię się tam, gdzie pracujesz, i też zacznę ci truć nad uchem, że źle wypełniasz swoje obowiązki służbowe. I myślisz, że będę przebierał w słowach?”.

Spojrzelśmy na siebie z Rufusem i roześmieliśmy się.

— Nieźle — pochwaliłem.

— Bardzo dobre — przebił mnie Rufus. — Zapiszę sobie. Obok łóżka leżały długopis i notes. Sięgnął po nie i zaczął pisać.

— Nigdy nie panikuj — podjął Eamon. — Nigdy nie wpadaj w gniew. Nigdy nie okazuj strachu. Nigdy nie trać nad sobą kontroli. Nigdy nie okazuj słabości. Nigdy się nie łam. Przez cały czas wmawiaj sobie, że to będzie wielki sukces. Spodziewaj się aplauzu, burzy oklasków. Oczekuj

od swojej widowni, że będzie zrywała boki ze śmiechu. Jeśli przytrafią ci się jacyś wybrzydzące — a to nie wyjęte — to pamiętaj, że oni są intruzami w twoim świecie i od ciebie tylko zależy, kiedy ich unicestwisz. — Kiwnął głową. — Teraz wstań. — I kiedy Rufus wstał, Eamon położył mu dłonie na ramionach i spojrzał w oczy. — Oni wcale nie są tacy dowcipni. Nie są tacy jak ty błyskotliwi. Tacy jak ty odważni — o tym przede wszystkim pamiętaj. Na scenie nie ma miejsca dla cykorów, oni zdarzają się tylko na widowni. I obiecaj mi jedno...

— Co tylko chcesz — wyszeptał cicho Rufus.

Prawie stykali się teraz nosami. Eamon ścisnął Rufusa za ramiona, czekając, aż on zrobi to samo. A we mnie wzbierała zazdrość. Chciałem, żeby mój syn też tak czasami na mnie patrzył. Żebym potrafił tak z nim pogadać. Wymienić z nim kiedyś taki uścisk.

— Obiecaj mi, że nigdy się nie poryczysz — dodał Eamon i uśmiechnął się. — Widownia może to uznać za oznakę słabości.

Roześmieli się obaj i Eamon dorzucił jeszcze:

— No, daj pyska, smoku jeden. — I objęli się jak starzy przyjaciele, jak bracia, jak ojciec z synem. A we mnie narastało to dziwne uczucie, uczucie wdzięczności i zazdrości zarazem.

Potem Eamon spoważniał.

— Ale przede wszystkim musisz pamiętać o jednej rzeczy — zaznaczył. — Wszystko się rypnie, jeśli o niej zapomnisz. To klucz, to sekret, to ostatni element układanki. Zapomnisz o nim i dupa blada. A oto on...

W tym momencie rozległo się ciche, nieśmiałe pukanie do drzwi i weszła Lara, niosąc tacę z herbatą i ciasteczkami Jaffa.

— Wszystko w porządku? — spytała z uśmiechem. — Słyszałam jakieś krzyki.

Kieszeń Eamona zawibrowała. Wyciągnął z niej telefon.

— Muszę lecieć — oznajmił. Wymienił uścisk dłoni z Rufusem i życzył mu powodzenia, podziękował Larze za herbatę i ciasteczka Jaffa, a zwracając się do mnie, powiedział: — Być zatrzymanym przez pana to prawdziwa przyjemność i chętnie posiedziałbym tu dłużej przykuty do koryfery, ale właśnie podjechał po mnie szofer.

Nie zalewał. Wyrząłem przez okno i zobaczyłem przy krawężniku wielkiego srebrnego mercedesa. Kierowca stał na chodniku i czekając na swojego przebrzmiałego pasażera, palił papierosa.

— No i co to za rzecz, po zapomnieniu której zblednie dupa? — spytałem.

Ale Rufus właśnie mu dziękował, zajrzała też Ruby i Eamon był zajęty roztaczaniem swojego uroku osobistego. Tak więc w natłoku podziękowań i dowidzeń ta jedna najważniejsza rzecz — ten klucz, sekret, ostatni element układanki — został zapomniany.

Moja rodzina całą zachwyconą trójką odprowadziła Eamona do drzwi i, rozplywając się w uśmiechach, machała mu, kiedy wsiadał do srebrnego mercedesa, jakby niepomna tego, co może czyhać po drugiej stronie szczęścia.

Rozdział dziewiąty

W dzień mojego powrotu z chorobowego do pracy poklepywaniu po plecach nie było końca. Poklepywali mnie wszyscy. Kantyniarze i ci z medalami. Gangwtyki i gryzipiórki. Zgotowali mi paradne powitanie. Na mój widok wszyscy powstali i się zjednoczyli. Młodzi ze starymi, mundurowi z tajniakami. Żyłaści twardziele zaprawieni w bojach z brzuchatymi posterunkowymi kotami o wyświeconych tyłkach. A potem śmiech, wiwaty, pohukiwania, i to klepanie po plecach. A ja ze zwieszoną głową, czerwony na twarzy jak burak, znosiłem to wszystko pokornie, z trudem powstrzymując łzy wzruszenia.

Kurczę, jak ja kochałem tę ferajnę!

Dotarłem w końcu do swojej kanciapy i kiedy zasiadłem za znajomym starym biurkiem, czas jakby się zatrzymał. Zdażyłem już zapomnieć o otepiającej monotonii przekładania z kupki na kupkę kartek z protokołami, z zeznaniami świadków i zredagowanymi opisami interwencji policyjnych. Zapomniałem, co to znaczy zaspokajać nienasycony apetyt prokuratury na

papierkową robotę. A może dopiero teraz sobie uświadamiałem, że moja mrówcza praca pozbawiona jest wszelkiego sensu i ogłupiająca. Jak można poświęcać na nią całe dni? Ten pierwszy dzień w pracy po urlopie zdrowotnym będzie się chyba włókł aż do mojej usranej śmierci.

Zdegustowany wszedłem na stronę internetową, którą pokazała mi kiedyś Ruby. Była to jedna z tych stron, z których można się przenieść pod dowolne współrzędne geograficzne na świecie i człowiek z zapartym tchem podziwia te nieprawdopodobne formy życia i obracającą się planetę, przemierza oceany, góry, pustynie, miasta i lasy deszczowe. Ale ta strona była jeszcze lepsza, bo wystrzeliwała człowieka w kosmos.

I wkrótce komisariat i moja kanciapka zostały gdzieś daleko w tyle, a ja mknąłem przez międzygwiazdną pustkę. Widziałem rodzące się układy słoneczne i umierające planety. Zapuszczałem się na lata świetlne w tę bezkresną czerń, robiąc sobie tylko krótkie przystanki na łyk herbaty i gryz ciasteczka Jaffa. Oglądałem pozostałości Mgławicy Kraba, gwiazdy, która przed tysiącem lat zapadła się w siebie, wypromieniowując energię dziesięciu miliardów słońc. Wtem uświadomiłem sobie, że przy moim biurku ktoś stoi. Zażenowany, niewiele myśląc, kciukiem i palcem wskazującym naciśnąłem kombinację klawiszy powodującą wyjście z programu.

Keith patrzył na mnie uśmiechnięty, z kącika ust zwisał mu nieprzypalony papieros. Bez słowa położył na biurku szarą papierową torbę z kafeterii. Uderzyła o blat z metalicznym szczękiem. Podniosłem ją. Była dziwnie ciężka. Zajrzałem do środka i na widok połyskującej półmatowo repliki pistoletu odłożyłem z powrotem.

— Chcę ci coś pokazać — oświadczył Keith.

*

Partner Keitha czekał przy samochodzie. Kiedy zobaczył, że nadchodzimy, powitał mnie obojętnym kiwnięciem głowy i wsiadł na tylną kanapę. Keith zajął miejsce za kierownicą i odpalił silnik. Znał dokładnie cel tej podróży. Kiedy byliśmy już na ulicy, pokręcił głową i posłał mi niepewny uśmiezek.

— Nie dasz wiary — powiedział. — Bo mnie samemu nie chce się wierzyć.

Kierowaliśmy się na południe. Przejechaliśmy na drugą stronę rzeki i zagłębiliśmy się w ciemniejsze, zapyziałe uliczki, pozostawiając za sobą wszystkie atrakcje turystyczne. I nagle go zobaczyłem. Skołtuniona broda, wystrzępiony płaszcz i w ogóle wygląd bywalca garkuchni dla bezdomnych. Dokładnie taki, jak go zapamiętałem. Stał na rogu Borough High Street i, kiwając się na nogach, prowadził sam ze sobą ożywioną konwersację.

Tęczowy Ron.

— Zaraz, przecież on miał, cholera, broń — zachnąłem się.

— Nie — odparł Keith, delektując się bezsensem tego wszystkiego. — Nie miał broni. To była replika pistoletu. Dziecinna zabawka.

— I co, nie przymknęli go? — ni to spytałem, ni stwierdziłem.

— Przymknęli — mruknął Keith — ale zaraz wypuścili na łono społeczeństwa. Na mocy jakiejś tam ustawy z tysiąc osiemset czternastego roku o traktowaniu czubków. Czekają teraz na wyniki badań psychiatrycznych.

— Wynajdą mu pewnie najrozmaitsze choroby psychiczne — odezwał się młody z tylnej kanapy. — Schizofrenię paranoidalną. Psychozę maniakalno-depresyjną. Samookaleczania. Zaburzenia osobowości...

— Cały zestaw świrowych przypadłości — westchnął Keith, wjeżdżając na trotuar. Tęczowy Ron spojrział na nas z przestraczem w oczach.

— A on chyba nie bierze lekarstw, które mu przepisali — zauważył młody z tylnej kanapy.

— Przestań — warknął Keith. — Bo mi się serce kraje. Otworzył gwałtownie drzwi i wysiadł. Tęczowy Ron nawet

nie drgnął. Wpatrywał się w Keitha intensywnie, tak jakby chciał, a nie mógł sobie przypomnieć, skąd go zna. Keith wziął go pod ramię i grzecznie, ale stanowczo, wepchnął na tylne siedzenie. Młody posunął się, robiąc miejsce. I znowu ruszyliśmy. Keith prowadził jedną ręką, narzekając, że drugą sobie uświnił, i prosząc nas o pootwieranie wszystkich okien. W pewnej chwili zerknął z obrzydzeniem w lusterko wsteczne, w którym odbijała się twarz Tęczowego Rona.

— Tak się, cholera, zeszmelcować — warknął. — Wstydzilibyś się, łajzo jedna.

Tęczowy Ron pociągnął nosem i nie odpowiedział. Spojrział tylko przełotnie na mnie, a potem odwrócił wzrok i z obojętną miną zaczął wyglądać na przesuwający się za oknem świat.

Wkrótce byliśmy z powrotem nad rzeką. Nawet do teraz, kiedy wzdłuż obu brzegów Tamizy ciągną się połyskujące szkłem, strzeliste apartamentowce, zachowały się tu jakimś cudem pozostałości dawnych londyńskich doków. Keith skręcił w labirynt uliczek wijących się między budynkami

opuszczonymi przed dziesiątkami lat, gdzie czas jakby się zatrzymał. Jechał szybko. Znał tę okolicę. Widać było, że nie pierwszy raz się tu zapuszcza.

Nad samym brzegiem stał stary magazyn. Szerokie, dwuskrzydłowe wrota zamknięte były kiedyś na kłódkę, ale ktoś ją przepiłował i zdjął jedno skrzydło z zawiasów. Keith, nie zwalniając, wjechał do środka. Było tam ciemno, ale przez dziurawy dach wpadały snopy dziennego światła. W mroku pod ścianą zakotłowało się i kilka zakapturzonych postaci pogalopowało w kierunku bramy.

— Szczuny zasrane — mruknął Keith i wysiedlił. Usłyszałem szum płynącej wody i spojrzałem pod nogi.

Przez szpary między deskami podłogi widać było rzekę szarą jak okręt wojenny.

Młody stanął na czujce przy bramie. Keith odwrócił się do Tęczowego Rona błędzącego wzrokiem po suficie. Też tam spojrzałem i zobaczyłem ogon szczura uciekającego po belce stropowej. Kiedy szczur znikł z pola widzenia, Ron przeniósł wzrok na Keitha i w tym momencie oberwał w szczękę. Keith, nie czekając na efekt, ugiął nogi w kolanach i przyładował mu z drugiej ręki w splot słoneczny. Zaskoczony Tęczowy Ron stęknął cicho i osunął się na klęczki. Keith postąpił krok i cofnął pięść do kolejnego ciosu.

— Nie, Keith! — krzyknąłem, kiedy Tęczowy Ron, patrząc błagalnie na Keitha i wymachując niezbornie rękami przed twarzą, tak jakby usiłował złapać w powietrzu natrętą muchę, inkasował fangę w nos.

Tęczowy Ron złapał się za złamany nos i zwiesił głowę. Wyglądał teraz na pogrążonego w modlitwie.

Doskoczyłem do Keitha i chwyciłem go od tyłu, obezwładniając. Klął na czym świat stoi, i to przykucając, to się prostując, próbował mnie z siebie zrzucić, odrzucał przy tym głowę w tył, usiłując znokautować mnie potylicą. Ale ja nie puszczałem. I byłem od niego silniejszy.

— To za ciebie — wysapał wreszcie, wykręcając szyję, żeby na mnie spojrzeć.

— Ale ja nie chcę — odsapnąłem. I puściłem go.

Skorzystał natychmiast z odzyskanej swobody ruchów i jego mierzony kopniak tylko o włos minął głowę Tęczowego Rona. No i powtórka z rozrywki — ja trzymam Keitha w niedźwiedzim uścisku, Keith szarpie się i próbuje znokautować mnie potylicą. Ja proszę, żeby zbastował. On napomina mnie, żebym się odpiardolił. Nudne już się to stawało.

Puściłem go w końcu znowu i tym razem nie rzucił się już na Tęczowego Rona. Położyłem dłoń na jego ramieniu. Chciałem mu przemówić do rozsądku.

— On jest chory — powiedziałem. — I spuszczenie mu łomotu niczego tu nie zmieni.

Keith odtrącił ze złością moją rękę. Obciągnął marynarkę i wycelował we mnie palec wskazujący.

— Nie — odparł — to ty jesteś chory.

Odwrócił się i ruszył w stronę samochodu. Młody opuścił stanowisko przy bramie i dogonił go. Pomogłem Tęczowemu Ronowi wstać i obmacałem sobie kieszenie, szukając czegoś, czym mógłbym mu wytrzeć krew ciurkającą z nosa. Ale nie znalazłem niczego takiego, a więc Tęczowy Ron pochylił głowę i posłużył się rękawem własnego płaszcza. Słyszając zapusz-

czany silnik, obejrzałem się. Keith siedział za kierownicą z papierosem w ustach, młody przypalał mu go usłużnie zapalniczką, osłaniając dłonią płomyk.

Siedziałem przed komputerem córki, wędrując wśród gwiazd.

Ruby była w szkole. Minęła już dziewiąta, a jej brat jeszcze się nie ujawnił. Słyszałem, jak Lara puka cicho do drzwi sąsiedniego pokoju i woła go półgłosem po imieniu. Może odkąd wyszedł wczoraj wieczorem, to do tej pory nie wrócił do domu, pomyślałem, popijając herbatę i przemierzając gwiazdne szlaki.

Podróżowałem akurat przez galaktykę Messier 101 zwaną potocznie Wiatraczkiem — tryliony gwiazd, w tym miliardy o masie naszego słońca, dwa razy większa od naszej Drogi Mlecznej. Było więc co oglądać.

Wziąłem gryzą ciasteczka Jaffa i delektując się smakiem rozpuszczającego się na języku koktajlu z gorzkiej czekolady, biszkopta i dżemu z pomarańczy, z zapartym tchem zapuszczałem się coraz głębiej w złociste jądro Messiera 101.

Wycofując się stamtąd powoli, kręciłem z podziwu i zachwytu głową nad porażającym majestatem Messiera 101 — Kołowrotek Katarzyny z kosmicznego pyłu, obłoki galaktycznego gazu i rodzące się gwiazdy, białe i niebieskie, wytryskające niczym niebiańskie konfetti z jednej nieskończoności, by opadać w drugą.

— Rufusie? Spisz jeszcze?

Chwila wahania, potem weszła. A mnie zaleciał mdlący zaduch młodszej męskości. Otwieranie drzwi do jego pokoju można było porównać do ściągania dawno nie-pranej skarpetki z nogi olbrzyma. Zmysłem

powonienia wyodrębniłem wonie zeschniętej pizzy i rozrzuconych gdzie popadnie części przepoconej garderoby oraz zapach jakichś strasznych perfum, których używał zapewne do wzbudzania pożądania u kobiet, ewentualnie do odstraszenia fruujących owadów. Usłyszałem, jak Lara odsuwa zasłony w oknie, a on przeciąga się pod wygniecioną kołdrą.

— Znowu się spóźnisz — powiedziała Lara. Krzątała się po pokoju, usiłując chyba przywrócić tam jaki taki ład i porządek. Usłyszałem, jak otwiera na oścież okno, a zaraz potem jęk naszego syna, kiedy do środka wtargnęło rześkie poranne powietrze.

Stężałem, wyobrażając go sobie, jak siada na łóżku zaspany i drapie się po wszystkich owłosionych miejscach. Nie wiem skąd, ale wiedziałem, co za chwilę nastąpi.

— Nie idę dzisiaj do budy — wymamrotał.

Lara nic nie powiedziała. Ale czułem, że na niego patrzy. Wyczekująco.

— Tylko czas tam marnuję — wyjaśnił. I potem jak grom z jasnego nieba: — Tato ma rację.

Wstrzymałem oddech. Na moich oczach rodziły się i umierały gwiazdy.

— Niby w czym ją ma? — spytała Lara bardzo cicho i spokojnie.

— No, we wszystkim — odburknął Rufus, a ja już widziałem jego oczy płonące przekonaniem i zalał mnie przyływ miłości do tego chłopaka. — Na przykład w tym, żeby podążać za swoimi marzeniami — zaczął wyliczać. — Żeby być zawsze sobą... No i tak w ogóle...

Czekałem tylko, kiedy Lara parsknie śmiechem. Ale ona tego nie zrobiła.

— Człowiek musi sobie znaleźć zajęcie, które mu leży, prawda? — ciągnął Rufus. — Bo robić coś na siłę to przecież żenada.

Milczenie. A potem:

— Ubieraj się. I marsz do szkoły. Kształcić się. A kiedy już się wykształcisz, to do roboty — do roboty, Rufusie — i jeśli za to, co zarobisz, stać cię będzie jeszcze na te fanaberie, które ci leżą, to moje gratulacje, będę z ciebie dumna. — Ruszyła w stronę drzwi. — A swoją odzywkę, że trzeba być sobą, zachowaj do czasu, kiedy sam będziesz sobie prał.

Wyszła z pokoju Rufusa i mijając otwarte drzwi mojego, posłała mi przelotne spojrzenie.

— A z tobą — rzuciła — nie chce mi się nawet rozmawiać. I zaraz potem potknęła się o dzinsy, które ktoś porzucił na

podeście schodów, i o mało się nie przewróciła. O jasna cholera, pomyślałem. Lara podniosła dzinsy, wróciła z nimi do pokoju Rufusa i cisnęła mu je w twarz.

— Jak chcesz nadal mieszkać pod tym dachem — krzyknęła — to okazuj pozostałym domownikom odrobinę szacunku i zbieraj swoje ubrania, zrozumiano?! — Znowu wyłaziła z niej moja mała jędza.

Niemal słyszałem, jak Rufus drapie się po głowie, oglądając wygniecione dzinsy.

— Ale... mam... — wydukał — przecież to spodnie taty.

Rozdział dziesiąty

Leżałem na wznak na kwiecistej łące. Nad sobą miałem błękitną kopułę bezchmurnego nieba.

Rozmyślałem o obcości przebywania we własnym ciele, o tej nieustającej beltającej w głowie potrzebie przypominania sobie, że to naprawdę ja, a nie nikt inny. I rozmyślałem o ogromie nieboskłonu, i o tym, że właściwie jest on odrealniony, że to, co widzi na nim rodzaj ludzki, dawno już przeminęło, i nagle, kiedy tak rozmyślałem — no, zgadnijcie co? Boeing 747 przeciął z rykiem niebios, a ja aż sapnąłem głośno z zaskoczenia i zachwytu. A chwilę potem usłyszałem: — Panie... — Zostało to wypowiedziane z tym szczególnym naciskiem, który sugeruje, że zagadujący czeka tylko na pretekst, żeby dać zagadywanemu w mordę. Usiadłem i zobaczyłem nad sobą dwóch policjantów. Obaj byli umundurowani, obaj młodzi, ale jeden wyglądał na dość sympatycznego, drugi zaś na ostatniego gbura, i przemknęło mi przez myśl, że z tym drugim lepiej będzie nie zadzierać.

Zaparkowali przed moim wozem. Agresywnie blisko, zderzak w zderzak na wypadek, gdybym chciał dać dyla. Syrena była wyłączona, ale nie-

bieski kogut na dachu pobłyskiwał, obracając się leniwie. Ten gburowaty pokazał na dziurę w ogrodzeniu z siatki drucianej.

— Pan wyciąłeś tę dziurę? — spytał.

Wstałem i otrzepałem się z płatków polnych kwiatów. Purpurowe były i białe.

— Nie, panie władzo — odpowiedziałem. — Ona już tu była. Ja tylko przez nią przelazłem.

Gburowaty wyciągnął rękę.

— Dokumenciki — warknął, przebierając ponagłajaco palcami.

Wyjąłem portfel i wręczyłem mu go otwarty. Popatrzył, łypnął na mnie i roześmiał się. Pokazał koledze.

— Trzeba było tak od razu — powiedział, zatraskując portfel z legitymacją policyjną w plastikowej przegródce i oddając mi go.

Bez słowa schowałem portfel do tylnej kieszeni dżinsów. Ruszyliśmy samotrzeć do dziury w ogrodzeniu. Gburowaty usłużnie odchylił przede mną krawędź przeciętej siatki i przesmyknąłem się na zewnątrz.

— Postawiono na nogi służby bezpieczeństwa, kolego — powiedział, przechodząc bez ceremonii z wypowiedzanego ze złowróbnym sarkazmem „panie” na poufale „kolego”. Już chyba wołałem tamtego „pana”. Nie jestem żadnym twoim kolegą, pomyślałem. — Ciągnie tutaj cała chmara oszołomów.

Z miejsca domyśliłem się, o czym mówi. Po drugiej stronie drogi gromadziły się już plemiona. Autokary, namioty, transparenty. SAMOLOTY SMRODZA, głosił jeden. SAMOLOTY HAŁASUJA, było napisane na in-

nym. SAMOLOTY TO GŁUPOTA. SAMOLOTY SĄ DO DUPY. PRECZ Z SAMOLOTAMI.

— Nowy pas startowy — wyjaśnił gburowaty policjant. — Oni protestują przeciwko jego budowie. Chcą zmieniać świat, a pieluchy sobie nie umieją zmienić.

— Dobrze się czujesz? — spytał mnie drugi policjant, ten sympatyczniejszy. — Jakoś nietego wyglądasz.

Uśmiechnąłem się do niego. Wiedziałem, o co mu chodzi. Naćpałem się tyle cyklosporyny, prednizolonu i azatziopryny, że byłem trochę kołowy. Ale nie tylko to. Miał rację. Nietego wyglądałem. A jak tu wyglądać tego? Nie byłem przecież sobą.

Wzdłuż ogrodzenia z siatki drucianej nadciągały tabuny kobiet z dziećmi i psami, mężczyźni z dreadami ustawiali przenośne toalety, dziewczyny o ogolonych na zero głowach wbijały w ziemię śledzie od namiotów. Wyglądali na ludzi zdeterminowanych. Wyglądali... jak by to określić... historycznie. Wyglądali na takich, co tę historię kształtują.

— Na urlop też pewnie pływają kajakami — zauważył sympatyczny gliniarz i obaj się roześmieli.

*

Ruby siedziała przed komputerem, na jej skupionej twarzy odbijały się barwy przewijające się przez ekran monitora. Siedziałem obok. Dzieliliśmy jedno krzesło, z tym że ja większą jego część. Siedzieliśmy w milczeniu, wpatrzeni w wizję końca świata.

Zdechłe ryby pływające brzuchami do góry w mulistych rzekach. Kominy fabryczne, z których bucha czarny dym, tak gęsty, że słońce nie może się przezeń przebić. Dziesięciopasmowa autostrada zakorkowana rozjuszonym mrowiem samochodów. W drzwiach stanęła Lara.

— Penne arabiatta — zakomunikowała.

Ruby spojrzała na nią spod ściągniętych brwi.»

— Penne arabiatta? — powtórzyła bezwiednie. A tak, zaraz.

— Świat będziesz mogła ratować po obiedzie — fuknęła Lara i poszukała wzrokiem wsparcia u mnie. Ale dla mnie los planety też był ważniejszy od obiadu. Lara założyła ręce na piersiach i oparła się o framugę.

— Kiedyś na hasło penne arabiatta rzucaliście wszystko i pędziliście do jadalni — zauważyła, nie adresując tego do nikogo konkretnego. — Gdzie tamte czasy?

A potem klasnęła w dłonie. Ta moja mała jędza.

— To bardzo, ale to bardzo ważne — powiedziała Ruby z tym teatralnym przejściem, które było zazwyczaj uwerturą do awantur i trzaskania drzwiami. — Nie rozumiesz tego, mamó? Jeszcze to do ciebie nie dotarło?

Lara patrzyła w milczeniu na nas dwoje. Nie musiała nic mówić. Bardzo dobrze wiedziałem, co myśli. Najchętniej zadzierzgnęłaby nam na szyjach pętlę z kabelka od myszki, a potem przyduszając i napawając się naszymi błaganiami o zmiłowanie, klarowała, ile to czasu i trudu kosztowało ją przyrządzenie obiadu, który stygnie teraz i ścina się na stole w jadalni.

Ale ona, zanim odwróciła się i poszła spożywać posiłek w samotności, powiedziała tylko:

— A tobie fryzjer się kłania, George.

Posłałem jej przelotne spojrzenie i z powrotem wlepiłem oczy w ekran, na którym następował właśnie koniec świata.

— Zapuszczam włosy — odburknąłem.

*

Siedziałem za biurkiem i jadłem kanapkę, kiedy podszedł do mnie Keith. Unikając kontaktu wzrokowego, zabębnił mięsistymi paluchami w stos leżących przede mną teczek. Odchrząknął, wyjął zza ucha nieprzypalonego papierosa i z powrotem go za nie zatknął. Odłożyłem książkę.

— Co czytasz? — spytał nieśmiało.

Spojrzelśmy obaj na okładkę. Maska wielkiego krążownika szos z lat pięćdziesiątych, tak zwanego pletwala, przed nią wstęga pustej drogi przez pustynię i majaczące na horyzoncie pasmo gór.

— *W dro-dze* — przesyłabizował, tak jakby tłumaczył z hindi. — Dobrze?

— Genialne — odparłem. — To o dwóch kumplach, Deanie Moriartym i Salu Paradise, którzy podróżują przez Amerykę, a potem do Meksyku.

— Hm — zadumał się Keith. — I co? Zerknąłem na niego.

— I nic — powiedziałem. — To wszystko. Keith nie wyglądał na zachwyconego.

— Powinieneś to przeczytać — dorzuciłem. — Każdy powinien. Mogę ci pożyczyć, jak skończę.

— Dobra. — Keith kiwnął głową. — Znaczy... No... przeczytam.

— Warto — zapewniłem go. — Ja ci to mówię. I Keith oddalił się.

— Przeczytaj, stary! — zawołałem za nim, sięgając po napoczętą kanapkę i odłożonego Kerouaca.

Nie oglądając się, uniósł jedną z tych swoich wielkich, czerwonych dłoni na znak, że usłyszał, ale mógł to być również gest pożegnania.

*

— Wiadomości się zaczynają — zawołała Ruby. Posprzątaaliśmy szybko ze stołu w jadalni i przenieśliśmy się do salonu. Jednak materiał, który nas interesował, nie poszedł na pierwszy ogień. Na początek dali niepokoje na Bliskim Wschodzie i naćpanego polityka przyłapanego z opuszczonymi spodniami. Dopiero potem puścili najświeższy raport z lotniska.

Niewiele się tam działo. Protestującym stały na drodze kordony wyluzowanych gliniarzy. Po płycie lotniska za nimi sunęły leniwie samoloty. Wszystko pod kontrolą.

Do pokoju weszła Lara i postawiła przed nami kubki z gorącą czekoladą. Podziękowałem jej uśmiechem, a Ruby powiedziała:

— Wielkie dzięki, mamusiu — i też obdarzyła matkę uśmiechem, który był jak wschód słońca. Potem znowu spojrzała w telewizor i wes-

tchnęła ciężko. — Ależ bym chciała tam być — rozmarzyła się, znając już odpowiedź.

Lara przysiadła na poręczu sofy i pocałowała ją w czubek głowy.

— Jesteś jeszcze na to trochę za młoda, aniołku — powiedziała.

— Ale ja nie mogę czekać — jęknęła Ruby tym samym tonem, jakim przed laty błagała, żeby jej sprezentować małego konika. — Najważniejsze to działać już teraz.

Lara pokiwała głową.

— Wiem, że się przejmujesz, i jest czym, ale w przyszłym roku też będzie w tej kwestii wiele do zrobienia, i w następnym, i jeszcze później. Chodź do mnie.

Lara rozpostarła ramiona i Ruby przytuliła się do niej. Czasami następowało między nimi zawieszenie broni. Między moją żoną i moją córką. Czasami zdawały się przypominać sobie miłość, jaka je kiedyś łączyła, i uświadamiać, że ona nadal istnieje, że nic a nic się nie zmieniło, że jest tak samo silna jak zawsze. A czasami jakby o tym zapominały. Teraz obejmowały się czule i oglądały razem wiadomości, sącząc gorącą czekoladę.

Wszedł Rufus i usiadł na drugiej poręczu sofy. Wiedziałem, że nie wolno mi go przytulić, tak jak Lara przytulała teraz Ruby. Z ojcami jest inaczej.

Kiedy dzieci są małe, można je pieścić, można obcałowywać buźkę, zachwycać się ich zapachem i aksamitną gładkością skóry. Póki dzieci są małe, można się nimi upajać. Wszystko to się urywa, kiedy dorastają. Tulić je, tulicie, a potem nadchodzi taki dzień, kiedy uzmysławiacie sobie, że to już nie wypada.

Popatrzyłem spod oka na twarz syna oglądającego dziennik i nasunęła mi się refleksja, że kiedy już wejdą w wiek dojrzewania, mogą upłynąć lata bez fizycznego kontaktu z nimi. Fizyczne okazywanie miłości — przytulanki, pocałunki, głaskanie po główce i tym podobne — jest już nie na miejscu. Kiedy teraz między mną a Rufusem dochodziło sporadycznie do przelotnego kontaktu — powitalny uścisk, jakieś cmoknięcie w policzek, gest bardziej odruchowy niż wyrażający uczucia — to było to jak porażenie prądem po naciśnięciu guzika windy i natychmiast odskakiwaliśmy od siebie przestraszeni. Zauważyłem, że na niego patrzę.

— No, o co chodzi? — burknął wyzywająco.

Pokręciłem głową na znak, że o nic, i przeniósłem wzrok na ekran telewizora. Ze zwyczaju pieszczona dzieci wyrasta się, zanim te zdążą naprawdę dorosnąć.

Rufus gdzieś się wybierał. Miał na sobie skórzaną kurtkę składającą się właściwie z samych kieszeni. Coś w rodzaju kurtki motocyklisty. Z naszytą na rękawie miniaturową flagą brytyjską, ze ściągaczem na plecach i z dyskretnym metalowym znaczkiem z napisem Belstaff. W takich kurtkach jeździło się na motocyklach w latach czterdziestych. A ja czułem jego zapach wydobywający się spod tej skórzanej kurtki — samajego esencję, tak jak kiedyś, kiedy był jeszcze dzidziusiem.

Z tą różnicą, że teraz nie był to zapach mleka, kaszki i niemowlęcych wymiocin, tylko smród tandetnej wody po goleniu, niedomytego ciała i wieczorów spędzanych w szemranych spelunkach. Zupełnie inny zapach jakby kogoś innego.

Ale to wciąż był ten sam on i ja też byłem wciąż ten sam, i wciąż dzieliła nas ta sama różnica wieku.

W wiadomościach wypowiedziała się jakaś starsza pani. Mniej więcej w wieku Nan. Wspominała dzieciństwo, które upłynęło jej w wiosce Heath Row zrównanej z ziemią pod koniec drugiej wojny światowej, bo RAF upatrzyły sobie to miejsce na nową bazę.

— Pierwsze słyszę! — zawołałem. — A wy? O tej wioszczynie Heath Row?

Ale moja rodzina mnie nie słuchała. Słuchała staruszki opowiadającej, że od tamtego czasu mieszka w miasteczku Sipson, kilkaset jardów od płotu ogradzającego lotnisko. Tam dojrzała, tam wyszła za mąż i wychowała dzieci. Ale umrzeć już tam chyba nie umrze. Jej dom, szpital, w którym rodziła dzieci, kościół, w sumie siedemset budynków — wszystko to zostanie wyburzone, jeśli zapadnie decyzja o budowie nowego pasa startowego i nowego terminalu.

— Nie wiem, co ze mną będzie — żaliła się. — Nie chcę iść do domu starców. Napisałam w tej sprawie do Królowej.

Kiedy w kadrze pojawiły się znowu buldożery, moja córka zerknęła na swoją matkę. Lara pogłaskała ją po plecach i uśmiechnęła się. Nic dodać, nic ująć. Spojrzałem na córkę. Jej mina wyrażała bunt przeciwko niesprawiedliwości tego świata.

— Podrzucę cię tam — zaproponowałem.

*

— Nie chcę być tą, która zawsze staje okoniem — powiedziała cicho Lara, kiedy leżeliśmy już w łóżku, każde po swojej stronie, zwrócenie twarzami do siebie, stykając się niemal nosami. — Według mnie żadne z rodziców nie powinno być obsadzane w takiej roli. Roli tego nieużytego, który wszystkiego zakazuje. Upierdliwego uosobienia głosu rozsądku. Rozumiesz, o co mi chodzi, George?

Przyłożyłem dłoń do jej policzka. Była to ta sama twarz, którą ujrzałem po raz pierwszy na Shaftesbury Avenue. Twarz dziewczyny, która była tancerką i chodziła wówczas z kimś o wiele bardziej wyluzowanym, przystojniejszym i błyskotliwszym, niż ja kiedykolwiek będę. Nic jej nie zmieniło, ani te lata małżeństwa, ani macierzyństwo, ani cała reszta. Pozostawała nadal twarzą kobiety, która mimo wszystko wybrała mnie. Jak jej dziękować?

— Na przyszłość uważaj — ciągnęła Lara. — Ja wiem, że wspaniała z niej dziewczynka. Wrażliwa. — Przekręciła się na plecy i westchnęła do sufitu. — Ale takim maślankom przychodzą do głowy rozmaite durnowate pomysły.

Już wiem, pomyślałem. Zrobię sobie tatuaż.

*

Płot przede mną padł niespodziewanie i popychany od tyłu przez nieprzebrany tłum o mało też się nie przewróciłem. Wiwaty i wrzaski utonęły po chwili w ryku silników podchodzącego do lądowania samolotu, który przesłonił niebo nad naszymi głowami.

Runęliśmy przed siebie wezbraną ludzką falą zalewającą wszystko po drodze. Drugi szereg policjantów cofnął się, a my, potykając się i ślizgając, deptaliśmy po tych z pierwszego, gramolących się spod ogrodzenia, które ich przygniotło.

Obejrzałem się i zobaczyłem twarz Ruby. Coś do mnie krzyczała, ale w tej wrzawie oraz ryku lądujących i startujących maszyn nic a nic nie słyszałem. Unoszony przez tłum straciłem ją wkrótce z oczu.

Płot ustąpił pod naszym naporem tylko na pewnym odcinku i policjanci przegrupowywali się teraz, zagradzając tę wyrwę. Już po chwili nadziałem się na twardą, nieustępliwą przeszkodę w postaci rosnącego sierżanta oddziałów prewencji. Aż dech mi zapało, a przez myśl przemknęło, że oto wybiła moja ostatnia godzina. Ścisk. Smród potu i wody po goleniu. Moja pulsująca blizna dociśnięta do piersi młodego policjanta.

Zaraz potem jakiś hełm zsunął się na czyjeś czoło, zaślniła w słońcu jakaś uniesiona pałka i nie wiem, jak to się stało, ale w kordonie powstał rozstęp, przez który czym prędzej się przesmyknąłem i pogałem rączo po nieskoszonych trawie, sam nie wiedząc po co i dokąd. Rozejrzałem się na boki i stwierdziłem, że jestem sam. Samiutki na łące płaskiej jak tamta z mojego snu. W dali boeing 747 kołował do terminalu. Skręciłem w tamtą stronę.

Parę susów dalej padłem potraktowany bodiczkiem przez gliniarza, który w młodości grywał zapewne w rugby. Ale to musiało być dawno temu, bo kiedy tak leżeliśmy obok siebie w trawie, on jęcząc z bólu, rozcierał sobie zapamiętałe kolano, zupełnie jak jaskiniowiec próbujący rozniecić ogień. Dźwignąłem się na klęczki, ale leżący policjant trzymał mnie pełną

garścią za kołnierz rufusowej kurtki Belstaff i nie puszczał. Wyłuskałem się więc z kurtki — niech ją sobie zatrzyma, kupię Rufusowi nową — i z dłonią na obolałych żebrach pokłusowałem dalej w stronę zatoki parkingowej.

Byłem już całkiem spokojny. Wrzawa i tumult akcji protestacyjnej zostały daleko za mną, kakofonia samego lotniska też jakby przycichła, chociaż nawet stąd ten 747, który ostatnio wylądował, wyglądał na giganta. Przypominał wielki oceaniczny liniowiec wyrzucony jakąś siłą na powierzchnię księżyca.

Sadziłem spokojnymi, odmierzonymi susami. Pozdrowiłem uniesieniem ręki małe twarzyczki przyglądające mi się z iluminatorów 747. Byłem już na pasie startowym i słyszałem za sobą tupot pościgu. Byli coraz bliżej. Nagle ktoś zdzielił mnie kantem dłoni w kark i padłem na twarz. Potem robiłem już tylko dokładnie i szybko to, co mi kazano.

Dwie godziny przesiedziałem w celi aresztu, zanim zjawił się Keith. Posadził swoje wielorybie cielsko na mojej pryczy i westchnął.

— Oj, narozrabiało się, narozrabiało.

Rozdział jedenasty

W pubie odbywał się właśnie czyjś wieczór kawalerski. Kilkunastu uczestników stało pod samą sceną, ale plecami do niej. Wyjąc i rechocząc, stukali się butelkami spienionego piwa. Dwóch podtrzymywało jednego pod rękę. Robili sobie z niego jaja. Puszczali faceta, czekali, aż zacznie osiadać na miękkich nogach, i łapali w ostatniej chwili, zanim zdążył usiąść na podłodze. Z wieczorami kawalerskimi zawsze jest ten problem, że każdy stara się w ich trakcie udawać zgrywusa nad zgrywusy. Obserwowałem więc tę hałastrę chłodnym okiem zawodowca. *Wypatrzeć najbardziej rozochoczonego i w razie czego przylutować mu pałą w dupsko*, pomyślałem, przypominając sobie instrukcję ze szkolenia w Heldon. Ileż to czasu minęło.

— Idzie dziadek drogą i spotyka gadającą żabkę — zagaił Rufus. Scena była malutka. Zrobił trzy kroki w jedną stronę i już musiał zawracać. Widać było, że czuje się na niej jak w potrzasku. — I żabka odzywa się ludzkim głosem: „Dziadku, nie jestem wcale żabką, lecz piękną księżniczką, którą zaklęła w żabę zła czarownica. Jeśli mnie pocałujesz, klątwa prze-

stanie działać, a ja ci się odwdzięczę upojną nocą dzikiej, wyuzdanej miłości". — Uczestnicy wieczoru kawalerskiego parsknęli dzikim rechotem, ale nie miało to żadnego związku z Rufusem. To ten na nogach jak z waty osunął się właśnie na klęczki. — Staruszek idzie dalej, więc gadająca żabka woła za nim zdziwiona: „Dziadku, chyba nie dosłyszałeś, co ci proponuję. Jestem piękną księżniczką...". — Staruszek, nie oglądając się, unosi rękę: „Dosłyszałem, dosłyszałem — rzuca przez ramię. — Ale w moim wieku i gadająca żaba to dla mnie za wiele".

Na sali ten i ów się roześmiał, a kawalerscy wieczorowicze poczytali to chyba sobie za osobistą zniewagę. Obejrzeliby się na Rufusa, tak jakby dopiero teraz go zauważyli. Jeden z nich — przysadzisty, z nadwagą i głową ogoloną na głacę, co w zamyśle miało z jednej strony zamaskować postępującą łysinę, a z drugiej dodać mu oprychowatego wyglądu — sprawiał wrażenie takiego, któremu lepiej nie wchodzić w drogę. Ale ledwie zaczął coś tam gęgać, Rufus wpadł mu w słowo:

— Że co proszę, że jak? — Patrzył na gościa z tym kpiącym uśmiechem zapożyczonym od Eamona Fisha. — Wał koleś bez krępacji, co ci leży na wątrobie. Tak, tak, do ciebie mówię, do ciebie z głową jak strusie jajo na twardo. — Rufus przyłożył dłoń do ucha i nalegał raz po raz, żeby tamten powtarzał obelgę, żeby wywrzaskiwał w kółko te same dwa słowa, dopóki nie straciły całego swojego ładunku emocjonalnego i nie zamieniły się w suche wióry w ustach tego z głową jak strusie jajo na twardo.

Nauka nie poszła w las, pomyślałem, pęczniejąc z dumy.

— A może tak wpadnę jutro do ciebie do pracy — ciągnął Rufus wciąż z tym zapożyczonym wrednym uśmiechem — i zacznę na ciebie pokrzy-

kiwać, kiedy będziesz pytał klientów, czy do tego frytki. — Roześmiał się kpiąco. — Palancie jeden.

Występy w pubach nigdy nie są udane. W klubach komediowych też trafiają się jacyś przedrzeźniacze, wybrzydzące i żłopiący browar krytykanci, ale w pubach jest najgorzej, bo tam zawsze koczuje grupa ludzi, którzy specjalizują się w obrażaniu występujących, w ściąganiu na siebie uwagi i szukaniu poklasku. Zwyczajne nygusy i za ich sprawą chyba wszędzie jest lepiej niż w tych zapyziałych pubach. Ale to było coś innego.

Kawalerscy wieczorowicze czekali przed pubem, pałac z ponurymi minami. Kiedy wyszliśmy, jak na komendę odrzucili papierosy na chodnik. Z niedopałków trysnęły dogasające szybko iskry, a oni ruszyli na nas ławą. Na czele kroczył ten z głową jak strusie jajo na twardo.

Zagarnąłem Rufusa za siebie, by osłonić go własną pierś, chociaż, jak się zaraz potem okazało, nie na wiele się to zdało. Ale jest moim synem i kocham chłopaka.

Kiedy wzięli nas w końcu w obroty, domyśliłem się wreszcie, jak zapewne brzmiała instrukcja, której nie dopowiedział Eamon Fish:

Nie przeginać pały i nie prowokować tych skubańców.

*

Otworzyłem furtkę do ogrodu moich rodziców i pierwsze, co zobaczyłem, to idealnie błękitny prostokąt basenu kąpielowego ojca, skrzący się i połyskujący w prażącym słońcu niczym okno do innego, lepszego świata, jakiejś podmiejskiej Narnii.

Ojciec stał nad basenem z czarnym mężczyzną w jego mniej więcej wieku. Czarny miał na imię Winston i był czyścicielem basenów. Kontemplowali zawartość małej siatki do zgarniania liści, którą trzymał Winston. Ojciec obejrzał się nagle. Oczy mu płonęły. Na mój widok przygasły.

— A, to ty — mruknął. — Myślałem, że to któryś z nich.

— Oni za dnia nie przychodzą — powiedział Winston. — Za bardzo się boją starszego pana!

Uśmiechnęliśmy się do siebie z Winstonem, ale mój ojciec zachował powagę. Znajdował się w stanie wojny z miejscową młodzieżą. Przesiadali na jego murku. Ciskali między krzewy róż puste opakowania po frytkach i niedojedzone kebaby. Hałasowali. Palili papierosy. A najgorsze ze wszystkiego było to, że z nadejściem lata zakradali się czasem w środku nocy do ogrodu na tyłach domu i pluskali się w basenie. Ojciec wyjął coś z trzymanej przez Winstona siatki i pokazał mi. Puszka po red bullu.

— Co ci się stało w twarz? — spytał, zgniatając puszkę w garści.
— Na drzwi wpadłeś?

Kiwnąłem głową.

— Coś w tym rodzaju. Winston roześmiał się.

— Musi pan uważać na te drzwi.

Stałem nad basenem i czekałem, aż skończą dyskusję o jakimś organicznym chlorze. Istnieje takie coś. Powierzchnia wody wyglądała w słońcu jak tafla roztopionego złota. Kiedy Winston sobie poszedł, ojciec stanął obok mnie i zapatrzył się w tę tafłę.

— A więc nie stawiają ci żadnych zarzutów? — zapytał. Spojrzałem na niego zdziwiony.

— A niby jakie miałoby stawiać?

Przejechał powierzchnię wody siatką na liście, chociaż nie pływał po niej ani jeden. Potem wzruszył ramionami.

— Bezprawne wtargnięcie na teren objęty zakazem wstępu. Napaść na funkcjonariusza. Stawianie oporu podczas próby aresztowania. Od gro-
ma by się tego znalazło.

Pokręciłem głową.

— Niczego mi nie zarzucają — powtórzyłem. A potem, pod wpływem impulsu, któremu nie potrafiłem się oprzeć, rozpostarłem ramiona jak dzieciak udający samolot i dałem nura do basenu. Woda była zadziwiająco ciepła. Tato lubił właśnie taką i podejrzewałem, że to jedna z przyczyn, dla których jego basen po zmroku stanowi nie lada atrakcję.

Leżałem na plecach, słońce paliło mnie w twarz, a chlor szczypał w oczy. Dobrze mi było. Czuję się jak nowo narodzony. Kiedy wygramoliłem się z wody, tato stał tam, gdzie go zostawiłem. Usiadłem na krawędzi. Przemoczone ubranie ciążyło i lgnęło do ciała. Mój spontaniczny wyskok już zaczynał mi się wydawać trochę niepoważny.

— Ale z roboty cię wywalają, co, słonko? — spytał ojciec. — Nadinspektor powiedział ci, żebyś zachował się przyzwoicie i zabierał dupę w troki, tak?

Wspomniałem swoją rozmowę z nadinspektorem. Ależ był wyrozumiały, ależ miły. Już myślałem, że pomoże mi pakować moje graty do małego kartonowego pudła. Niewiele tego było. Rodzinne fotografie. Egzemplarz powieści *W drodze*. Atrapa pistoletu. Potem uściski dłoni z paroma kolegami. A Keitha ani śladu.

— Dali mi sześć miesięcy urlopu — odparłem. — Pełno-płatnego. — Szczegóły wyleciały mi z głowy. — Aha, i wliczanego do wysługi lat.

— Szczęściarz — mruknął tato. — Mnie za takie coś daliby kopa w dupę.

Dobrze wiedział, że tak by się nie stało. Policja dba o swoich.

— Ale nie wiem, czy wrócę — powiedziałem z całą świadomością, że go tym sprowokuję. — Niewykluczone, że pod koniec tych sześciu miesięcy będę zmieniał branżę.

Tato pokiwał w zadumie głową.

— Na jakąś intratniejszą? Lepiej płatną? Bardziej ci podchodzącą?

— Właśnie. Podrapał się po brodzie.

— Gwiazda rocka? Piłkarz premiership?

— Jeszcze nie wiem — przyznałem. — A ile tam raossa wyciągnąć?

Do ogrodu wyszła mama.

— Czemuś ty taki mokry? — spytała, a potem spojrzała na tatę. — Co się stało z jego twarzą?

— Wpadł na drzwi — odburknął tato. — A co było dalej, lepiej pominąć milczeniem.

— Doigrasz się, zobaczysz — upomniała mnie mania i wróciła do domu, żeby nastawić wodę na herbatę.

Tato usiadł obok mnie i zaczął przeciągać po wodzie siatką na liście, tak jakby było tam coś do wyłowienia.

— A co z twoją rodziną, George? — spytał. — Co z obowiązkami, jakie na tobie spoczywają?

Wpatrywałem się tępo w wodę. Robiło mi się coraz zimniej.

— Kocham swoją rodzinę — powiedziałem i tato prychnął pogardliwie.

— Jak dołożą do tego dwa funty — fuknął — starczy im akurat na jedno cappuccino.

*

Otworzyłem szafę ścienną i zacząłem wyciągać z niej ubrania. Workowate bawełniane spodnie. Sztruksy w żałobnym kolorze. Już przetarte i przecierające się dopiero kalesony. Rozciągnięte T-shirty z dowcipnymi napisami, od których bolały zęby.

— A co będzie po tych sześciu miesiącach? — dopytywała się Lara. — Ten półroczny urlop jest z tych, po których przyjmują z powrotem na etat? Czy z tych, po których nie chcą cię więcej oglądać?

— Nie wiem jeszcze, czy w ogóle tam wrócę — odparłem. — Ta robota mnie dołuje. Nienawidzę jej. — Zabrałem się do upychania starych ciuchów do czarnego worka na śmieci.

— A co z pieniędzmi? — drażyła. — Co będzie, jeśli nie znajdziesz innej pracy? Bo żyć z czegoś trzeba. Ten bojler nadal szwankuje. Skąd na to wszystko weźmiemy — z moich lekcji tańca?

— Przez sześć miesięcy o kasę nie musimy się martwić — odparłem. — Traktuj to jako gap year. — Objąłem ją i odniosłem wrażenie, że obejmuję worek kartofli. Dałem więc spokój i zabrałem się z powrotem do

opróżniania szafy ze starych ciuchów. Ale bardzo chciałem ją przekonać do swoich racji.

— Nie rozumiesz, co to znaczy? To dla mnie szansa, żeby zająć się wreszcie czymś, co naprawdę lubię. Szansa na drugie podejście.

Moja żona westchnęła ciężko.

— Nie ma drugich podejść — powiedziała, wyciągając z powrotem sztruksy koloru pomyj z worka na śmieci, do którego je przed chwilą wrzuciłem. — Nie da się ot tak uciułać trochę pieniędzy i zacząć wszystko od nowa. To nie gra planszowa, to życie. A jak dało ci w kość, to pozostaje tylko podnieść się, otrzepać i brnąć dalej. — Przejechała dłonią po sztruskach. — Te spodnie są jeszcze całkiem do rzeczy, George.

Spojrzałem i powróciłem do opróżniania szafy.

— Nic do rzeczy w nich nie ma — burknąłem, sięgając po spraną koszulkę polo. I nagle zamarłem. — A to co znowu?

Nadstawiliśmy oboje uszu. Dochodziło toto z pokoju Rufusa. Przesączało się przez ścianę. Gitarowe solo, które brzmiało jak... sam nie wiem... jak wodospad pięknych klejnotów, które, spadając, pobrzękują i połyskują. Johnny Marr, pomyślałem. Johnny Marr na gitarze. I ten wokal. Głos usypiająco monotony, a zarazem hipnotyzujący i piękny. The Smiths, pomyślałem. *How Soon Is Now* Smithsów. Z tej reklamy džinsów.

Podobał mi się kiedyś ten kawałek, pomyślałem. I nadal mi się podoba.

Wór na śmieci był już pełen. Przystąpiłem do zdzierania z siebie ubrania. Na łóżku czekały nowe części garderoby. Czarne polo Ali Saints z jeszcze czarniejszym łbem barana na piersi. Nowiuteńkie džinsy Diesel Black Gold wyglądające tak, jakby ktoś pochlapał je farbą. Czym się różni-

ły od starych? A tym, że były obcisłe. Przylegały do mnie. Zupełnie jakby chciały powiedzieć, że nie będą tolerować otyłości ani podeszłego wieku. O ironio, wspomniane wyżej džinsy wyglądały tak, jakby przez trzydzieści lat nosił je jakiś malarz pokojowy.

Rozebrałem się do slipów i chciałem podejść do łóżka. Ale Lara chwyciła mnie za łokieć i przytrzymała. Pośliniła czubki palców i potarła tatuaż na moim prawym bicepsie. Nie dawał się zmasać.

— Co to jest, do diabła?! — fuknęła.

Patrzyliśmy oboje na te dwa japońskie znaki.

— Tatuaż — wyjaśniłem.

Przetrawiała to przez chwilę z kamienną twarzą.

— A dlaczego jest odwrócony do góry nogami? — spytała w końcu cicho.

— Nie jest odwrócony do góry nogami — powiedziałem, odsuwając się od niej. — To ty patrzysz na niego „do góry nogami”.

Usiadłem na łóżku i zacząłem naciągać swoje nowe, niby to zachlapane farbą džinsy. Lara obserwowała mnie przez chwilę, potem się odwróciła. A ja wkładałem już koszulkę z baranim łbem. Tatuaż prawie zniknął pod krótkim rękawkiem. Widać było tylko spód jednego z japońskich znaków.

— Nie sądzisz, że jesteś trochę za stary na przyozdabianie się tatużami? — spytała Lara. — Że na to wszystko jesteś trochę za stary?

Wyszła, zanim zdążyłem odpowiedzieć, zanim zdążyłem wyznać, że robię to w imię miłości. A na nią chyba nigdy nie jest się za starym?

*

Schodziłem na dół z czarnym workiem na śmieci, posapując z lekka, bo dopasowana koszulka z baranim łbem i obcisłe, niby to zachlapane farbą, dzinsy krępowały mi trochę ruchy i utrudniały oddychanie. Moje dzieci uśmiechnęły się na mój widok.

— Rany, tato — odezwała się Ruby. — Odlotowo wyglądasz.

Pokonałem ostatni stopień schodów i przystanąłem, żeby zaczerpnąć tchu.

— Poważnie? — spytałem z nadzieją w głosie. — Odlotowo? Nie zalewasz? Bez kitu?

Rufus prychnął pogardliwe. Siniaki na jego twarzy zmieniały już barwę na sinożółtą i nadawały mu wygląd chorego na malarię.

— Nikt już nie mówi „odlotowo” — pouczył siostrę.

Dała mu kuksańca w ramię i obdarzyła mnie uśmiechem, który był jak słońce wychodzące zza chmur.

— A my mówimy — odparowała.

*

Pod mostem Waterloo stoi zawsze furgonetka, z której od dziesiątej rano do północy serwują darmową zupę i kanapki.

Tęczowy Ron siedział samotnie z polistyrenowym kubkiem gorącej kartoflanki w dłoniach, zapatrzony w unoszącą się z niej parę. Zatrzymałem się w pobliżu, ale nie za blisko. Brodę miał przystrzyżoną. Byłe jak, w każdym razie krótszą. Tam, gdzie nie dotarło narzędzie, które posłużyło do za-

biegu — ogrodniczy sekator, cążki do paznokci, czy co to mogło być — sterczały nadal kępki włosów. Ale przynajmniej nie wyglądał już jak Żyd Wieczny Tułacz. Odmłodniał.

— Wyprzystojniałeś — pochwaliłem go, a on łypnął na mnie tymi swoimi oczami i szybko odwrócił wzrok. — Naprawdę — dorzuciłem w obawie, że pomyśli, że robię sobie z niego jaja, i chluśnie mi w twarz gorącą zupą. — Pozbycie się brody to był dobry pomysł. Ujęło ci lat.

Podąłem mu worek na śmieci, ale nie wziął go. Otworzyłem worek, pokazałem znajdującą się w środku odzież i czekałem na słowa podziękowania. Na jakiś wyraz wdzięczności. Ale on nawet tych ubrań nie dotknął. A tymczasem dookoła nas zaczynały się gromadzić inne śmietnikowe nurki, biorąc mnie za przedstawiciela Czerwonego Krzyża. Grzebali w worku i, wychlapując zupę z trzymanyh w rękach kubków, wyciągali z niego sztruksy, koszule i inne części garderoby z mojego poprzedniego życia. Tęczowy Ron stał pośród tej tłuszczy, ale tylko stał. Kiedy worek na śmieci się opróżnił, tamci odeszli.

— Chciałem ci wyświadczyć przysługę — powiedziałem. Popatrzył na mnie i uśmiechnął się. O ile można to było nazwać uśmiechem. Było to bardziej mimowolne skrzywienie warg z odsłonięciem zębów przywodzących na myśl cmentarz pełen zrujnowanych nagrobków. Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, tak jakby wreszcie mnie rozpoznawał, a odniosłem wrażenie, że przeszywa mnie tym wzrokiem na przestrzał.

Z początku myślałem, że śpi.

Leżała po swojej stronie łóżka, plecami do mnie, w całkowitym bezruchu. Ale to były tylko pozory. Szybko zauważyłem brak tego cichutkiego poświstu, który wkradał się do jej oddechu, kiedy spała. I ta nieruchomość też nie była u Lary zwyczajna. Podczas snu z jej ciała tancerki zdawało się wyciekać całe napięcie, mięśnie wiotczały, odpoczywały.

— Wymyśliła sobie przyjęcie — odezwała się, nie odwracając się.
— Z okazji swoich szesnastych urodzin.

Przysiadłem na łóżku i zacząłem ściągać swoje niby to zachlapane farbą dzinsy.

— Wiem — mruknąłem. — Mówiła mi. Sardoniczny śmiech.

— A jakże. Od razu powinnam się domyślić, że omawialiście to we dwójkę przed konfrontacją ze starą heterą

— To nie tak.

— Właśnie że tak.

Przemknęło mi przez myśl, żeby starannie złożyć swoje nowe dzinsy, ale po chwili zastanowienia uznałem, że nie warto. Były tak poprute i obszarpane, że spokojnie można to było sobie darować. Rzuciłem je więc na podłogę.

— I co jej powiedziałaś? — spytałem.

— Nie chcę być tą, która zawsze staje okoniem — odpowiedziała po chwili. — Ale jakieś zasady muszą przecież obowiązywać. A ty powinieneś się do nich stosować, George.

— Dzięki — mruknąłem — będzie dobrze.'

— Trudno być rodzicem, który wciąż się czemuś sprzeciwia. Trudno być tym, kto zawsze psuje zabawę, kto zawsze poucza, kto stara się utrzymać swoją rodzinę jak najdalej od pogotowia, aresztu policyjnego i kostnicy. Jednak widzę, że ostatnio zrzuciłeś tę rolę na moje barki. A ja nigdy się do niej nie garnęłam. Zostałam przez was zmuszona do jej odgrywania.

— Święta racja — mruknąłem.

— Wszyscy urządzający swoją szesnastkę wypraszają na ten wieczór rodziców z domu. Wszyscy, bez wyjątku.

Uśmiechnąłem się w ciemnościach do siebie. Zupełnie jakbym słyszał naszą córkę, identycznie rozłożone akcenty.

— Ci wszyscy to kilkoro rozpuszczonych małych z jej klasy, których rodzice są wniebowzięci, kiedy nadarza im się okazja do wyjścia „w miasto”. Zastanawiam się, po co tacy ludzie w ogóle mają dzieci. Wygląda na to, że przez całe życie nic, tylko starają się przed nimi uciekać.

Wśliznąłem się do łóżka i ległem na wznak. Przyznam szczerze, że nasza mnie ochota na małe bara-bara takie wyuzdane, może nawet dwa, ale zdawałem sobie sprawę, że nie jest to odpowiedni moment. Lara pierwsza przerwała milczenie.

— Co oznacza ten bohomas na twoim ramieniu? — spytała. — Ten bazgroł do góry nogami?

Odruchowo pomacałem to miejsce.

— Mój tatuaż?

— Tak, twój tatuaż.

Co oznacza? Co oznacza mój tatuaż? Też pytanie!

Zaczył: Lara.

Co innego miałbym sobie wytatuować?

TLR

Rozdział dwunasty

Było zupełnie jak na randce.

Zdecydowaliśmy, że nie będziemy się ukrywać przez kilka godzin w schowku na szczotki. Że nie wyjdziemy na wapniaków, którzy nie wiedzą, co ze sobą począć, kiedy potomstwo daje do zrozumienia, że nie są mile widziani. A niech się nacieszą tą wolną chatą. Co to komu szkodzi? Księga z zasadami za okno. Kiedy Ruby będzie się bawiła na swoim przyjęciu urodzinowym, my też się zabawimy. Kolacja, tańce i w ogóle. Jak za starych dobrych czasów. Jak na prawdziwej randce.

Nie mogłem oderwać oczu od zstępującej po schodach Lary, tu się chyba zanosilo na coś więcej niż zwyczajna randka. Różnie w życiu bywało z moimi wyborami, ale biorąc sobie tę kobietę za żonę, bez wątpienia trafiłem w dziesiątkę.

Szykowaliśmy się jeszcze do wyjścia, kiedy zaczęli ściągać pierwsi goście. Same stare znajome. Przed dziesięcioma laty były jeszcze małymi, szczerbatymi dziewczynkami. Teraz wyrastały już z dzieciństwa. Podlotki na wysokich obcasach. Ależ ten czas leci.

Były już prawie dorosłe, ale na tyle jeszcze młode, żeby zachwycać się czekoladową fontanną i na tyle młode, żeby patrzeć na Larę tak, jakby ona posiadała klucz do jakiegoś innego, wspanialszego świata. Były wobec nas — państwa Baileyów — bardzo miłe. A może nie mogły się już po prostu doczekać, kiedy się wreszcie zmyjemy.

Chłopców też przyszło kilku — grzeczni, dobrze ułożeni, nieśmiali. Z włosami dłuższymi, niż nosiły dziewczęta. Ale rej wodziły te ostatnie. Pewne siebie, skromne, nie całkiem jeszcze dojrzałe młode kobietki, takie jak Ruby. Produkt dobrych szkół państwowych i pełnych miłości domów.

Z salonu popłynęła muzyka. Lara uśmiechnęła się do mnie, kiedy dziewczyny zaczęły tańczyć, a chłopcy, z głupawymi uśmiechami, zbili się w grupkę w kącie pokoju w nadziei, że oszczędzone im zostanie upokorzenie związane z tańcem.

— Chodźmy — powiedziała Lara.

— Zaczekaj — mruknąłem i wpatrywałem się w nią, żeby na zawsze zapamiętać, jak w tym momencie wygląda. A ona wiedziała, że jestem jej wyglądem zauroczony i że dawne uczucia we mnie nie wygasły, mnie zaś, kiedy tak na nią patrzyłem, rozpierało szczęście.

— Bo co? — spytała.

— Bo nic — odparłem. — Bo wszystko.

I uśmiechnąłem się do niej jak chłopak niepodobny w niczym do smar-kaczy, których Ruby zaprosiła na swoje przyjęcie urodzinowe. Uśmiechnąłem się jak chłopak, który wie, że tego wieczoru coś go nie ominie.

*

Z naszą rezerwacją stolika w restauracji coś się pochrzało. Kiedy tam weszliśmy, wszystkie były zajęte, a przy barze kłębił się tłum takich jak my bezstolikowców. Powiedziano nam, że nasz stół okupuje towarzystwo wybierające się do teatru, i poradzono, żebyśmy wypili drinka przy barze, dopóki tamci go nie zwolnią. Spojrzałem pytająco na Larę.

— To może pójdziemy potańczyć? — zaproponowałem.

*

Zanim poznałem Larę, musiałem dać sobie w szyję, żeby zatańczyć. I należałem do tej grupy Anglików, którzy tańczą jak piłkarscy kibice cieszący się z gola. Ręce nad głową, przestępowanie z nogi na nogę. Lara mnie tego oduczyla, pod jej kierunkiem zacząłem się w tańcu rozluźniać i przestałem zamykać oczy. Jej zdaniem taniec obrósł snobizmem bardziej niż sztuki piękne czy koneserstwo win. Według niej ludzie uważali, że taniec jest dla młodych, wyluzowanych, ewentualnie „dla zaawansowanych”.

A ona twierdziła, że taniec nie ma w sobie niczego elitarnego, że jest dla człowieka jak oddychanie. I tym mnie ujmowała.

*

Kiedy w Africa Centre wybijała północ, wyczytałem z uśmiechu Lary, że jest pod wrażeniem tych kilku kroków, które wprowadziłem ostatnio do swojego starego repertuaru.

W latach osiemdziesiątych Lara przychodziła tu często po pracy ze swoją paczką. Wieczorami grali w musicalach chłopów z okresu rewolucji francuskiej albo prostytutki z Sajgonu, albo koty, a potem przychodzili do Africa Centre, żeby przetańczyć resztę nocy. Najpierw tańczyli więc służbowo, a potem w ramach rozrywki. Kiedy się poznaliśmy, Lara zabrała mnie do Africa Centre i było to dla mnie trochę stresujące, bo zdawałem sobie sprawę, że jak nie wykażę się w tańcu, to nie będę miał u niej szans.

No więc tańczyłem. A ona udzielała mi fachowych porad. I bardzo mi się to spodobało. Spędziliśmy potem w Africa Centre kilka niezapomnianych wieczorów. Grali tam funk, soul i muzykę afrykańską. Widzieliśmy nawet kilka razy Soul II Soul, kiedy dopiero zaczynali.

Ale ten wieczór był ze wszystkich najlepszy.

Bez dwóch zdań.

*

Gdy wyszliśmy z Africa Centre, padało, a taksówki ani widu, ani sły-
chu. Zarzuciłem Larze swoją marynarkę na głowę, wzięliśmy się za ręce i
podrażowaliśmy na wschód. Przecieliśmy Charing Cross Road, zostawiając
za sobą Covent Garden. Nic się tutaj, o dziwo, od dwudziestu lat nie zmie-
niło. Ludzie nadal wytaczali się z klubów, pili podwójne espresso o pierw-

szej nad ranem i obściskiwali się w bramach. Wędrując w tę deszczową noc przez Soho, czuliśmy się o dwadzieścia lat młodszy.

Nawet gdybyśmy mieli wracać do domu na piechotę, nie zajęłoby nam to wiele czasu, ale istniało prawdopodobieństwo, że w okolicach parku szybciej złapiemy taryfę wracającą na West End. Nie złapaliśmy, ale wcale nas to nie zmartwiło. Zatrzymaliśmy się przy Regent's Park pod staroświecką latarnią gazową i wziąłem Larę w ramiona.

—Przestań, jeszcze ktoś zobaczy — ofuknęła mnie.

—A niech patrzy — powiedziałem.

I naraz istny cud. Ze strug deszczu wynurzyła się czarna taksówka z podświetlonym na żółto kogutem Wolna na dachu. Wybiegłem na środek jezdni i zamachałem.

Wsiedliśmy z tyłu. Przemoczeni, dygocząc z zimna, przytuliliśmy się jedno do drugiego i przy cichym akompaniamencie mrużących się ust nasze usta.

Lara szepnęła mi coś na ucho, żeby taksówkarz nie usłyszał, a potem, już głośno, dodała: — Nie musisz nic mówić.

I czarna taksówka mrużała nam swoją dieslowską kołysankę przez całą drogę do domu.

A raczej do tego, co z niego zostało.

*

Policyjne koguty. Zbiegowisko na jezdni.

I światła w oknach wszystkich domów przy naszej ulicy. Sąsiedzi śledzili rozwój wypadków. Co odważniejsi stojąc w drzwiach, ale większość zza uchylonych firanek. Kiedy z zamętem w głowie płaciłem taksówkarzowi, między moimi nogami roztrzaskała się butelka po piwie.

W ogródku przed naszym domem koczowała zgraja wyrostków, których pierwszy raz na oczy widziałem. Jeden rzygał do baniaka na śmieci, reszta wyklócała się z młodą policjantką o swoje prawa obywatelskie.

Drzwi frontowe zwisały najednym zawiasie. Ktoś próbował wyważyć je kopniakiem. Z pełnym powodzeniem. Spojrzałem na Larę i na widok jej miny szybko odwróciłem wzrok. Weszliśmy.

Na pierwszym stopniu schodów siedziała w kucki nieznana mi dziewczyna w haftowanych džinsach ze świeżo obrzyganymi kolanami. Dookoła stali w grupkach, jak w jakimś klubie, młodzi ludzie obojga płci. Młodzi i nie tacy już młodzi. Średnia wieku wyraźnie podskoczyła. Niektórzy mieli po dziesięć, piętnaście lat więcej od solenizantki.

Dwaj policjanci, których nie znałem, oskarżani o faszystowskie metody, z uniesionymi rękami apelowali o spokój. Z rozmaitych kątów naszego zmienionego nie do poznania domu ryczała podkręcona na cały regulator muzyka.

Lara zaczęła przepychać się przez tę ciżbę, wołając Ruby.

Wbiegłem na górę.

Podest zasłany był wszelakiego rodzaju śmieciem. Istne pobojowisko. Jakiś pojedynczy but. Strzępy ubrań. Krwawy odcisk dłoni na ścianie. Obszyte różowym futerkiem kajdanki. Zgniecione puszki i puste butelki po piwie, i wszędzie ten

smród papierosów i skrętów, a dywan poprzypalany, pełen przydeptanych petów

Zawołałem ją

Wołałem i wołałem.

Po podłodze, niczym zdechłe śledzie, wały się zużyte kondomy. Otworzyłem drzwi do sypialni Ruby. Na jej łóżku spali jacyś dwaj. Ściany pomazane były krwią. Nie, nie krwią — keczupem z pizzy. Pobiegnę dalej.

W pokoju Rufusa jakiś gościu pod trzydziestkę odlewał się do szafy ściiennej. Kiedy się odwracał, zasuwając rozporek, przylutowałem mu z łokcia w usta. Padł jak ścięty i znieruchomiał.

Rufusa znalazłem w naszej sypialni. Był śmiertelnie blady i zupełnie trzeźwy. Pochylał się nad leżącą na łóżku siostrą i głaskał ją po głowie. Nie, to nie była Ruby, lecz jedna z jej koleżanek. Jedna z tych miłych, dobrze wychowanych dziewcząt, które tak się zachwycaly czekoladową fontanną. Gdyby nie smugi rozpuszczonego przez łyzy makijażu na twarzy, wyglądałaby jak pogrążona w błogim śnie. Na podłodze odpoczywali jeszcze inni zmęczeni. Smród rozlanego piwa, rzygowin, potu i dymu zwał po prostu z nóg.

— Połknęła jakiegoś procha — wyjaśnił Rufus. — Ale nie podziałał. No to wzięła drugiego i chyba wtedy zadziałały oba naraz.

— Wezwałś karetkę? — spytałem. — Wezwij. — Podszedłem i zmierzylem jej puls.

Rufus przyłożył dłoń do czoła dziewczyny.

— Zwróciła wszystko i już jej lepiej.

—Dzwoń po karetkę, Rufusie. Gdzie ona jest? Gdzie Ruby?

—To nie jej wina, tato. Ktoś wpuścił informację o imprezie do Internetu. I jakiś didżej zaczął o tym mówić w swojej stacji radiowej. Usłyszeli to ci wszyscy starsi ludzie, ci po dwudziestce, skrzyknęli się i wycieli nam ten numer. Specjalizują się w psuciu ludziom przyjęć. Nie miej pretensji do Ruby.

Spojrzałem na dziewczynę na łóżku.

— Nie mam do niej pretensji. Chcę się tylko upewnić, czy nic jej nie jest. Chcę ją zobaczyć.

— Ostatnio widziałem ją w szopie ogrodowej.

— Co tam robiła?

— Chowiała się.

— Moja żona czekała na dole, przy schodach. W towarzystwie policjanta. Gdzieś z głębi domu doleciał brzęk tłuczonego szkła, a zaraz potem dzikie wrzaski i śmiech. Lara spojrzała na mnie, kiedy schodziłem. Była nienaturalnie spokojna. A może w szoku?

Na ulicy zawarczał silnik czarnej taksówki, tej, którą wróciliśmy. Podbiegliśmy do drzwi.

Ruszała właśnie i niebieskie błyski policyjnych kogutów oświetliły twarz naszej córki wyglądającej przez tylną szybę.

Taksówka dojechała do końca ulicy, skręciła za róg i tyle ją widzieliśmy.

— To nie jej wina — powiedziałem i miałem już zwalić wszystko na rozpaplanego didżeja i na tych ludzi po dwudziestce, i na bezmyślne rozpuszczanie plotek w Internecie, ale Lara wpadła mi w słowo.

— Zgadza się — potwierdziła. — To nie jej wina. - 1 I nie spojrzała na mnie tak, jakby mnie nie poznawała. <^f O wiele gorzej.

Spojrzała tak, jakby mnie zobaczyła, tak naprawdę zobaczyła, po raz pierwszy w życiu.

*

Stałem przed kwiaciarnią i oglądałem wystawę.

Tulipany, lilie, a pośród nich kwiaty, których nazwy nie znałem, kwiaty jakby z innej planety — fantazyjny kształt i kolor, pomarańczowe, kolczaste, przywodzące na myśl egzotyczne ptaszki, i jeszcze jedno, o delikatnych białych płatkach na końcu grubej zielonej łodygi, rzeźbione tak miśternie jak rozek francuski. Ale mnie interesowały róże. Na nie padł mój wybór. Wiedziałem, że ją zachwycą.

Stało ich tuzin w prostym wazonie z zielonego szkła. Były pod każdym względem tak idealne, aż wierzyć się nie chciało, że są prawdziwe. Głęboka, soczysta czerwień, kolor wina, kolor krwi. Wszedłem do środka. Zabrzęczał dzwoneczek nad drzwiami i sprzedawca w zielonym fartuchu podniósł na mnie wzrok.

— Mogę w czymś pomóc? — spytał z uśmiechem.

— Poproszę te róże z wystawy — powiedziałem, a on uśmiechnął się jeszcze szerzej, widać pełen uznania dla mojego wysublimowanego gustu. Podeszedł do wystawy, wyjął je z wazonu i kiedy wracaliśmy do lady, podał cenę. Osiemdziesiąt funtów za dwanaście róż? Wysupłałem z kieszeni wszystko, co w niej miałem, i położyłem to obok róż. Patrzyliśmy na siebie ze sztucznymi uśmiechami kandydatów ze spłowiątych wyborczych plaka-

tów. Brakowało około siedemdziesięciu funtów. Róże wróciły na wystawę, a ja ulotniłem się czym prędzej z kwiaciarni. Zabrzęczał dzwoneczek nad drzwiami, sprzedawca patrzył za mną przez szybę wystawową, ocierając dłonie o fartuch. Już się nie uśmiechał. Czerwony jak burak zszedłem mu z oczu.

Ale róże rosły też w parku. Na otoczonym niskim zielonym płotkiem klombie, który sąsadował z placem zabaw dla dzieci. Nie umywały się do tych z kwiaciarni. Nie były takie krwistoczerwone. W porównaniu z tamtymi jakieś takie wyleniałe, anemiczne — biedne magistrackie kwiatki poniewierane przez bywalców parku i tych dwu-, i tych czworonożnych. A przede wszystkim brakowało im szlachetnej jednorodności tamtych kwaciarnianych. Ale w końcu najbardziej liczy się pamięć, pomyślałem i przekroczyłem niski płotek przy znaku ZAKAZ GRY W PIŁKĘ.

Miałem już swój tuzin, kiedy przyuważył mnie strażnik parku.

— Ej, ty! — wrzasnął.

'Rzuciłem się do ucieczki. Biegłbym szybciej, gdyby nie pęk róż, który przyciskałem do piersi. Całe szczęście, że facet gonił mnie tylko do granic parku. Tam się zatrzymał, pogroził pięścią jak szeryf za nielegalnym imigrantem na granicy Stanów Zjednoczonych z Meksykiem.

— Wiem, gdzie mieszkasz, łobuzie! — krzyknął zasapany.

*

Życie tancerki przypomina z pozoru życie aktorki. Tancerki też chodzą na castingi, też przeżywają gorycz odrzucenia i miewają okresy wzmożonej aktywności, po których następują jeszcze dłuższe okresy bezrobocia. Ale tak naprawdę to z tancerkami jest inaczej. Na castingi nie chodzą pojedynczo, lecz całymi grupami. O ile nie mają kompletnie przewrócone w głowie, nie snują marzeń o gwiazdorstwie. A kiedy już zgasną reflektory i zajdziesz za kulisy, przekonasz się, że tancerze traktowani są tam na równi z ekipą techniczną, bardziej jak elektrycy czy stolarze niż artyści.

No i w grę wchodzi jeszcze czynnik fizyczny. Tancerze obojga płci żyją, w odróżnieniu od aktorek i aktorów, w świecie fizycznym. Julii Roberts nie grozi zakończenie kariery z powodu naderwanego ścięgna. Brad Pitt nadal będzie obsadzany, choćby trzasnęło mu więzadło. A u tancerzy to wyrok. I właśnie coś takiego przytrafiło się Larze.

Aż dziw, na ile sposobów można się nabawić brzemiennych w skutki kontuzji. Jedne są wynikiem długoletniego wysiłku fizycznego, inne dopadają człowieka znienacka. Można pracować na nie systematycznie latami, można ich doznać w mgnieniu oka. Zgniecie oślepiającego, przeszywającego bólu i po herbacie. Stało się. Złe stąpienie, upadek i wszystko się zmienia.

Tego nauczyło mnie życie.

Z niektórych kontuzji już nigdy się nie wychodzi.

*

Kiedy wszedłem, Lara siedziała przy stole kuchennym i masowała sobie nogę. O stół oparta była szczotka, obok niej, na podłodze, leżała szufel-

ka. Lara z pobladłą twarzą, krzywiąc się z bólu, rozcierała kciukiem okolice rzepki kolanowej, wbijając resztę palców w spód uda. Nie spojrzała na mnie.

Ruby szorowała na klęczkach podłogę. Włosy przytrzymała jej elastyczna opaska. Podniosła na mnie wzrok, uśmiechnęła się na widok kwiatów i wróciła do szorowania. W ogródku na tyłach domu Rufus wyrzucał śmieci z worka do baniaka. Grzechotały pogniecione puszki po piwie. Kiedy baniak był już pełen, przytaszczył go do kuchni i wysapał do siostry:

— Pomóż mi z tym, Rube.

— Nasze dzieci wybyły.

Położyłem bukiet na stole kuchennym.

— To dla ciebie, Laro.

Wzięła machinalnie jeden kwiat i strzepnęła z łodygi grudkę zaschniętego błota.

— Dziękuję — mruknęła.

— Wszystko będzie dobrze — wybąkałem i sam już nie wiedziałem, czy usiąść, czy wyjść i zostawić ją na chwilę sam na sam z prezentem, który dla niej zdobyłem. Ale zanim podjąłem decyzję, ona zaczęła mówić, stałem więc tam i słuchałem.

— Przychodzi taka chwila, kiedy przestajesz poznawać swoich bliskich — zaczęła, nadal na mnie nie patrząc, a więc można było pomyśleć, że zwraca się do ubłoconej róży, a nie do mnie. — Na początku jest bezwarunkowa miłość. Człowiek

sam się dziwi, że miał jej w sobie takie pokłady, że stać go na takie silne, głębokie uczucie. Na aż taką miłość.

—Wiem, o co ci chodzi — mruknąłem, uznając, że w tym miejscu wypada wtrącić coś od siebie.

—Ale nagle to się zmienia — ciągnęła Lara, puszczając mimo uszu moją uwagę. — Zmienia się prawie bez ostrzeżenia. Człowiek ni z tego, ni z owego spostrzega, że nie jest już tak jak dawniej, i uświadamia sobie, że nigdy już nie będzie. Coś strasznego. Nie poznawać kogoś, z kim jest się od lat. Obcy — nic dodać, nic ująć — dosłownie ktoś zupełnie inny. I tu powstaje wielki problem. — Trzymała różę obiema dłońmi. Kropelka ciemniejszej czerwieni rozkwitała na jej kciuku w miejscu, gdzie ukłuła się kolcem. — Jak można nadal kochać kogoś, kto już nie jest dawnym sobą? — spytała. — Takiego kogoś mało, że już się nie kocha. Jego po prostu się nie zna.

Odciągnąłem od stołu krzesło i usiadłem.

— Laro, to kwestia dorastania — powiedziałem. — Wiem, że to przykre, i w całej rozciągłości cię rozumiem. Kocha się je, kiedy leżą w pieluchach, kocha się, kiedy są kilkulatkami, ale coraz z tym trudniej, kiedy stuka im naście lat i zaczynają człowieka wkurzać. Jednak są to wciąż te same dzieci i wciąż je kochasz. Ten niemowlak, ten brzdąc, ten kilkulatek nadal gdzieś tam w nich jest. I odzyskasz je. Zobaczysz. Przeczekasz ten cielejący wiek i będziesz je miała z powrotem.

Odłożyła różę na stół i spojrzała na kropelkę krwi na kciuku.

— Laro?

I teraz na mnie spojrzała.

— Tu nie chodzi o dzieci — odparła. — Ja mówię o tobie. Chcesz mi pomagać w wychowywaniu tych dzieciaków, czy wolisz odejść?

Potrząsnąłem głową.

Policzki mi płonęły. Serce waliło. Do oczu napływały łzy upokorzenia i rozzalenia. Chciałem już powiedzieć, że to z myślą o niej zrobiłem sobie ten tatuaż, ale w porę ugryzłem się w język.

— To nie fair — wybąkałem. — Nie fair. Patrzyła, jak wstaję z krzesła i wycofuję się z kuchni.

— Ja się tak nie bawię!

I zatraskując za sobą drzwi frontowe, nadal czułem na plecach jej wzrok.

*

Pościeliła mi na sofie.

Sofie hańby.

Prowizoryczne posłanie, na którym miałem się miotać, przewracać z boku na bok i żałować za grzechy. Pokręciłem głową, omal nie parszając śmiechem. } Do pokoju weszła Lara.

— Jakiś gość nas nawiedził? — Spytałem, wskazując ruchem głowy sofę hańby.

Zatrzymała się po drugiej stronie sofy i spojrzała na mnie.

— Jeszcze do ciebie nie dotarło? — fuknęła. — Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Fala goryczy wezbrała we mnie, wypiętrzyła się i przerwała tamę.

— Po tym wszystkim, przez co przeszedłem? — spytałem.

—Nie — odpowiedziała. — Po tym wszystkim, co ja przez ciebie przeszłam. Miarka się przebrała, kiedy zacząłeś zachęcać Rufusa do rzucenia szkoły.

—Ja?

—Sam wbijałeś im zawsze do głów, że wykształcenie to podstawa. Że otworzy przed nimi szanse, których ty nigdy nie miałeś.

—Wykształci się, występując na scenie — zaoponowałem. — To uniwersytet życia.

—Uniwersytet życia? — fuknęła. — Opowiadanie durnych dowcipów bandzie podchmielonych bęcwałów w jakimś zapyziałym pubie na East Endzie? To żaden uniwersytet życia. To nawet nie zawodówka. — Prychnęła pogardliwie. — I jeszcze to utwierdzanie Ruby w przekonaniu, że nadaje się na wojującą ekolożkę. :

—Przecież ona już...

—Ale to nasz dom, George. Tutaj wychowywaliśmy nasze dzieci. Tutaj mieszkamy. Pamiętasz, jacy byliśmy podekscytowani, kiedy się wprowadzaliśmy? Pamiętasz, jacy byliśmy wtedy szczęśliwi i jak się martwiliśmy, czy damy radę go utrzymać? Pamiętasz coś z tego?

Też pytanie! Pewnie, że pamiętałem.

— To nasz dom, George — powtórzyła, a ja wyczułem, że jest zmęczona, zmęczona sprzątaniami po kimś, zmęczona mną, w ogóle zmęczona. — Nasz — ciągnęła. — Zobacz, co z niego zrobiłeś.

Rozejrzeliśmy się wszyscy. Sprzątając w pocie czoła we czwórkę, odwaliliśmy kawał porządnej roboty. Ale na dywanie widniały nadal te szpetne czarne ślady po hartowaniu petów. Niektóre plamy nie chciały zejść do

końca z mebli, a za oknem widziałem rabatki zdewastowane przez spółkujące pary, rzygających i zmęczonych. Niewykluczone też, że zniszczono je dla kawału. Napracowaliśmy się co niemiara, jednak mimo to dom nie wyglądał jak dawniej. I prawdopodobnie już nigdy nie będzie.

— Może, jak pośpisz jakiś czas tu, na dole — podjęła Lara — to zmądrzejesz.

W tym momencie moje rozżalenie przytłumione potężną dawką poczucia winy, lecz tłące się jeszcze, rozgorzało z nową siłą.

— Po tym wszystkim, przez co przeszedłem, każą mi pod własnym dachem koczować — powiedziałem z goryczą.

— Proszę bardzo — zaczęła Lara z westchnieniem tak ciężkim, że dreszcz mnie przeszedł. — Bierz łóżko. A na sofie będę spała ja.

— Przecież mnie kochasz — zaproponowałem i zabrzmiało to tak, jakbym jej coś zarzucił.

Spuściła głowę.

— Kocham wspomnienie o tobie — powiedziała. — Kochałam cię takiego, jaki byłeś. Miłego. Silnego. Odpowiedzialnego. — Znowu podniosła na mnie wzrok i wyczytałem z jej oczu, że drażnią ją moje długie włosy. Jasny gwint. — Kochałam cię — podjęła — kiedy byłeś prawdziwym mężczyzną, a nie jeszcze jednym żalonym podtatusiałym młodzieniaszkiem. Nie masz jeszcze porsche? Nie możesz nim zaszpanować? Nie czas pomyśleć o sprawieniu sobie porsche?

— Porsche? — podchwyciłem z przekąsem. — Niezła myśl. Już się widzę w porsche. — Pokręciłem głową. — Podejrzewasz u mnie coś w rodzaju kryzysu wieku średniego? Nie chcę żadnej wypasionej bryki. Nie

chcę odstawić jakiegoś podstarzałego playboya. — Siegnąłem nad sofą i wziąłem ją za rękę. — Ja chcę tylko żyć pełnią życia, Laro. Chcę się nim cieszyć. A mam wrażenie, że coś wysysa z niego całą esencję.

Cofnęła rękę.

— Ty się nie martw o esencję — odcięła się. — Martw się o te zacieki po piwie rozlanym na podłodze naszej sypialni. Martw się o dzieci. O nasz dom się martw. — Chwyła poduszkę z sofy hańby i rzuciła nią we mnie. — Zwyczajnie dorośnij, słyszysz?

Bez trudu przechwyciłem poduszkę w locie. Lara usiadła na sofie hańby i zakryła twarz dłońmi. Bardzo szybko teraz oddychała.

— Ja tego nie wytrzymam, nie wytrzymam, nie wytrzymam...

Chciałem ją objąć, ale ona z całych sił odtrąciła moją rękę. Zaczęła ściągać z palca obrączkę ślubną, klnąc pod nosem, bo ta nie chciała zejść.

— Masz — powiedziałem, wstając. — Mogę ci oddać swoją.

Ale swojej też nie dawałem rady ściągnąć. Zakleszczyła się na fałdzie skóry na kłykcium i ani wte, ani wewte. Spojrzałem na Larę. Ona dała już za wygraną i siedziała z dłonią przyłożoną do czoła pod opadającymi na oczy kosmykami włosów, starając się uspokoić.

Poszedłem do kuchni i wyjąłem z lodówki tubkę substancji masłopodobnej.

Wycisnąłem trochę na palec, rozsmarowałem i obrączka zeszła momentalnie. Wróciłem do salonu, wymachując nią triumfalnie.

— Ha! — zawołałem. — Ha!

Lara spojrzała na mnie. Oto twarz kobiety, którą kochałem przez połowę swojego życia. Nigdy jeszcze nie wyglądała tak staro jak dzisiaj, a ja jeszcze nigdy nie kochałem jej bardziej. Tutaj i teraz. Nigdy nie kochałem bardziej.

Wzięła ode mnie obrączkę i obejrzała ten złoty krążek umazany masłem, po którym zsuwałem go z palca. I uśmiechnęła się. Ale był to uśmiech tak nieskończenie smutny, że ogarnęła mnie panika. Nie chciałem jej stracić.

— Ale jesteśmy ze sobą szczęśliwi, prawda? Przeważnie? Prawie przez cały czas? Nie nudziłaś się ze mną, prawda?

Zacząłem spacerować nerwowo po pokoju, a ona wodziła za mną wzrokiem. Jej mina wyrażała coś więcej niż tylko stres spowodowany moją chorobą, niż frustrację spowodowaną obcowaniem ze mną nowym, poprawionym, niż gniew na zgraję imbecyli, która zdemolowała jej dom.

Ona się poddała. Miała dosyć. Chyba położyła na mnie krzyżyk.

— Nie, George, nie nudziłam się.

Ośmieliły mnie te słowa. Chwyciłem z sofy hańby poduszkę i rzuciłem nią w Larę.

Myślałem, że odrzuci ją ze śmiechem i za chwilę dojdzie do wesołej walki na poduszki, którą zakończymy, tarzając się po podłodze jak dwoje rozbrykanych szczeniąt.

Ale róg poduszki trafił ją chyba w oko, bo odchyliła się z okrzykiem bólu, przyłożyła do niego opuszki palców i sprawdziła, czy nie ma na nich krwi.

—O Jezu, Laro, przepraszam! — zawołałem, padając przed nią na klęczki.

—Tak, ty zawsze przepraszasz — powiedziała, spoglądając na mnie okiem, które nie ucierpiało. — I zawsze masz za co. — Niecierpliwym machnięciem ręki dała mi do zrozumienia, że mam się od niej odsunąć. — Zostaw mnie. Możesz zejść mi na jakiś czas z oczu? Proszę.

Odebrałem od niej swoją obrączkę ślubną.

— Na jak długo? — spytałem.

— Jak długo? — zachnęła się, jakbym prosił ją o wyjawienie mi wszystkich tajemnic wszechświata.

Kiwnąłem głową.

— No właśnie—jak?

Wzruszyła ramionami.

— Na parę dni? Dopóki mi nie przejdzie. Sama nie wiem. Nie możesz wynająć sobie gdzieś jakiegoś pokoiku?

Wynająć pokoik? Pokoik wynająć? Zacząłem ścierać masmiks z serdecznego palca swojej lewej dłoni.

Gdzie ja tak ni z tego, ni z owego znajdę jakiś pokój do wynajęcia?

*

W parku chłopaki grali w nogę.

Kurtki pełniły rolę słupków. Śmiech, okrzyki i radość ze strzelonych goli podejrzana w telewizji. Po obu stronach melanz koszulek niekoniecznie przychylnych sobie klubów — Liverpool, Arsenal i Real Madryt przeciwko Manchesterowi United, Chelsea i Barcelonie.

Ludzie spacerujący tu z psami omijali ich szerokim łukiem, chociaż chłopcy, pomimo wrzawy, jaką czynili, byli zupełnie nieszkodliwi. Mieli po kilkanaście lat, znaczy byli wystarczająco młodzi, by któregoś dnia odgrywać podobne przedstawienia przed miliardową widownią. Na tyle młodzi, by jeszcze marzyć, łudzić się, czy jak to tam nazwać.

Za silnie kopnięta piłka poleciała w moją stronę. Posłałem ją z woleja z powrotem na boisko, zanim dotknęła ziemi. Chłopcy przerwali grę, popatrzyli po sobie i zaczęli się naradzać. Okazało się, że jednej z drużyn brakuje jednego zawodnika do składu i poprosili, żebym do nich doszłusował.

Wbiegłem więc nieśmiałym truchcikiem na boisko i wkrótce stwierdziłem, że ja również marzę — *Do mnie! Do mnie! Tułaj! Tu jestem!* Ten na skrzydle, ten z podniesionymi rękami, żeby pokazać, że jest wolny, to ja. *Tak! Jestem wolny!* Mój T-shirt nasiąkł potem, krew szybciej krążyła w żyłach, i ten rozkoszny ból w udach. *Jestem wolny!*

Bramki padały raz po raz, ale nikt ich chyba nie liczył. Nie było przerwy, a i końca nikt nie odgwizdywał. Po jakimś czasie mistrz środka pola z Realu Madryt zszedł z boiska i podniósł z ziemi swój rower, tłumacząc, że mama na niego czeka. Od tej chwili szeregi z obu stron zaczęły się przeredzać.

Graliśmy jeszcze w kilku przez wiele godzin, wkopując piłkę między te niby-słupki z kurtek. Nogi nam omdlewały, coraz bardziej chrypnęliśmy, a nasze nowe serca waliły, pijane szczęściem, w zapadającym zmroku.

Część druga

Zen i sztuka konserwacji basenów kąpielowych

TLR

Rozdział trzynasty

Obudziła mnie muzyka.

Dolatywała z dołu. Znajoma. Mama przyrządzała śniadanie, słuchając radia, i podśpiewywała ten kawałek w duecie z Boyem George'em. Czulem zapach smażonego bekonu, za zasłoniętym oknem mojej sypialni dojrzywałem ciepły letni poranek. Wszystko było tak jak za starych dobrych czasów. Znowu zasnęłam.

Usiadłem na łóżku i stwierdziłem, że mam na sobie dzinsy. Prześciera-
dło zasłane było konfetti — nie, nie konfetti, lecz karteluszkami, które po-
wypadały mi z kieszeni.

Charlotte i numer telefonu nabazgrany na serwetce. Sara i telefon nagryzmołony na pudełku zapalek z baru, którego nie pamiętałem. Tomoko i adres e-mailowy wykaligrafowany na odwrocie wizytówki.

Podrapałem się po głowie.

Co to za jedne?

W ustach miałem smak brudnej ścierki. Z jękiem stoczyłem się z łóżka, podźwignąłem na nogi i przejrzałem w lustrze. Blizna na piersi zaczęła pulsować, ledwie padł na nią mój wzrok, zupełnie jakby chciała mi powiedzieć dzień dobry.

W pokoju panował nieopisany bałagan. Po podłodze walały się części garderoby, gdziekolwiek spojrzeć, stosy książek, jakaś spleśniała pizza w pudełku wielkości winylowego longplaya. Mama położyła na krześle kupkę świeżego prania. Wysepka porządku w morzu chaosu. Wziąłem z tej kupki czystą koszulę, włożyłem ją i zapiąłem guziki. Blizna uspokoiła się.

W ogródku ojciec gawędził z Winstonem. Słyszałem ich przyciszony, konspiracyjny śmiech i szum Winstonowej siatki na liście przeciąganej po powierzchni wody. Podszedłem do okna.

Pogoda jak marzenie. Tato bez koszuli, szczupły i opalony, przecha-
dzał się dumnie po swoim ogródku niczym podrywacz ze śródziemnomorskiej plaży polujący na turystki ze Skandynawii. Kiwali do siebie głowami i chichotali z Winstonem nad niewielkim prostokątem turkusowej wody. Tato całe życie pracował na ten mały basen kąpielowy.

Zachwiałem się z lekka, w głowie miałem mętlik. Zaraz, zaraz, gdzie ja jestem? No przecież.

W domu.

Zszedłem na dół i mama uśmiechnęła się do mnie od kuchenki.

— Szkoda takiego pięknego dnia — powiedziała, nakładając na talerz bekon, jajecznicę i tost. Z radia stojącego na parapecie otwartego okna leciał kolejny stary kawałek *Come On Eileen*.

Wszystko jak dawniej. Mama przy kuchence. W radiu Dexy's Midnight Runners. Ja skacowany, głodny jak wilk, usiłujący sobie przypomnieć tamte dziewczyny z wczorajszego wieczoru. Żebym już zupełnie poczuł się jak za młodych lat, brakowało tylko taty wchodzącego do kuchni i psioczącego, że w domu znowu coś się popsulo.

No i proszę! Wparował do kuchni drzwiami od ogrodu z okrzykiem:

— Ten filtr znowu się zapchał!

Stanął obok mamy i przyglądali się oboje, jak pałaszują śniadanie. Zupełnie jakby nie mogli uwierzyć, że wróciłem. Mnie samemu nie chciało się w to wierzyć. Mama zabrała mój pusty talerz i zaczęła nakładać drugą porcję.

— Musisz nabrać sił — zawyrokowała, zerkając na mnie znacząco.
— Wszystko będzie dobrze. Między tobą i Larą. Dojdiesz do siebie. Masz teraz po prostu zły okres. Każdy od czasu do czasu miewa takie.

Tato prychnął, usiadł naprzeciwko mnie i zasłonił się „Daily Expressem”.

— Zły okres — wyburczał. — Ja brnę przez niego od czterdziestu pięciu lat i końca nie widać.

— Jak miło to słyszeć z twoich ust, George. — Mama spojrzała na niego obruszona. Tato też miał na imię George. — I włóż koszulę — napomniała go.

W tym momencie z radia popłynęła melodia, która przywołała na jej usta uśmiech. Kuchnię wypełniło niebiańskie saksofonowe solo i mama

zamachała jak dyrygent trzymaną w ręku drewnianą kopyścią. Ten kawałek też znałem. W radiu puszczała dzisiaj same stare przeboje.

— Och, jak ja to uwielbiam — roztkliwiła się mama. -

— *Baker Street* Gerry'ego Rafferty'ego — powiedziałem. — Z albumu *City to City*, który wyparł ścieżkę dźwiękową z *Gorączki sobotniej nocy* z czołówki Setki Billboardu.

Mama zabrała się do parzenia herbaty dla wszystkich. Kiedy przebrzmiały ostatnie tony saksu, mama wskazała ruchem głowy radio.

— To jest muzyka — stwierdziła. — Aż chce się słuchać.

— Słynne saksofonowe solo — wtrąciłem — w wykonaniu jednego z najlepszych muzyków studyjnych Raphaëla Raven-scrofta.

— Słyszałeś, Georgie? — Mama uśmiechnęła się. Tato nie podniósł nawet wzroku znad „Daily Expressu”.

— Już ja swoje wiem o tej całej muzyce pop — westchnął. — Tam się obraca taką kasą, że mózg się lasuje.

Puściłem tę jego uwagę mimo uszu.

— A swoją drogą ciekawa sprawa, mamó. *Baker Street*, chociaż to jeden z najsłynniejszych singli wszech czasów, nigdy nie był na pierwszym miejscu. Mama zrobiła wielkie oczy.

— Napijiesz się herbatki, Winston?! — zawołał tato, odwracając się do drzwi prowadzących do ogrodu.

Winston, wciąż zgarniający siatką liście z powierzchni basenu, nie zareagował. Był w wieku moich rodziców — siedemdziesiąt lat z okładem — ale wyglądał na dużo starszego.

— Głuchy jak pień — skomentował tato.

— Zaniosę mu — zaofiarowała się mama.

— O ironio, tytuł tego kawałka to nazwa słynnej stacji metra — podjąłem — bo na pewnym etapie swojego życia Geny Rafferty zarabiał na życie, grając w londyńskim metrze.

Milczeliśmy przez chwilę, słuchając leżącej z radia *Baker Street*, każde z nas zatopione we własnych myślach.

— Coś pięknego — westchnęła mama — nasłuchać się nie można.

— Tak, bardzo ładna piosenka — mruknął tato tonem sugerującym, że dyskusję na ten temat uważa za skończoną.

Mama posłodziła herbatę i postawiła przed nami wielkie parujące kubki. Jeden wyniosła Winstonowi, który klęczał nad zapchanym filtrem. Tato, nie odrywając oczu od gazety, odezwał się:

— Będziesz się musiał rozejrzeć za jakąś robotą.

— Za jaką robotą? — spytałem, bo nie za bardzo kojarzyłem.

Kiwnął głową.

— Z czegoś chyba trzeba żyć, nie? — odparł. — Rachunki i w ogóle.

Wróciła mama. Wzięła bezkształtny kłęb wełny i podeszła z nim do mnie. Odsunąłem się ze śmiechem, kiedy przyłożyła mi go do szyi jak kat przymierzający skazańcowi stryczek. Mama dziergała coś dla mnie na drutach. W skrytości ducha cieszyła się chyba, że ma mnie z powrotem w domu.

— Takie kudły sobie zapuścić! — powiedziała z emfazą i trzepnęła mnie po głowie swoją niewydarzoną robótką. Uchyliłem się ze śmiechem. Letnie słońce paliło, bekon się smażył, a z radia leciały jeden za drugim

wielkie przeboje. Tato westchnął tylko, przewrócił oczami i zagłębił się z powrotem w lekturze „Daily Expressu”.

*

Moja córka spojrzała na mnie przenikliwie.

— Jeśli zbytnio cię stresuje odwiedzanie mnie w domu, możesz przychodzić pod szkołę — powiedziała. — Wiem, że ona potrafi być jędzowata.

Spróbowałem przybrać potępiającą minę.

— Nie mów tak, pyskata. To nieładnie. A zresztą nie wiem, co masz na myśli.

Jednak bardzo dobrze wiedziałem. I moje zdradzieckie serce radowało się po cichu, że Ruby tak otwarcie krytykuje swoją matkę. Szliśmy zatłoczoną Camden High Street. Obok nas pełzył range-rover niemogący się przebić przez tłumy bladoliczych miejscowych i zakolczykowanych turystów przewalające się środkiem jezdni. Kobieta za kierownicą zaczęła wyrzucać przez okno śmieci. Na ulicę, postukując o jezdnię, zanim rozniósł je letni wietrzyk, posypały się styropianowy kubek po kawie, plastikowa butelka, resztki niedojedzonego lunchu. Pannica milionerka z bryki za dobre pięćdziesiąt kawałków pozbywała się odpadków jak bezmyślna handlarka rybami z czasów wiktoriańskich opróżniająca nocnik.

— Ależ mnie wkurzają tacy ludzie — warknąłem. — Zaczekaj tutaj.

— Oj, tato — jęknęła Ruby i ten jęk poniósł się za mną ulicą. — Ta-aaaato.

Ale ja robiłem już swoje. Lawirując pośród poruszających się w żółtym tempie przechodniów i pojazdów, pozbierałem to wszystko z jezdni — i kubek po kawie, i butelkę, i niedojedzone panini — podszedłem do range-roversa i przez opuszczoną szybę samochodu położyłem z namaszczeniem na fotelu pasażera.

— Coś pani wypadło — powiedziałem i nawet przez okulary przeciwsłoneczne marki Chanel wielkości spodków, które nosiła, dostrzegłem nienawiść w jej oczach. Wracałem na chodnik nagradzany oklaskami przez sprzedawcę „Big Issue” stojącego przed wejściem na stację metra. Ale Ruby kręciła głową.

— Ziemia umiera — stwierdziła melodramatycznie. — Wydaje ci się, że to powstrzymasz, sprzątając po jakimś babsku z Hampstead?

— Tak mi się właśnie wydaje — odparłem. Roześmiała się tylko, wzięła mnie pod rękę, przytuliła się i ruszyliśmy dalej noga w nogę z tłumem.

— Utylizujemy wtórnie plastikowe butelki, wymachujemy swoimi małymi transparencikami i niczego to nie zmienia — podjęła i westchnęła z nieskończoną refleksyjnością szesnastolatki. — Robimy to tylko po to, żeby poprawić sobie samopoczucie.

— Widzę, że zmieniłaś ton — zauważyłem ciekaw, czy nadal co weekend chodzi pod lotnisko.

Skęciliśmy do sklepu odzieżowego. Rzędy wieszaków z T-shirtami i denimami. Podeszła do mnie kobieta z parą dżinsów wytartych i wystrzępionych tak, jakby moczono je w toksycznych ściekach.

— Pan tu pracuje? — spytała, a ja szybko pokręciłem , głową. — A wygląda pan, jakby pracował — orzekła kobieta. Ruby nie kryła oburzenia. Ja poczytałem to sobie za komplement.

Wyszliśmy.

— Chodź, zajrzyjmy tutaj — zaproponowałem.

Była to jedna z tych niezależnych małych księgarń, które zawsze sprawiają wrażenie, że tylko patrzeć, kiedy zwiną interes. Postanowiłem sobie, że będę regularnie odwiedzał takie miejsca. Niewykluczone, że Ruby miała rację. W odwiecznym wielkim planie nie robiło to może żadnej istotnej różnicy. Ale jeśli człowiek nie pozostaje obojętny wobec problemu, to kto wie, może przyczynia się do jego rozwiązania. A może to tylko sposób na jego obejście?

Za ladą stał zadumany młodzieniec z kozią bródką. Na nasz widok spłoszył się, zupełnie jakby nie spodziewał się towarzystwa.

— Czym mogę państwu służyć?

— Szukam książki Roberta Pirsiga pod *tytułem Zen i sztuka obsługi motocykla* — powiedziałem.

Zastanawiał się chwilę, poruszając kozią bródką.

— Półka w głębi. Dział filozofia łamane przez nawój duchowy.

— Dzięki.

Ruby szła za mną, sunąc bezwiednie palcami po grzbietach książek. Atmosfera przypominała tu bardziej bibliotekę niż księgarnię. Labirynt dusznych wąskich przejść między półkami, a na nich książki, których chyba nikt od lat nie dotykał. Odnalazłem dział filozofia łamane przez rozwój

duchowy, a w nim książkę, której szukałem. Wyciągnąłem ją i przeczytałem pierwszy akapit.

Bez odrywania lewej ręki od kierownicy mojego motocykla widzę na zegarku, że jest ósma trzydzieści rano. Nawet przy sześćdziesięciu milach, jakie rozwijam, prąd powietrza jest ciepły i wilgotny. Skoro taki upał już o ósmej trzydzieści, to ciekawe, co będzie w południe.

Coś wspaniałego. Wolność. Przygoda. Pusta szosa. Kerouac na motocyklu. Często się tak czułem, krążąc na swoim rowerze po Primrose Hill. Serce szybciej mi zabiło, blizna zapulsowała z zachwytu. Przez tych kilka czarownych chwil pędziłem w ciepły letni poranek na tylnym siodełku z Robertem Pirsigiem w kierunku Dakoty, poszukując sensu życia, prawdy i w ogóle, wdychając opary oleju unoszące się z rozgrzanego metalowego rama niosącego moje dziecko i mnie.

Zaniknąłem książkę i obejrzałem się z rozmarzonym uśmiechem, żeby powiedzieć Ruby, jaka to wspaniała pozycja i że stanowczo powinna ją przeczytać. Przyszło mi do głowy, żeby kupić dwa egzemplarze, jeden dla siebie, drugi dla córki. I... zdębiałem. Ruby wsuwała właśnie do plecaka dwie cienkie zielone książki w miękkich okładkach.

Przechwyciła moje spojrzenie, uśmiechnęła się, odwróciła i skierowała do drzwi. Powlokłem się za nią ze stępałym uśmiechem przyklejonym do warg, wmawiając sobie, że to nic z tych rzeczy, że tylko tak wyglądało. Miałem wciąż nadzieję, że Ruby zrobi, co należy.

— Fajny sklep, kolego — zaszcebiotała Ruby do mężczyzny za ladą, ale ten stał odwrócony plecami do nas, zajęty otwieraniem jakiegoś kartonowego pudła, i w odpowiedzi mruknął tylko coś pod nosem. Zabrzączał dzwoneczek nad drzwiami — to Ruby wychodziła na ulicę. Zawahałem się przed ladą, popatrzyłem na plecy młodzieńca, a potem wyszedłem za nią. Dzwoneczek znowu zabrzączał.

— Odbiło ci? — warknąłem do córki.

Ruszyła przed siebie.

— Nie wiem, o czym mówisz — powiedziała. Minęła nas grupka chłopców w pochłapanych farbą spodniach. Wszyscy, co do jednego, obejrzelili się za nią. Posłałem im piorunujące spojrzenie. Nie zrobiło na nich wrażenia.

Chwyciłem ją za łokieć i wciągnąłem do pobliskiej bramy.

— Coś ty przed chwilą zrobiła? Bój się Boga, Ruby.

Z przesadną flegmą wysunęła z plecaka do połowy obie książki. Seria klasyki Penguina. *Pies Baskewille 'ów* i *Przygody Sherlocka Holmesa*.

Pokręciłem głową. Książki znikły na powrót w plecaku.

— Nawet nie wiedziałem, że lubisz Arthura Conan Doylea.

— A kto powiedział, że lubię? — spytała. — To bardzo emocjonujące. No wiesz. Zdobyć coś za friko. Ulotnić się z tym. Przechytrzyć tamtych. — Uniosła brwi, które, jak dopiero teraz zauważyłem, miała wyskubane do tego stopnia, że mało co z nich zostało. — I nie mów tylko, że nie wiesz, o czym mówię. — I nagle przyłożyła dłoń do mojej piersi. — Zaczekaj.

Młodzieniec z kozią bródką stał przed księgarnią i oczkami jak paciorki przeczesywał zatłoczoną ulicę.

— No widzisz, coś narobiła? — syknąłem.

— On nie rozgląda się za mną, wypatruje ciebie. Spojrzeliśmy oboje na egzemplarz *Zen i sztuka obsługi motocykla*, który trzymałem wciąż pod pachą. Ruby wzięła mnie za rękę i chichocząc pod nosem, pociągnęła za sobą. Wmieszaliśmy się w tłum i czym prędzej stamtąd oddaliliśmy.

— I co teraz zamierzasz, tato? — spytała. — Oddać tego chyba nie możesz, prawda?

Musiałem przyznać jej rację i było mi strasznie wstyd, a blizna pulsowała jak nigdy dotąd.

— Oni wliczają kradzieże sklepowe w kosza — wyjaśniła Ruby, kiedy skręcaliśmy do cukierni Marinę Ices. — Tak jak opłaty za prąd, wodę i takie tam. Jak wy to nazywacie? Koszty ogólne. Dla nich to po prostu jeszcze jeden wydatek.

Zaatakowaliśmy swoje lody z owocami i śmietanką, a potem siedzieliśmy rozkosznie syci i w milczeniu obserwowaliśmy tłumy przelewające się przez Chalk Farm.

W rotundzie zapaliły się piękne, karmazynowe światła. A kiedy kelnerka sprzątała nasze talerzyki, Ruby przygryzła dolną wargę z taką siłą, że pozostały na niej ślady zębów.

— Kiedy zamierzasz wrócić do domu? — spytała, patrząc w okno.

— Niedługo — odparłem. — Lada dzień. Odprowadziłem ją na przystanek autobusowy. Odjechała, machając mi na pożegnanie z tylnego pomostu. Straciwszy ją z oczu, poszedłem po rower.

Serce mi rosło na samą myśl, że wkrótce będę pedałowal Finchley Road na północ, doznając uczucia lotu. Myślałem o Kerouacu i Cassadym, którzy pędzą przez Meksyk i ani im w głowie martwić się, że mogą wylecieć szczupakiem przez przednią szybę. *W drodze* nikt nie zapina pasów bezpieczeństwa. I nikt nie przejmuje się swoją hipoteką. I nikt nie głowi się nad swoim planem emerytalnym.

Bo są w życiu człowieka takie chwile, kiedy możliwość, że noga mu się kiedykolwiek powinie, w ogóle nie zaprzęta mu myśli. Ulotne chwile wolności, kiedy człowiek czuje się po prostu nieśmiertelny. Kiedy wie, że nic na tym świecie nie jest mu w stanie zagrozić. To właśnie, pomyślałem, jest najpiękniejsze w życiu... Zaraz, zaraz, gdzie ja zostawiłem ten cholerny rower?

Te latarnie uliczne w Camden Town wydawały mi się wszystkie jednakowe. Przemknęło mi przez myśl, że zapomniałem, do której przypiąłem go łańcuchem. Ale w końcu do mnie dotarło.

Jakaś łajza rąbnęła mi rower

*

Rufus jakby się postarzał.

Podkrążone oczy, spojrzenie nieobecne. Blady. Patrzyłem, jak schodzi po schodach, za chwilę dojrzy mnie przy klubowym barze, i w tym momencie to, że nie mieszkam z dziećmi w domu, zaciążyło mi na duszy jak występki, za który nigdy nie poniosę kary.

To właśnie było najdziwniejsze. Te „widzenia”. Umawianie się z własnymi dziećmi na mieście. Szukanie okienka, w którym będę mógł zobaczyć swojego syna i córkę. Ściśle określonych widełek czasowych, w których trzeba się zmieścić.

Zobaczył mnie i zaczął się powoli przepychać przez tłum w moim kierunku. Objęliśmy się niezgrabnie. Nie tak łatwo wziąć go w objęcia, tego mojego syna — same patykowate ręce i sterczące łokcie. Ale dałem jakoś radę i wspiąłem się na palce, żeby go cmoknąć w policzek. Poczułem na wargach dziecinnie meszek zarostu i cieniutką warstewkę wody po goleniu Lynx. Trzymałem go tak chwilę, a potem puściłem z objęć. Pewnie goli się już ze dwa razy w tygodniu, pomyślałem.

—Dobrze się czujesz? — spytałem. — Wyglądasz... wszystko w porządku?

—To z przepracowania — mruknął. — Te nocne zmiany mnie wykończą.

—Napijesz się czegoś?

—Ja stawiam.

Kupił mi piwo, sobie sok owocowy i przenieśliśmy się ze szklankami pod ścianę klubu. Na malutką scenę wyszedł uśmiechnięty chłopak. Dżinsy z krokiem na wysokości kolan, spłowiała koszulka polo — wszystko, co miał na sobie, wyglądało na starsze od niego samego. Zauważyłem z zaskoczeniem, że jest chyba młodszy od Rufusa. Ale wyczuwało się też, że nie sam dystans wieku różni chłopaka od mojego syna. Odnosiło się wrażenie, że chłopak na scenie należy do jakiegoś innego świata. Zdjął mikrofon ze stojaka i ten zatrzeszczał mu w dłoni.

— Czasami myślę sobie, że powinienem wreszcie wydorosnąć — zaczął. — No wiecie: znaleźć sobie dziewczynę, spotykać się z nią, wziąć za bary z dojrzałością. — Podciągnął koszulkę i podrapał się po gołym brzuchu. — Ale zaraz potem przypomina mi się, chwila moment, przecież to sam środek sezonu na kasztany.

Zerknąłem na Rufusa. Uśmiechał się.

— Niezły jest — pochwalił go, a ja zapragnąłem, żeby to on tam stał, żeby nigdy nie wydorosłał i żeby wszystko było znowu po staremu.

Pod koniec występu z góry zeszła grupka kobiet niosąca gigantycznego, nadmuchiwanego penisa. Na głowach miały tiary, na nogach porwane pończochy. Kilka trzymało czarodziejskie różdżki. Jedna potknęła się i upadła, ale wylądowała na gigantycznym nadmuchiwanym penisie i odbiła się od niego. Jej koleżanki skoczyły na siebie i zawyły.

— Wieczór paniński — powiedziałem. — Zaraz sobie pójdą.

Rufus spojrział na zegarek.

— I tak będę już musiał lecieć — odparł i oberwał w głowę gigantycznym nadmuchiwanym penisem. Uśmiechnął się uprzejmie i szybko dopił sok owocowy. Skierowaliśmy się do wyjścia.

Na przystanku autobusowym kłębił się tłum udających się w kierunku Leicester Square. Rufus spoglądał co chwila na zegarek. Żał mi się go zrobiło. Kiedy inni zbijają baki, zabawiając się gigantycznymi nadmuchiwanymi penisami, on musi iść do pracy.

Wspięliśmy się na górny pokład autobusu. W nozdrza uderzył nas zawieszisty zapach chipsów. Autobus toczył się skapanymi w neonowym blasku ulicami West Endu.

— Wszyscy wybierają się na festiwal do Edynburga — powiedziałem.
— Każdy komik amator w mieście. Wiesz, co to oznacza, prawda? Edynburg, a ty nie jedziesz. Zostajesz w Londynie, bo masz kupę roboty.

— Mogę sobie odpuścić ten Edynburg — odparł, zerkając na mnie przelotnie. — I odpuszczę.

— No właśnie — mruknąłem, chociaż wiedziałem, że mówimy o dwóch różnych rzeczach. — Rufusie? .'

— Co?

— Dobry byłeś — powiedziałem. — Jesteś dobry. I nie twierdzą tak tylko dlatego, że jestem twoim ojcem.

Ożywił się. Ale tylko na sekundę.

— Hmm... tego... Od nikogo innego jakoś tego nie słyszałem.

Wstał. Wysiadał na następnym przystanku.

— Może jeszcze usłyszysz — powiedziałem. — Może się w końcu na tobie poznają.

Uśmiechnął się skromnie.

— Tak, tato. Może.

Przed supermarketem, w którym pracował, rozładowywano ciężarówkę. Rufus wszedł na zaplecze, ja zostałem przed wejściem i czekałem, oglądając pierwsze strony jutrzejszych gazet. Mój syn wrócił po chwili, zapinając biały fartuch. Na głowie miał małą białą czapkę. Obok mnie stał przysadzisty, ostrzyżony na zapałkę staruszek w źle skrojonym garniturze i czytał dział sportowy jakiejś jutrzejszej gazety. Spojrzał na Rufusa.

— No, ruszaj się, Bailey, do cholery — fuknął na niego, potrząsając z irytacją gazetą. — Masz zaczynać o dziesiątej. Za kogo się uważasz, za jakiegoś komedianta?

Wyszedłem za Rufusem na ulicę. Zbliżyliśmy się do ciężarówki. Przywiozła owoce i warzywa. Na pace krzątało się kilku mężczyzn rozmawiających po polsku, na wylocie stała już przygotowana paleta z pudłami pomarańczy.

Rufus dźwignął dwa pudła.

— Daj, pomogę ci — zaoferowałem się i chciałem wziąć od niego jedno pudło. Roześmiał się z zażenowaniem i odwrócił do mnie bokiem.

— Poradzę sobie — odrzekł.

Wiedziałem, że nie mogę tu zostać. Wiedziałem, że przeszkadzam. Jednak chciałem jeszcze trochę z nim porozmawiać, przedłużyć nasze „widzenie”, pobyć z nim.

Ale on nie miał już dla mnie czasu, był w pracy.

Patrzyłem, jak wnosi pudła do supermarketu. I czułem zapach pomarańczy unoszący się nad tą ciemną, brudną uliczką. Kiedy wyszedł, uściskałem go mocno i szepnąłem na ucho:

— Nie zadowolaj się zwyczajnym życiem. Proszę cię, Rufus, nigdy tego nie rób.

Odsunął się ode mnie. Podejrzewam, że wyczerpałem kontyngent uścisków na ten wieczór.

— Tato — powiedział — a może ja jestem zwyczajny. Nie dla mnie, pomyślałem. Na pewno nie dla mnie. Ale

pokręciłem tylko głową i nic nie odpowiedziałem. I wtedy obok nas wyrósł ten ostrzyżony na zapałkę staruszek.

— Do roboty, Bailey — warknął znowu na Rufusa. — Nie płacą ci, cholera, za pogaduszki z twoimi koleśkami.

Spojrzeliliśmy na siebie z synem i uśmiechnęliśmy się.

TLR

Rozdział czternasty

Zgarniałem grabiami liście z powierzchni basenu pływackiego i patrzyłem, jak odbicie słońca w wodzie marszczy się i podryguje w rytm małych fal będących produktem ubocznym mojego grabienia. Był to rodzaj pracy zupełnie różny od wszystkiego, czym się dotąd zajmowałem. Człowiek mógł się wyłączyć i po prostu bezmyślnie ją wykonywać. Podobało mi się to. Byłem bez koszuli, przedpołudniowe słońce grzało mi ramiona. Moje wielkie, umięśnione ciało zwiotczało i osłabło od czasu przeniesienia na stanowisko kantyniarza. Teraz odnosiłem wrażenie, że zaraz odpadnie mi od kości. Cherlactwo biurkozaura. Starcze sflaczenie. Bładość posturkowego kocura. Ale lato tylko czekało, żeby ująć mi lat.

W drugim końcu wielkiego basenu Winston mozolił się z filtrem, a ja czułem, że odpływam. Nie docierało do mnie odległe saksofonowe solo lecące z radia ani zapach świeżo ściętej trawy zmieszany ze smrodem chemikaliów, których użył Winston, żeby nadać wodzie niebiański odcień błękitu. Winston zmrużył oczy i spojrzał w słońce.

— Załóż czapkę — poradził.

Włożyłem baseballówkę i popatrzyłem na wielki dom. Z jednego z okien na piętrze obserwowała mnie jakaś kobieta. Była młoda i poważna. Nasunąłem czapkę na oczy, chwyciłem grabie i zabrałem się z powrotem do oczyszczania basenu z liści. Podobał mi się plusk, jaki temu towarzyszył. Zupełnie jak na plaży.

Kiedy spojrzałem znowu na wielki dom, kobiety nie było już w oknie. Na taras wyszła pokojówka i pomyślałem, że może niesie nam herbatę. Była w staroświeckim uniformie służącej składającym się z czarnej sukienki i białego fartuszka spotykanym w zadziwiającej liczbie tych wielkich domów. Kiedy podeszła bliżej, stwierdziłem, że wcale nie niesie herbaty. Przebiegła obok mnie, nie zaszczycając nawet spojrzeniem, i zatrzymała się przy Winstonie. Podniósł się z kucek i, trzymając za obolałe plecy, wysłuchał jej z obojętną miną. Na koniec kiwnął głową i pokojówka ruszyła w drogę powrotną do domu. Winston przykucnął znowu nad filtrem.

— Włóż koszulę — powiedział do mnie.

W pierwszej chwili pomyślałem, że niechcący pogwałciłem jakieś obowiązujące tutaj archaiczne reguły umundurowania służby w zależności od pełnionej funkcji. Pokojówki noszą swój uniform, kierowcy swój, a fałci od basenu swój.

A może martwiła się, że za bardzo się spiekę — Winston zawsze się o to martwił. Po chwili jednak zrozumiałem i roześmiałem się, żeby pokryć swoje zażenowanie. Włożyłem koszulę i przesunąłem wzrokiem po pustych oknach wielkiego domu.

Ona nie życzyła sobie oglądać mojej blizny.

*

Pracowaliśmy cały dzień, przemieszczając się pomiędzy kolejnymi wielkimi domami niebieską furgonetką Winstona. Kiedy mocowaliśmy się z zakleszczoną plandeką przykrywającą basen za wielkim białym domem w Holland Park, Winston zauważył, że zerkam co chwila na zegarek.

— Umówiłeś się na wieczór? — spytał z obojętną, lśniąca od potu twarzą. Potem roześmiał się i kazał mi iść do domu. Ustaliliśmy, że jutro rano znowu po mnie wpadnie.

— Leć do tej swojej dziewczyny — przyzwolił żartobliwie.

*

— Nie musiałeś przychodzić — powiedziała Lara.

— Ale chciałem — odparłem.

Kiedy to się zaczęło? Ten dystans i oszczędność w słowach? Zachowywaliśmy się wobec siebie jak dwoje obcych sobie ludzi. Wolałem już, kiedy skakaliśmy sobie do oczu.

Pomogłem Nan wysiąść z taksówki. Zamrugła zaskoczona neonami, hałasem i tłumami kłębiącymi się przed teatrem na Shaftesbury Avenue. Pośród całego tego zgiełku i brudu przypominała małego ptaszka.

Z Nan pośrodku, trzymającą nas kurczowo pod rękę, ruszyliśmy we trójkę na *Nędzników*. Z billboardu patrzyła na nas wielkimi oczami Kozeta kojarząca się z młodą bezbronną foczką, którą zaraz zatłuką na śmierć kijami.

Wyprawa zaplanowana została przed kilkoma miesiącami. Raz w roku, w dniu jej urodzin, zabieraliśmy Nan na jakiś spektakl na West Endzie. Jeśli mam być szczery, to kilka lat temu stało się to dla wszystkich zainteresowanych nie lada wyzwaniem. Przed dwoma laty Nan zasnęła na koncercie *We Will Rock You*, a potem w taksówce, którą wracaliśmy do domu, wygłaszała liczne homofobiczne komentarze na temat Freddiego Mercury'ego. Ale wiedziałem, że Lara nie chce zrezygnować z tej dorocznej tradycji, bo byłoby to równoznaczne ze skazaniem Nan na dożywocie w zatęchłym pokoiku domu opieki Jesieny Gaik. Martwiłem się, czy starszuszka naprawdę wytrzyma kondycyjnie cztery godziny przedrewolucyjnej Francji.

Ale niepotrzebnie. Kiedy zajmowaliśmy miejsca w pierwszym rzędzie na galerii — Nan w środku, my po bokach — przypomniało mi się, jaki szczególny stosunek mają do *Nędzników* Nan i Lara. Ja zresztą też.

— Kim tu byłaś, złotko, bo zapomniałam? — spytała głośno Nan, ssąc landrynkę, kiedy Jean Valjean z grupą kajdaniarzy wylewali siódme poty pod palącym słońcem.

— Ciii! — syknął siedzący za mną mężczyzna w momencie, kiedy pojawił się Javert przywodzący na myśl markiza de Sade w służbie policji metropolitalnej.

— No, kim? — naciskała Nan, ignorując uciszacza.

— Nie występowałam w tej scenie — szepnęła jej na ucho Lara.

— Co? — spytała Nan.

— Wśród kajdaniarzy nie ma kobiet, Nan. Ja byłam wieśniaczką i prostytutką.

Nan odsunęła się od niej zgorazona.

— Kto jest prostytutką? — fuknęła.

Siedzący za mną mężczyzna nachylił się i ryknął:

— Przymkniesz ty się wreszcie!

Obejrzałem się, niezdecydowany jeszcze, czy go przeprosić, czy od razu zrzucić z balkonu. Spodziewałem się zobaczyć jakiegoś chudzinę w średnim wieku, ale to był młody człowiek o posturze rugbysty, typowy mięśniak ukulturniający się ze swoją długonogą laską. Uniosłem ręce w geście pojednania i spróbowałem się uśmiechnąć. Nie odwzajemnił tego uśmiechu. I wtedy zadzwoniła jego komórka.

Była to chyba uwertura do *Wilhelma Telia*. A Może *Umbrella*? W każdym razie coś świdrującego i histerycznego. Połowa balkonu spojrzała na niego potępiająco, kiedy zrywał się z miejsca i szukał telefonu po kieszeniach dzinsów. Nawet Jean Valjean i Javert wznieśli oczy do nieba, zastanawiając się, co za kretyn nie wyłączył swojej komórki.

Osilek wygrzebał wreszcie telefon, ale ten wysliznął mu się z mięsistych paluchów jak piłka z rąk zawodnika rugby. Zaklął i złapał aparat w ostatniej chwili, kiedy wpadał już do torby z popcornem jego dziewczyny, ale ochrona była już na miejscu. Odwróciliśmy się wszyscy, nawet Nan, i patrzyliśmy, jak go wyprowadzają, ignorując Fantynę śpiewającą właśnie swoją słynną arię. Długonoga dziewczyna dreptała za nim ze łzami wstydu w oczach, rozsiewając swój popcorn po całej galerii. I po raz pierwszy od dłuższego czasu moja żona spojrzała na mnie z uśmiechem, sięgnęła nad paczuszką landrynek Nan i uścisnęła w ciemnościach moją dłoń.

*

Lara zatrzymała się z kluczami w reku przed drzwiami frontowymi i odwróciła.

—Piękna noc — powiedziała. Spojrzałem tam, gdzie ona, sięgając wzrokiem poza żółtą poświatę ulicznych latarni i bladopomarańczową łunę unoszącą się zawsze nad miastem w nocy. — To gwiazda czy planeta?

—Gdzie? — spytałem, mrużąc oczy i starając się umiejscowić wskazywany przez nią palcem obiekt w niezmierzonej otchłani nad ogródkiem przed naszym domem.

Objęła mnie wolną ręką i przyciągnęła bliżej, tak blisko, że poczułem zapach jej perfum i coś jeszcze, samą jej esencję. Były to aromaty tak znajome, że wstrzymałem oddech. Tak mi jej brakowało.

—Tam. — Wskazała palcem. Wyteżyłem wzrok i zobaczyłem małe białe światełko mrugające do nas z drugiego końca kosmosu.

—To gwiazda — orzekłem i spojrzałem na jej profil.

—Skąd wiesz? — spytała wciąż wpatrzona w niebo.

—Bo mruga. Gwiazdy mrugają. W odróżnieniu od planet, które tylko świecą.

Spojrzała na mnie, a ja pocałowałem ją lekko w usta.

—Nie, George — fuknęła, kręcąc głową i odsuwając się ode mnie.

—Gwiazdy mrugają, bo są bardzo daleko — ciągnąłem, szukając znowu sposobności do pocałunku. — Ich światło jest absorbowane przez atmosferę ziemską, więc...

— Powiedziałam chyba nie? — Ostudziła moje zapędy, kładąc mi dłonie na piersi. Poczulem, jak klucze wbijają mi się w skórę na wysokości serca. — W tej chwili nie mogę być z tobą blisko.

Cofnąłem się o krok.

— Myślałam, że będzie lepiej — wyznała. — Że wszystko się ułoży. Taką miałam nadzieję. Sądziłam, że to, co cię spotkało, raczej nas zbliży, niż rozdzieli.

— I zbliżyło — zaproponowałem. — Nie zauważyłaś tego jeszcze? Laro, ja byłem jedną nogą w grobie.

— Wiem — odparła z przekąsem. — Byłam tego świadkiem.

— I mimo to chcesz... no... chcesz, żebym zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Wypełniał zeznania podatkowe i reperował ten przeklęty bojler. Bił dzieci i przesiadywał przed telewizorem. Czasami trzeba przystopować i zerwać różę.

— Powąchać — poprawiła mnie.

— Co?

— Róż się nie zrywa. Róże się wacha.

— A co by szkodziło połączenie jednego z drugim? Zrywać je, wąchać, a nawet zrzucić z siebie ubranie i skakać przez nie?

Skrzywiła się.

— Skakanie przez kwiaty nie wchodzi w grę. Życie nie jest takie. Życie to nie zabawa. Wyczułem, że zaczyna się dąsać.

— A szkoda. — Myśl o spędzeniu nocy bez niej wydawała mi się nie do zniesienia. — Nie chcesz, żebym wrócił?

—Chcę. Ale taki, jaki byłeś dawniej. Taki, jaki jesteś. A nie... jeszcze jednym nastolatkiem w rodzinie.

—Co masz przeciwko jeszcze jednemu nastolatkowi? — spytałem, wkładając w to cały swój urok osobisty. Nie r~ podziało.

—Dwoje w zupełności mi wystarcza — odparła Lara, wsuwając klucz do zamka. — Dobranoc, George. Cieszę się, że nam dzisiaj towarzyszyłeś.

—Czy ty nie rozumiesz? To moja szansa. Na wyrwanie się z utartych kolein. Na dokonanie jakichś zmian w moim życiu.

—Zaraz... chcesz się wypisać z tego wyścigu szczurów i tak dalej? — Kiwnąłem głową. — Przerzucając się na zgrabianie liści z cudzych basenów? — spytała. — Bardzo odpowiedzialne zajęcie. A jakie znaczące. Daj mi znać, kiedy w trakcie tego grabienia zgłębisz już tajemnicę wszechświata.

—Uważasz, że to, czym zajmowałem się do tej pory, było bardziej szlachetne?

—Mieliśmy przynajmniej na spłatę hipoteki.

—Poprzestajesz na tym, że masz z czego spłacać raty kredytu? Nie pragniesz czegoś więcej?

—Nie, to mi wystarcza — powiedziała moja żona i obrzuciła mnie spojrzeniem, w którym malowała się frustracja. Otworzyła drzwi i światło z sieni oblało jej twarz. — Walkę o poprawę swojego statusu mam już za sobą, George. Teraz chcę tylko utrzymać to, co mam.

—Jesteś jeszcze młoda.

—Nie jestem młoda, George. Chciałabym, ale nie jestem!

—Siedem lat młodsza ode mnie!

— Tak, i w najbliższe urodziny stuknie mi czterdziestka. Ściągnąłem brwi. No tak. Wielkie urodziny Lary. Oczywiście. A jednak zaszokowała mnie ta nowina.

— Powinniśmy to jakoś uczcić — zaproponowałem. — Na przykład wizytą w którejś z naszych ulubionych knajpek.

— Czyja wiem... — mruknęła. — A mamy jeszcze takie?

— Czterdzieste urodziny? — Pokręciłem głową. — Jak to zleciało.

Wspięła się na palce i pocałowała mnie w czoło. Pośpieszne, przyjacielskie pożegnanie. Ale we mnie krew zawrzała i moje dłonie nie wiedzieć kiedy znalazły się pod jej sweterkiem, delektując się jej gładkim, ciepłym ciałem. Znajomym, kochanym i upragnionym. Wyszepiałem jej imię, ona moje, a ja znowu jej. Jej twarz. Moje dłonie, moja Lara. Cofnęła się raptownie i z całych sił uderzyła mnie pięścią w pierś. Rozkaszałem się, a w domu obok drgnęła firanka.

— Nie do wiary — fuknęła Lara. — George, ty zboczony bezwstydniku. Próbowalesz wsunąć mi rękę pod stanik?

*

— Jak puścisz pawia — odezwał się Keith, kiwając do mnie głową w lusterku wstecznym — to będziesz po sobie sprzątał, mówię poważnie. — Wyszczrzył zęby. — Zachowujesz się jak durny małolat. Następnym razem pozwolę im spuścić ci porządny łomot.

Był niesprawiedliwy. To tylna kanapa jego samochodu przyprawiała mnie o te mdłości. Chociaż niewykluczone, że w pewnym stopniu przyczy-

niła się też do tego bateria butelek corony wydudlonych przeze mnie w ciemnym, przypominającym pieczarę barze z rosyjskimi wykidajłami przy drzwiach. Ale naprawdę niedobrze zrobiło mi się dopiero w samochodzie Keitha.

Rosyjscy bramkarze wyprowadzali mnie właśnie z baru, kiedy napotoczył się Keith. Zamierzali przedyskutować ze mną w nieoświetlonym zaułku moją wersję przeboju Whitney Houston *I Will Always Love You*. Ale wskutek interwencji Keitha do dyskusji nie doszło i Keith wepchnął mnie na tylną kanapę swojego samochodu.

Teraz poprawiłem się na niej zniesmaczony, wdychając zastałe powietrze przesycone smrodem pijaczków, typków spod ciemnej gwiazdy i innej hołoty, która tu przede mną siadywała. Partner Keitha obejrzał się na mnie z fotela pasażera. Zapuszczał sobie kozią bródkę. Wyglądała komicznie, zupełnie jak coś, co wpelzło mu na brodę i tam zdechło.

— A to co znowu? — westchnął Keith i zobaczyłem niebieskie światło migające przed nami w głębi niegościnnej Camden Road. Wóz patrolowy stał w poprzek jezdni, a dwóch mundurowych szarpało się na chodniku z dwójką obwiesiów. W błyskach koguta przypominało to jako żywo jakiś paralityczny taniec w podrzędnej dyskotece.

Naszym nie szło najlepiej. Jeden z obwiesiów — niski, szeroki w barach jak stara lodówka — trzymał gliniarza zapaśniczym chwytem za szyję, przyginał do dołu i próbował obalić na ziemię. Drugi gliniarz spisał się lepiej i zatrzasnął już kajdanki na nadgarstkach podejrzanego — kurdupła o szczyrzej twarzy — ale trzymał go wciąż za kaptur, wyraźnie niezdecydo-

wany, czy śpieszyć z odsieczą koledze, czy pilnować tego, którego właśnie zwinął. Rozdwoić się nie mógł.

Keith dał po hamulcach i wyskoczyli z koziobrodym z wozu, nie zwracając sobie głowy zatrzasnięciem drzwiczek.

— Pomóc wam? — spytałem.

Keith wymierzył we mnie palec wskazujący.

— Ty tu zostajesz! — rozkazał.

Doskoczyli obaj do tego zbudowanego jak lodówkoza-mrażarka, przewrócili nosem do asfaltu i zakuli w kajdanki. Potem pomogli funkcjonariuszowi, któremu udało się samodzielnie skuć szczyrowatego. Na ulicy zebrał się już mały tłumek gapiów; powychodzili z okolicznych domów i z pubu, który wyglądał na od dwudziestu lat zamknięty. Sarkali pod nosem na brutalność policji i łamanie praw człowieka. Kiedy Keith warknął na nich, stulili uszy po sobie i wycofali się prędko.

Czterech policjantów, którzy dokonali zatrzymania, rozmawiało jeszcze kilka minut, trzymając zatrzymanych za kołnierze. Przejeżdżające samochody zwalniały, pasażerowie gapili się z zaciekawieniem. Potem Keith i koziobrody pożegnali się z mundurowymi i wepchnęli tego zbudowanego jak lodówka na tył wozu, obok mnie. Potraktował mnie jak powietrze. Był o wiele młodszy, niż myślałem. Napakowane ciało i ogolona na zero głowa miały dodać mu lat. I dodawały, kiedy mocował się z policjantem. Ale z bliska, zakuty w kajdanki, wyglądał jak wystraszony gówniarz. Ruszyliśmy.

— Ty świński gnojku — odezwał się Keith, mrużąc oczy w lusterku wstecznym. — Kładłeś się pośrodku jezdni i udawałeś trupa, a kiedy jakiś pocziwiec zatrzymywał się, żeby ci pomóc, okradałeś go.

Chłopak uniósł prowokacyjnie brwi i było to takie żalosne, że żal mi się go zrobiło. Potem zaczął wyglądać przez okno. Nie mógł się rozsiaść wygodnie, bo ręce miał skute na plecach, przycupnął więc na krawędzi obitej spekanym winylem kanapy. Dojeżdżaliśmy do King's Cross.

— Czy my się znamy? — zagadnąłem go. — Znamy się, prawda? Po raz pierwszy na mnie spojrzał.

— Niczego nie powiem bez mojego papugi — wymruczał z silnym południowolondyńskim akcentem.

— Skąd my się możemy znać? — zastanawiałem się głośno, chociaż wiedziałem, że nie przypomnimy sobie tego ani ja, ani on.

Podjechaliśmy pod dom moich rodziców. Młodzież została w samochodzie, mnie Keith wywlókł z tylnej kanapy. Świeże powietrze natychmiast padło mi na nogi. Z gumowych zrobiły się galaretowate, a potem wodniste.

— Spokojnie, tygrysku — warknął Keith, chwytając mnie za kołnierz i prowadząc powoli ścieżką ogrodową. Zatrzymałem się, oparłem o samochód taty, czerwonego forda capri, i próbowałem odzyskać pełną kontrolę nad żołądkiem, nad oddechem, nad swoim życiem. W ogrodzie za domem skrzył się błękitem basen kąpielowy. Wyglądał przepięknie.

Przed dom wyszli rodzice w szlafrokach. Mama z miejsca zerknęła na ciemne, obojętne okna sąsiadów, tato patrzył na mnie, nie okazując ani

krzty zaskoczenia. Pod ich spojrzeniami nie mogłem się skupić na wiązance przebojów zespołu Soul II Soul, którą właśnie wykonywałem.

— Może przespać tę noc we własnym łóżku — powiedział Keith — jeśli uda się państwu wybić mu z głowy to śpiewanie.

Moi rodzice krygowali się, wdzięczni i zawstydzeni, a Keith kręcił tylko swoją poobijaną głową, nie przyjmując podziękowań ani zaproszenia na herbatę. Potem pocałował mamę, uścisnął dłoń tacie i przekazał mnie pod opiekę rodzicom. Na koniec klepnął mnie jeszcze w plecy i już go nie było.

— Zaparzę herbaty — powiedziała mama i tato o mało nie parsknął śmiechem.

— Jemu nie herbata na myśli. — Stary pokręcił głową i prychnął pogardliwie. — Chyba nie muszę ci mówić, że masz szlaban?

Chciałem oprotestować tę zniewagę, ale on był już u szczytu schodów i zniknął na piętrze. Gapilem się w sufit, nasłuchując cichego szurania jego laczków po podłodze sypialni. I nagle uświadomiłem sobie, że tak samo jak ostatnio każdego wieczoru kieszenie mam pełne skrawków papieru. Wróciłem wspomnieniami do wieczoru, kiedy rozstałem się z Larą, i spróbowałem sobie przypomnieć dziewczyny i kobiety, które wtedy poznałem. Kiedy jednak zacząłem opróżniać kieszenie, okazało się, że to nie zwyczajowa kolekcja nazwisk, numerów telefonów i adresów elektronicznych. To wszystko były zdjęcia Lary.

Uniosłem do oczu naszą fotografię ślubną. Potem wyciągnąłem pasek z serią zdjęć zrobionych w fotokiosku, na których mizdrzymy się jak para dzieciaków. Chodziliśmy już wtedy ze sobą niespełna rok i wszystko było dla nas nowe, ale wiedzieliśmy, że to związek na dłużej. Na trzecim zdjęciu

Lara w pomarańczowym bikini na plaży z Rufusem i Ruby, jedno ma cztery, drugie dwa latka. Kopie dołek w wilgotnym piasku, a zachodzące słońce nad jej ramieniem połyskuje złotem i oświetla obojczyk. Dalej uśmiechnięta Lara dekorująca w roboczych drelichach nasz pierwszy dom, trochę bardziej zaokrąglona po urodzeniu drugiego dziecka. No i złożona we czworo — co mi, kretynowi, odbiło, żeby składać ją we czworo? — agencyjna fotografia Lary zrobiona rok przed naszym poznaniem.

Ukląknęłam, żeby ją rozprostować i wygładzić, a wtedy ze środka wysypało się jeszcze kilka zdjęć. Lara na nartach, Lara w naszym ogródku za domem, Lara w szpitalnym łóżku ze śpiącym niemowlakiem w ramionach.

Było co wspominać.

Łza się w oku kręciła.

*

Policja panowała nad sytuacją. Podziwiałem ich biegłość w kontrolowaniu tłumu. Chociaż stałem teraz po drugiej stronie barykady. Otoczyli protestujących kordonem i zmusili ich do stłoczenia się w ciasne stado na podobieństwo owiec w korrallu, obstawili to stado pomarańczowymi barierkami, za którymi zajęli pozycje znudzeni młodzi gliniarze. Potem spory odstęp i czekające karetki pogotowia oraz suki ze wsparciem i stosami formularzy oskarżenia o stawianie oporu w trakcie aresztowania. Nastroje wśród demonstrantów były zaskakująco stonowane. Może dlatego, że każdy dostawał teraz, o co sam się prosił. Policja była od zaprowadzania porządku. Demonstranci od demonstrowania. A lotnisko musiało wybudować

nowy pas startowy. W oddali widać było koparki i uwijających się robotników, ale odległość była tak duża, że można było odnieść wrażenie, jakby oglądało się to wszystko w wiadomościach telewizyjnych.

Przymrużyłem oczy i spojrzałem w słońce. Światło słoneczne biegnie do Ziemi osiem minut, patrzyłem więc na słońce sprzed tych ośmiu minut. Podróż w czasie, pomyślałem. Ona naprawdę jest możliwa. Oto dowód. A w górze władcami niebios były ryczące boeingi 747. Nadlatywały i odlatywały jakby z własnej, nienarzucanej przez człowieka woli, startowały i lądowały zupełnie obojętne na trzymaną przeze mnie tabliczkę. Było na niej napisane PIERDOLONE SAMOLOTY i wykonałem ją własnoręcznie.

Wyjąłem telefon i zacząłem wybierać numer Ruby, ale w połowie zahałem się. Byłem odwodniony i zmęczony, patrzyłem na świat z perspektywy diabelnego kaca giganta i samo brzmienie mojego głosu mogłoby jej zasugerować, że w naszym sporze to ona jest górą. *To niczego nie zmienia*, powiedziała mi niedawno. *Nie pękaj. Na odmianę zrób coś pożytecznego. Coś, co naprawdę przyniesie ci satysfakcję. Na przykład zwiń coś ze sklepu.*

Nie byłem jeszcze gotów do przyznania jej racji. I chyba nigdy nie będę.

Wsunąłem więc telefon z powrotem do kieszeni pochłapanych farbą dzinsów, a potem z ciężkim westchnieniem uniosłem swoją tabliczkę nad głowę i potrząsałem nią.

Rozdział piętnasty

Korciło mnie, żeby wejść do jego gabinetu bez zaproszenia, ale powstrzymałem się. Mimo wszystko nie chciałem, żeby uznał mnie za jakiegoś czubka.

Ale kiedy pod wieczór kardiolog opuszczał swój gabinet przy Harley Street, czekałem na niego. Pomyślałem sobie, że może przed powrotem do domu na herbatę ma jeszcze jakąś zaplanowaną operację. Ale on był pod krawatem, czarnym zresztą, i wyglądał jak David Niven udający się na koktajl na jachcie Agi Khana.

—O, pan Bailey — zawołał, całkiem udatnie maskując zaskoczenie.
— Czym mogę służyć?

—To nie jest moje życie — poskarżyłem się bez wstępów, a on pokiwał głową. Nie potrafiłem rozstrzygnąć, czy jaja sobie ze mnie robi, czy też jest to w pełni uzasadniona reklamacja, którą słyszy w pracy na co dzień.
— Znaczy, to nie jest życie, jakiego chciałem. Zaszło jakieś nieporozumienie. Chcę z powrotem swoje dawne życie.

— Doprawdy? — mruknął. W późno popołudniowym słońcu lśniący kołnierz jego smokingu wyglądał jak najczarniejszy obiekt na świecie. — Naprawdę chce pan to wszystko z powrotem? Ciekawe. Ten ciągły lęk przed śmiercią, ta codzienna dawka złego samopoczucia, ta towarzysząca panu na każdym kroku świadomość, że pański organizm się sypie.

Pokręciłem zapamiętałe głową.

— Ale ja teraz nie wiem, kim właściwie jestem — wyrzuciłem z siebie. — Muszę poznać jego pochodzenie. Mojego serca, znaczy. Muszę więcej wiedzieć.

Doktor dotknął węzła krawata. Był prawdziwy, nie z tych na gumkę. Prawdziwe od razu się poznaje. Fałszywe zbyt idealnie wyglądają. Ja noszę tylko prawdziwe.

— Ja niczego przed tobą nie ukrywam, George — powiedział. — Sam tego nie wiem.

— Nie wierzę panu — warknąłem.

— Naprawdę. Nie muszę wiedzieć. I nie jest mi to do niczego potrzebne. Skoro rodzina twojego dawcy chce zachować anonimowość... to co? Jesteś moim pacjentem. Ciesz się, że dostałeś drugie życie.

— Cieszę się — odparłem. — Ale chcę wiedzieć, do kogo wcześniej należało.

Wczepiłem się palcami we własne włosy. Doktor położył mi dłoń na ramieniu i przy okazji zerknął ukradkiem na zegarek. Było to zerknięcie tak subtelne, że o mało go nie przeoczyłem.

— Przepraszam — bąknąłem. — Zatrzymuję pana. a pan się śpieszy na obiad.

— Na *Madame Butterfly* — skorygował. — Pucciniego.

Znowu dotknął kościstym palcem węzła krawata. Rozwiązywał się. Prawdziwe krawaty mają to do siebie. Lubią się poluzowywać. Uśmiechnąłem się i kiwnąłem głową.

— Pański krawat — zwróciłem mu uwagę. Roześmiał się i znowu machinalnie go dotknął.

Żona zwykle mi go wiąże — wyjaśnił. — Ale dzisiaj mi nie towarzyszy.

Pomogę panu — zaoferowałem się. — Mam w tym wprawę.

Przez twarz przemknął mu grymas zaskoczenia, kiedy wyciągnąłem do niego ręce, ale potem stał spokojnie, trochę zażenowany, z wyrażającym wdzięczność półuśmiechem, a ja rozsuplałem węzeł i ująłem czarną satynę między kciuki i palce wskazujące.

Trzymałem go tak, że moja lewa dłoń znajdowała się kilka cali poniżej krawędzi prawej. Skrzyżowałem koniec dłuższy z krótszym, przesunąłem ten dłuższy przez powstałą pętlę, a z krótszego uformowałem frontową pętlę węzła. Przyłożyłem krawat do rogów kołnierzyka.

Węzeł wyglądał jak samochód po wypadku.

Spróbowałem jeszcze raz. A potem jeszcze raz. Doktor zaczął się niecierpliwić i już otwarcie spoglądał na zegarek. W końcu odsunął się ode mnie. A mnie poczucie porażki zaszczypało w oczy.

— Przecież miałem to w małym palcu — powiedziałem, patrząc na wymięty czarny materiał zwisający mu smętnie u szyi. — Jak pragnę zdrowia.

Odniosłem wrażenie, że naprawdę mi uwierzył.

*

Patrzyłem, jak Larry przewraca burgery na drugą stronę i z uśmiechem na mięsistej twarzy rozgania ręką dym unoszący się grilla.

— Delektuj się każdym sandwichem — zwrócił się do mnie. — Tacy jak my mają dziewięćdziesiąt procent szans na przeżycie roku, a pięćdziesiąt na przeżycie dziesięciu lat. — Wolną ręką otworzył dwie puszkę piwa i jedną podał mnie. — Dostaliśmy obaj wspaniały dar. — Wziął głęboki oddech i z sykiem wypuścił powietrze z płuc. W dekolcie koszuli pojawiło się kilka pierwszych cali jego blizny. — Wszyscy go dostaliśmy — zaznaczył, wskazując drewnianą łopatką resztę gości. Była tu cała nasza grupa. Paul, wysoki i nieśmiały, ze swoją rodziną. Geoff, niski, podobny do szurka, ze swoją młodą dziewczyną. No, wszyscy. Cała paczka niedoszłych nieboszczyków w komplecie. — Nie przychodzisz już na spotkania — wytknął mi Larry.

Ogarnęło mnie poczucie winy. Nie chciałem robić przykrości Larry'emu. To dzięki niemu czuliśmy się społecznością. Tylko dzięki niemu.

— Widzisz, George, twoje życie nie zmienia się dlatego, że dostałeś cudze serce. Ono zmienia się dlatego, że dostałeś drugą szansę. Twoje życie zmienia się, bo to dawne cię zabijało. Twoje życie zmienia się, bo na dobrą sprawę powinno się już zakończyć. — Podszedł do nas Geoff ze swoją nową dziewczyną i Larry podał im burgery na tekturowych talerzykach. Odprowadzaliśmy ich wzrokiem, kiedy się oddalali — młoda kobieta zaczynająca dopiero życie i starszy mężczyzna zaczynający je po raz drugi. Geoff jedną ręką obejmował dziewczynę w talii, w drugiej trzymał tale-

rzyk, balansując nim tak, żeby nie zgubić burgera. — No i szafa gra — skomentował z uśmiechem Larry.

Chciałem mu wierzyć. Blizna pulsowała mi jak zawsze w te upalne letnie dni, a ja chciałem wierzyć, że wszystko jest po staremu. Ale nowe serce nie przywróciło mi dawnego życia, rodziny i widoków na przyszłość tak jak Larry'emu i jak reszcie grupy spotykającej się regularnie w lokalu nad kwiaciarnią. Mnie nowe serce wywróciło to wszystko do góry nogami.

Nie chciałem być dawnym George'em. A nawet gdybym chciał, to nie mogłem. Nie wiedziałem, jaki on był.

Uśmiechnąłem się do Larry'ego i wskazałem ruchem głowy stos porcji wyborowej wołowiny, które grillował, reprezentujących całą gamę barw — od lekko wypieczonej, różowej jak pupcia noworodka, po ciemnobrazową, spieczoną prawie na węgiel.

— Co ty kombinujesz? — spytałem. — chcesz mnie przyprawić o zawał?

— Delektuj się każdym sandwiczem, George — powtórzył ze śmiertelną powagą. — Kto wie, ile nam jeszcze zostało?

— Przecież to dotyczy każdego żyjącego, nie? Kiwnął głową. A potem jego kragłą jak księżyc w pełni
twarz rozjaśnił uśmiech.

— Owszem, ale reszta świata jeszcze o tym nie wie.

Otaczały nas ogrody i zewsząd dolatywały odgłosy angielskiego lata. Koszono trawniki, z pootwieranych okien płynęła muzyka, a kwadratowy basen kąpielowy na tyłach domu Larry'ego rozbrzmiewał śmiechem jego

dzieci. Chłopiec Jack i dziewczynka Susie bawili się w grę, w której jedno starało się jak najdłużej wytrzymać pod wodą, a drugie odliczało:

— Jeden słoń, dwa słonie, trzy słonie...

Molly, żona Larry'ego, siedziała na krawędzi basenu w dżinsach z podwiniętymi do kolan nogawkami i hot dogiem w ręku i moczyła w wodzie białe, chude nogi.

Lany po raz ostatni przewrócił dwa burgery na drugą stronę, docisnął je do rusztu, uśmiechnął się na widok skapującego tłuszczu, po czym wprawnie umieścił je między połówkami dwóch przekrojonych bułeczek.

— Średnio wypieczone — powiedział, wręczając mi jedną.

Kiedy polewałem ją sosem barbecue, ślina napłynęła mi do ust. Ze swoimi piwami i burgerami ruszyliśmy spacerkiem w kierunku basenu.

Córka Larry'ego odliczała:

— Dwadzieścia osiem słoń, dwadzieścia dziewięć słoń... Chłopiec wynurzył się zdyszany spod wody.

— Dalej będzie pan policjantem?! — zawołał do mnie. Wzruszyłem ramionami i nadgryzłem burgera. Niebo w gębie. Lany był wyśmianym kucharzem.

— Zastanawiam się jeszcze! — odkrzyknąłem. — Na razie jestem na urlopie.

Odrzucony gliniarz, kiedy policja wreszcie się go pozbędzie, ma skłonności do rozsiewania wokół siebie aury wystudiowanej nonszalancji, o ile nie skrajnego tumiwisizmu. A może tylko ja tak reagowałem?

— To musi być fascynujący zawód — odezwała się Molly. Wszyscy oni byli fanami serialu *The Bill*. Oglądali go wspólnie. Taka to była rodzina.

Uśmiechnąłem się półgębkiem, ukląknęłem na brzegu basenu i zapatrzyłem się w wodę. Jej poziom był trochę za niski.

— Po każdym okresowym przeglądzie basenu powinieneś dolewać cal do dwóch wody — powiedziałem. — Jeśli nie będziesz tego robił przez dłuższy czas, ubędzie jej kilka cali i potem uzupełnianie potrwa parę godzin. Odkręcisz zawór, zapomnisz i kłopot gotowy.

Wstałem i pociągnąłem łyk piwa. Jak na mój gust, na powierzchni pływało za dużo śmiecia.

— I na twoim miejscu sprawdziłbym koszyk syfonu — dorzuciłem. Zastanawiałem się przez chwilę wpatrzony w błękitną toń falującą lekko w letnim upale. — Wygląda na to, że woda jest trochę przechlorowana. A przesada nie jest tutaj wskazana.

Larry i Molly popatrzyli na siebie i roześmieli się.

— Jestem pod wrażeniem — powiedział Larry. — Dzięki za dobre rady, George.

— Basenik mały, ale zgrabny — orzekłem, prostując się. Ogród mieli niewielki i basen, choć mały, ledwie się w nim mieścił. Sami go nawet konserwowali.

— Nam wystarcza taki — powiedziała Molly i uśmiechnęła się do męża, dzieci również.

Rodzina Larry'ego miała zwyczaj spoglądania na niego i zatrzymywania wzroku na jego mięsistej twarzy sekundę dłużej, niż to konieczne, tak

jakby chcieli się upewnić, że naprawdę z nimi jest, że to on, nikt inny, obsługuje grill w ten letni dzień, tak jakby się obawiali, że zniknie, jeśli na dłużej spuszczą go z oka. Czuwali nad nim jak rodzice hołubiący noworodka. Obserwowali każdy jego krok, zupełnie jakby nie mogli się nacieszyć, że z nimi jest.

Larry, trzymając w jednej ręce piwo, w drugiej burgera, też uśmiechnął się do swojej rodziny. Przepęłniała go miłość, łysa głowa lśniła w słońcu, a twarz przypominała księżyc w pełni widziany w środku dnia.

*

— Dobrze tańczysz! — krzyknęła blondynka.

— Bardzo dobrze! — krzyknęła jej matka, też blondynka, a ze mnie potlał się strumieniami od tego wywijania nogami, gorączka nocy przenikała mnie do szpiku kości. Nie znałem tego kawałka. Chyba coś nowego. Sprzed roku, najdalej dwóch lat. A może sprzed dziesięciu albo nawet piętnastu. *Do you think you 'd be better off alone?* — śpiewał wokalista i w tekście było coś o umieraniu.

— Dzięki! — odkrzyknąłem. — Żona mnie nauczyła.

— Że co? — spytała matka, przykładając dłoń do ucha.

— Żona mnie nauczyła! — krzyknąłem jeszcze raz. Popatrzyły po sobie i zauważyłem, że coś się stało z ich uśmiechami. Ochłodziły się, czy może raczej zgorzkniały. Spojrzałem na didżeja i nawiązałem z nim kontakt wzrokowy. Był to jeszcze szczawik niewiele starszy od Rufusa, ale nieobce mu były stare dobre wytwórnie płytowe takie jak Stax, Motown i Atlantic.

Potrafił odróżnić klasyczne disco od starej szkoły rhythm and bluesa. Patrzył, jak kreślę ręką w powietrzu literę „S”, potem „O” i drugie „S”. Kiwnął głową i sięgnął po jakąś dwunastocalową winylową płytę.

— Żonaty? — Wyczytałem z ruchu warg matki spoglądającej wymownie na córkę. Z kolumn głośnikowych trysnęła kaskada zsyntetyzowanych akordów. Tłum zapiał z zachwytem. Kobieta o najwspanialszym głose, jaki słyszałem, nie licząc Arethy Franklin, zaczęła śpiewać.

Podłoga zakołysała się, kiedy do tańca ruszyła zbita masa czterdziestolatków.

Postukałem palcem w obrączkę.

— Od prawie dwudziestu lat! — krzyknąłem z dumą. — Znacie zespół SOS Band?!

Matka i córka rozejrzały się zdezorientowane, tak jakby dopiero teraz docierało do nich, że coś tu jest grane.

— SOS Band to największa tajemnica w historii muzyki! — krzyknąłem, zwalniając teraz tempo i wprawiając ramiona w koliste ruchy. Ale to trzeba zobaczyć. Wtedy naprawdę wygląda o wiele lepiej, kiedy się widzi. — Jak można nie znać SOS Bandu?! — krzyknąłem.

Córka wzruszyła ramionami i rozłożyła bezradnie ręce.

— Ja sama pierwszy raz o nich słyszę — wyczytałem z ruchu warg matki. Posłała córce konspiracyjny uśmiezek, z czego wywnioskowałem, że jest jej zupełnie obojętne, czy tańczy przy muzyce SOS Bandu, czy jakiegokolwiek innego zespołu. I przypomniałem sobie, jak tańczyłem z Larą.

Taniec z tancerką, profesjonalną tancerką, to osobliwe doświadczenie. Człowiek czuje się nobilitowany, a jednocześnie jakoś mu dziwnie. Z jednej strony jest skrepowany, z drugiej ma poczucie całkowitego wyzwolenia. Z początku miałem opory. Potem uświadomiłem sobie, że jeśli chcę podtrzymać znajomość z tą wspaniałą kobietą, muszę się przemóc. Muszę tańczyć. I pewnego dnia, tańcząc w Africa Centre, gdzie czadu dawali akurat Soul II Soul, pokochałem to. I pokochałem Larę. I nie odróżniałem już jednego obiektu moich uczuć od drugiego, tancerki od tańca.

Ruchy Lary cechowała fantastyczna płynność. Wykraczało to poza wyćwiczone figury tańca, z którego się utrzymywała i w czym była dobra. Istota rzeczy tkwiła raczej w reakcji jej ciała na wszystkie polecenia, jakie mu wydawała — to było coś więcej niż gracia, więcej niż wyluzowanie. Można by rzec, że tańcząc, robiła to, do czego została stworzona.

I właśnie ta zachwycająca płynność ruchów przyciągała zawsze moją uwagę. Na każdy wykonany przeze mnie ruch Lara robiła ich siedem albo i osiem, przechodzących idealnie jeden w drugi. I jak przystało na prawdziwą tancerkę, nie krytykowała mnie. Nie miała w zwyczaju spoglądać z góry na amatorów. Kochała taniec i uważała, że każdy powinien tańczyć, bo taniec jest dla ludzi czymś tak samo naturalnym jak oddychanie. Chociaż tak naprawdę to nie wiem, czy w ten właśnie sposób tańczyło się z każdą profesjonalną tancerką, czy tylko z Larą.

— Hej, Fredzie Astairze! — krzyknęła matka i uśmiechnęła się do chichoczącej córki. — A gdzież to pan zgubił żonę?

Po SOS Band didżej puścił *The Single Life* Cameo. Wolałbym *Word Up*, ale najwyraźniej didżej preferował kawałek o byciu singlem, zachwalający ten styl życia. Matka z córką spoglądały na zegarki.

— Występowała w *Nędznikach* — powiedziałem, spoglądając na migające światła. — I w *Królu i mnie*. I w *Miss Sajgon*. I w *Sherlocku!* Widzieliście ten musical? Po dziesięciu dniach zdjęli go z afisza.

Ale ich już nie było. I bardzo dobrze. Nie szukałem sobie nikogo na noc. Miałem już dziewczynę.

*

Kiedy czytałem nagłówki jutrzejszych gazet wywieszonych przy wejściu, do supermarketu wmaszerował chłopczyk. Pucowałaty pięciolatek z ostrzyżonymi krótko rudymi włosami i keczupem na piersiach koszulki piłkarskiej. Dawno już powinien leżeć w łóżku.

Podszedł do stojaka, przed którym stałem, i zaczął wertować czasopisma z dolnej półki. Obok mnie zatrzymał się pracownik ochrony sklepu — wysoki, ponury, chudy jak patyk młodzieniec. Lepiej było z nim nie zadzierać. Ale nie każdy o tym wiedział.

— Cześć, Asifie.

— Siemasz, George.

Patrzyliśmy obaj, jak malec bierze czasopismo „Doctor Who”, przegląda je i natrafiwszy na rysunek przedstawiający Cybermana, odrzuca.

— Wstrętne potwory — mruknął i skierował się spacerkiem do działu owoców i warzyw. Spróbował dosięgnąć kiści czarnych winogron wyeksponowanych na środkowej półce, ale leżały za wysoko. Zadowolił się jabłkiem z niższej półki, nadgryzł je, a resztę rzucił na ziemię i kopnął w przejście między stelażami.

— Gol! — zawołał, goniąc za nim z uniesionymi rękami.

Z zaplecza, rozgarniając szerokie plastikowe wstęgi i poprawiając krawat, wyszedł Rufus. Awansował i chodził teraz do pracy w garniturze, ale ja jeszcze się nie oswoiłem z tym jego nowym wizerunkiem. Nasuwało się podejrzenie, że odziedziczył ten garniak po starszym bracie.

— Możesz sobie zrobić przerwę na herbatę, Asifie — zwrócił się do ochroniarza.

Asif przestąpił z nogi na nogę.

— Tam jest jakiś dzieciak — zameldował.

Malec biegł akurat przejściem między półkami. Rozdeptał bucikiem to, co zostało z jabłka, i chwycił za rękę kobietę, która brała właśnie wózek.

Kobieta miała rude włosy, wymęczoną twarz i kiedyś musiała być bardzo ładna. Nie była jeszcze stara — góra dwadzieścia kilka lat — ale uroda przeminęła kilka lat i kilku mężczyzn temu. Tandetna sukienka w kwiaty, szpilki. Chłopaki rozładowujący ciężarówkę przed sklepem popatrywali na nią łakomie. Wyglądała seksownie, ale jakoś nieświeżo.

— Będę miał na nich oko — powiedział Rufus. — Wygląda na to, że mamy turkucia podjadka.

— Jakiego turkucia podjadka? — spytałem. Rufus nie odrywał oczu od kobiety.

— Oni nie przychodzą tutaj na zakupy. Przychodzą naćpać się na miejscu czym popadnie. Wszystko znika w ich zachłannych gębach, zanim zdążą dotrzeć do kasy.

Roześmiałem się.

— Przy zyskach, jakie tutaj wyciągacie, możecie chyba odżałować jedno marne jabłko.

Rufus zerknął na mnie.

— To mimo wszystko kradzież, tato — zaproponował. Asif poszedł na przerwę. Kobieta z dzieckiem rozpoczęła zakupy. Dochodziło między nimi do przepychanek, kiedy malec chwycił coś z półki i wrzucił do koszyka, a kobieta przechwytywała to w locie i odkładała na miejsce. Zachowując dyskretną odległość, ruszyliśmy z Rufusem w ślad za nimi. Kobieta kręciła powabnie kuperkiem opiętym tandetną bawełnianą sukienką.

— Cała jestem, cholera, zrobiona z pieniędzy — ofuknęła chłopczyka, odrzucając rodzinną paczkę ciastek Jaffa z powrotem na półkę. — Może mam wyjść przed sklep i zerwać trochę pieniążków z piętnej drzewa, które tam rośnie, Alfie?

— Idź — powiedział chłopczyk. — Ja tu zaczekam. Kobieta uniosła rękę, tak jakby zamierzała trzepnąć go

w krótko ostrzyżoną marchewkową główkę. Ale nie zrobiła tego i roześmieli się oboje. Skręcili za róg.

— Co u mamy? — spytałem Rufusa.

— Zaprasza cię na kolację — mruknął Rufus i uniosł rękę na znak, że mam się zatrzymać. Wyjrzelśmy ostrożnie zza półek na rogu. Rudowłosa

kobieta i jej niesforny urwis byli już w dziale z pieczywem. — Rufus zerknął na mnie przełomie. — Kazała ci to powtórzyć.

Natychmiast zapomniałem o kobiecie i dziecku. Wszystkie moje myśli zajęła Lara i jej niespodziewane zaproszenie. Jak się ubrać? Co wziąć na prezent? Czy seks wchodzi w grę? Czy zaryzykować pocałunek? Jak daleko pozwoliłaby mi się posunąć? Czuję się jak przed pierwszą randką.

Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że zostałem sam. Rufus skręcił za róg. Kobieta i dziecko oddalali się od nas. Chłopczyk, chociaż był na to za duży, siedział teraz w wózku z tłustymi nóżkami wystającymi w kierunku matki. Trzymał w ręku rogala z migdałami i zajadał się nim łapczywie. Na końcu alejki czekał Asif. Rufus przyspieszył kroku. Dogoniłem go, kiedy zrównywał się z kobietą, a w ustach dziecka zniknął ostatni kęs rogala.

— Proszę pani — zagadnął. Obejrzała się i obrzuciła go rozognionym spojrzeniem. Ja patrzyłem na chłopczyka. Szczurzą buzię miał całą w złocistych okruszkach. Spojrzałem na wózek. Był pusty.

— Musisz za to zapłacić, kochana — odezwał się Asif, wskazując ruchem głowy malca.

Z jej zielonych oczu strzeliły błyskawice.

— Nie jestem żadna „twoja kochana” — zaperzyła się.

— Mamy telewizję przemysłową — powiedział Asif z nutką dumy w głosie. — Tutaj nie przychodzi się na kolację.

— Nic złego nie zrobiłam! — zachnęła się kobieta i furia, z jaką to z siebie wyrzuciła, demonstrując swoje zranione uczucia, zabrzmiała mi bardzo znajomo. Słyszałem to już chyba tysiące razy.

— Chodzi o pani dziecko — powiedział cicho Rufus. — Spałaszowało rogała z migdałami.

— Nieprawda — fuknęła kobieta i spojrzeliśmy wszyscy na malca, a on w tym właśnie momencie beknął zadowolony.

— Kamera wszystko zarejestrowała — wyjaśnił Asif, przytrzymując wózek długimi, śniadymi palcami. Spojrzał na Rufusa. — Wezwać policję, szefie?

— Dobrze już, dobrze — poddała się szybko kobieta, wyciągając z torebki portmonetkę. — Zapłacę wam za tego rogała.

Rufus uśmiechnął się uprzejmie.

— Tak, to załatwi sprawę — powiedział i czekaliśmy. Kobieta przeszukała portmonetkę, a potem torebkę. Na koniec zwiesiła głowę.

— Nie mam przy sobie ani pensa — wyznała cicho. — Zostawiłam pieniądze w domu.

— Wzywam policję — zdecydował Asif, odwracając się.

— Zaraz, chwileczkę! — zawołała kobieta. Zwracała się teraz do Rufusa — Mogę je przynieść. Przyniosę. Naprawdę. Obiecuję. — Zniżyła głos. — To tylko rogalik. — Położyła dłoń na ostrzyżonej główce synka. — To tylko dziecko. Głodne małe dziecko.

Rufus przyglądał jej się chwilę. Potem sięgnął do kieszeni, wyciągnął garść drobnych i odliczył należność za rogała z migdałami.

— Ja już się tym zajmę — powiedział do Asifa i mógłbym przysiąc, że rzuca na szalę swoje życie.

Rudowłosa uśmiechnęła się promiennie do mojego syna. Kiedy młec zawył wniebogłosy niezadowolony, że wracają już do domu, uciszyła go spojrzeniem.

*

Tato wszedł do ciemnej kuchni z kijem do krykieta.

— Usłyszałem, że ktoś tu robi sobie sandwicza — wyjaśnił. — Pomyślałem, że to może włamywacze.

— Co... głodni włamywacze? — zdziwiłem się.

— A tak, mądralo. Włamywacz też człowiek. — Patrzył na mnie spod ściągniętych brwi, zaciskając mocniej pasek szlafroka. W wycięciu mignął mi fragment pasiastej pizamy. Odstawił kij do krykieta.

Siedziałem przy stole kuchennym z trójpokładowym sandwiczem w rękach. Wszedł mi trochę za gruby i nie mieścił się w usta. Musiałem lekko przekrzywić głowę, żeby odgryźć kęs. Byłem nieludzko głodny.

— Przepraszam, że cię obudziłem — wymamrotałem z ustami pełnymi szynki, sera i marynaty Branstona.

Tato poczłapał bez słowa do lodówki, pasek szlafroka znów się rozwiązał i włókł się za nim jak ogon. Otworzył drzwi lodówki i stał tak w wylewającej się z wnętrza białej poświacie.

— Nie obudziłeś mnie — odezwał się. — Starzy ludzie niewiele śpiąją. A ja często wstaję i robię mały obchód. — Wskazał ruchem głowy ogród za domem. Było tam ciemno, choć oko wykol. Kładąc się do łóżka, rodzice wyłączali zawsze oświetlenie basenu. — Mam na nich oczy otwar-

te. No wiesz, na tych przeklętych gówniarzy, którzy korzystają z mojego basenu.

Spojrzałem w ciemność. Czy to prawda? Czy małolaty z okolicy rzeczywiście zakradają się do ogrodu taty i pod osłoną ciemności zażywają kąpiele w basenie? Czy to mu się tylko ubzdurało? Czy tak zwani *gatecrashers* *² z Google Earth naprawdę istnieją, czy to tylko mit? Czy naprawdę jest takie coś jak *dipping crew**³?

— A czasami zjem sobie loda — ciągnął tato. — Twoja matka nie lubi, kiedy tłukę się po noy. Myśli, że to mi szkodzi.

—Może ma rację.

—Może.

—Zastanawiasz się czasami, co jeszcze robisz na tym świecie?

Roześmiał się.

— Wystarcza mi, że w ogóle tu jestem. — Odwrócił się i spojrzał na mnie, światło z lodówki utworzyło wokół jego głowy aureolę. Mój tato siedemdziesięciolatek. — Lepsze to niż alternatywa. — Odwrócił się z powrotem twarzą do lodówki i podrapał po głowie. Zapomniał o lodach. — Zaraz, co to ja chciałem?

Nie podpowiedziałem mu, bo wiedziałem, że sobie tego nie życzy. A nie miałem żadnych wątpliwości, co go nurtuje, kiedy o trzeciej w nocy zagląda do lodówki. Wiedziałem, że zastanawia się, co jeszcze robi na tym świecie.

² * Gatecrashers — ludzie, którzy wkręcają się na imprezy bez biletu, wchodzący bez zaproszenia.

³ ** Dipping crew — „nocni pływacy”, amatorzy darmowego pływania w cudzych basenach kąpielowych nocą albo latem, pod nieobecność właścicieli posesji.

— Nie każda luka w pamięci oznacza demencję — pouczył mnie.
— Masz ochotę na loda?

*

Mężczyzna pchnął po biurku w moją stronę cienką kartonową teczkę, ale ja jej nie wziąłem. Spojrzałem na niego. Chytra czerwona twarz, złamany nos, stalowoszare włosy przycięte na tyle krótko, by wyeksponować bliźny na głowie. Pozował na byłego funkcjonariusza Scotland Yardu i może nawet kiedyś tam pracował.

Przeniosłem wzrok z powrotem na teczkę i poczułem pulsowanie bliźny. W dni takie jak ten, kiedy podskakiwało mi ciśnienie krwi i nerwy napinały się jak postronki, zdawała się żyć własnym życiem, mieć swoje własne skrywane żale, tajemnice i lęki, które woli zachować dla siebie. Dotknąłem jej przez koszulę — tej długiej, czerwonej, zbuntowanej szramy, tej rany, która już na zawsze ze mną zostanie — ale nie za mocno. Jak bestii, którą wzdragałem się obudzić.

— To pański człowiek — zaczął. — Materiał obfity. Lista przestępstw kryminalnych dłuższa od przegubowca. — Odchylił się na oparcie fotela. — Nieczęsto się zdarza, żeby tego rodzaju osobnik okazywał taki... taki... no, jak to się nazywa?

— Altruizm — odpowiedziałem. — Troska o dobro innych pozbawiona egoizmu. Filozofia bezinteresowności i wspianiałomyślności.

— Altruizm — powtórzył, obracając to słowo na języku jak nowy, niezany sobie gatunek sera, co do którego nie może się zdecydować, czy smakuje mu, czy nie. — Właściwe słowo.

— Właściwa filozofia — dorzuciłem.

Wskazał ruchem głowy teczkę. Chyba zaczął się obawiać o swoje honorarium.

— Bierze pan czy nie?

Mierzyliśmy się przez chwilę wzrokiem przedzieleni biurkiem. Dwaj potężni mężczyźni sami w zapyziałym biurze.

Nie znajdował się w najlepszej kondycji, ale niewykluczone, że był kiedyś policjantem, który z jakiegoś powodu odszedł ze służby. Gliniarz ze starej szkoły. Przypominał mi trochę Keitha, ale bardziej mojego tatę. Miał w sobie to gliniarskie coś. Odnosiło się wrażenie, że nawet kiedy rozplywa się w uśmiechach, może w każdej chwili wybuchnąć.

Śledztwa na zlecenie, prywatne i małżeńskie, informował napis na zakurzonej szybie w drzwiach jednopokojowego biura. Dochodzenia specjalistyczne. Honorarium po wywiązaniu się ze zlecenia.

Znalazłem go na piętrze budynku przy bocznej uliczce West Endu i spodziewałem się sekretariatu ze zmęczoną życiem, rudowłosą sekretarką, taką jak u Raymonda Chandlera. Ale zastałem tylko jego. Członek Instytutu Profesjonalnych Dochodzeń, wyczytałem z oprawionego w ramki dyplomu wiszącego na ścianie za jego plecami, i brzmiało to bardzo zaszczytnie jak na człowieka w takim miejscu. Ale z zadania, które mu powierzyłem, wywiązał się bez zarzutu.

— Pański człowiek pochodzi z szemranej rodziny — powiedział. —
Chociaż nie tak już szemranej jak kiedyś.

Blizna pulsowała jednostajnym rytmem, zupełnie jakby chciała uniknąć przyciągania uwagi. Nadal nie sięgałem po leżącą przede mną teczkę. Wcale nie byłem pewien, czy chcę do niej zajrzeć. Może przychodząc tutaj, popełniłem błąd.

—No, decyduj się pan! — warknął, jego wcześniejsza jowialność zgasła jak przepalona żarówka.

—Dostanie pan swoje pieniądze — odparłem, wyciągając portfel.

—Powinienem udzielić panu rabatu — westchnął, rozchmurzając się nieco. — To żadna sztuka znaleźć truposza.

Rozdział szesnasty

Chciałem pocałować Larę w policzek, ale zrobiła unik, jakby z obawy, że mogę zrobić coś głupiego, na przykład wetknąć jej język w ucho albo wsunąć do ust, skończyło się więc na tym, że cmoknąłem ją w czubek głowy. Stała jeszcze jakiś czas pochylona, upewniając się, że już po wszystkim, pocałowałem ją więc jeszcze raz w czubek głowy.

Wyprostowała się w końcu i wzięła ode mnie wino, które przyniosłem.

— Nie musiałeś — powiedziała. — Ale przepadam za winem z... — Mrużąc oczy spojrzała na etykietę, a potem odsunęła od siebie butelkę na całą długość wyciągniętego ramienia. — ...z Litwy.

— Litewskie wina są niedoceniane — odparłem i wszedłem za nią do sieni. Gość we własnym domu. Zwęszyłem aromat pieczonej wołowiny i ślina napłynęła mi do ust. — Jak tu ładnie pachnie — zauważyłem. — To na pewno nie ja.

— Skrzyknę plemię — zaproponowała.

— Pomogę ci — zaoferowałem się.

—Nie musisz — mruknęła. Ten formalizm między nami doprowadzał mnie do rozpacz. Nie pisałem się na żadną wymianę grzecznościowych formułek, ja chciałem się kochać bez opamiętania, najlepiej pod tropikalnymi palmami. — Wejdz i...

Czekałem. I co? Czuj się jak u siebie? Nalej sobie drinka? Rozgość się? Lara wzruszyła ramionami.

— A zresztą chodź — powiedziała. Wstąpiłem za nią na schody. Jej filigranowe ciało tancerki miałem na wyciągnięcie ręki. Ale wolałem nie ryzykować dotknięcia. Takie zuchwalstwo mogłoby położyć się cieniem na całym wieczorze.

Na klamce drzwi do sypialni Ruby wisiała tabliczka NIE PRZESZKADZAĆ, pamiątka ze szkolnej wycieczki na narty do Austrii, kiedy miała jedenaście lat. Tabliczka zawisała tam dla żartu, ale w ciągu ostatnich pięciu lat wyparowały z niej wszystkie molekuły ironii.

Lara zapukała cicho. Słyszałem, jak Ruby rozmawia przez telefon z którąś ze swoich koleżanek. Bez odpowiedzi. Lara zapukała ponownie.

—Czego?!

—Skąd ta złość? To przeze mnie? **Przez** to, że tu nie mieszkam? Lara znowu zapukała i tym razem, ignorując odparowaną z ironii tabliczkę NIE PRZESZKADZAĆ, nacisnęła klamkę.

—Oddzwonię — rzuciła Ruby do telefonu i przerwała połączenie. — Cześć, taro — mruknęła, wsuwając aparat pod poduszkę.

—Cześć, aniołku — przywitałem się.

—Kolacja — oznajmiła Lara, a ja zauważyłem, że moja żona i moja córka zaczęły porozumiewać się między sobą jednowyrazowymi albo jesz-

cze krótszymi zdaniami. No, może zdarzały się odstępstwa od tej reguły, bo w odpowiedzi Ruby ułożyła zdanie składające się z trzech wyrazów:

—Nie jestem głodna — westchnęła i wyciągnęła się z rękami pod głową na swoim pojedynczym tapczaniku. Zawibrował telefon. Wyciągnęła go spod poduszki, przeczytała SMS-a i jej twarz rozjaśnił uśmiech. Zupełnie jakby właśnie to, a nie dwoje ludzi stojących w drzwiach sypialni i niezapraszanych do środka, było jej realnym życiem.

—Nie pytałam cię, czy jesteś głodna — odezwała się Lara i uśmiech spelzł z twarzy Ruby. — Pytałam cię o to? Bo ja sobie nie przypominam. Zresztą o nic cię nie pytałam. Poinformowałam tylko grzecznie, że kolacja gotowa.

—A ciebie co ugryzło? — zachnęła się Ruby. — Zawód miłosny?

— Na dół — warknęła Lara. — Daję ci pięć minut. Wyszliśmy, nie zamykając za sobą drzwi.

—Ostatnio spotykam się z nią od przypadku do przypadku — powiedziałem do Lary — i za każdym razem wydaje mi się większa, niż kiedy ostatnio ją widziałem.

—Naprawdę? — spytała Lara. — Bo ja widzę w niej wciąż tę samą młodą jałówkę.

Weszła bez pukania do pokoju Rufusa. Ja zatrzymałem się w progu. W pokoju panował zawieszisty męski zaduch, zasłony były zaciągnięte. Słyszałem jego chrapanie, ale był to rodzaj chrapania inny od tego, który zapamiętałem. Było w tym odgłosie zmęczenie dorosłego człowieka. Było to chrapanie spracowanego robotnika. Lara rozsunęła zasłony. Za oknem właśnie zapadał zmierzch.

— Rufusie? Pora wstawać. Spóźnisz się do pracy. Mam dla ciebie kolację. I tato przyszedł. Przyniósł butelkę dobrego litewskiego wina.

Rufus jęknął, usiadł na łóżku i opadł z powrotem na poduszkę. Klatkę piersiową miał zastraszająco owłosioną. Dlaczego na widok owłosienia mojego syna robiło mi się zawsze nieswojo? Był już mężczyzną. Namacał tani budzik stojący na szafce nocnej przy łóżku i westchnął. Budzik wskazywał siódmą.

— Chciałem przywitać się z tatą, a przekąsić coś po drodze do pracy — powiedział bez przekonania, zdając sobie doskonale sprawę, że matka zawetuje ten plan.

— Nie — warknęła Lara. — Zjemy kolację razem. Zamknęła za sobą drzwi i spojrzała na mnie ponuro.

— Wszyscy lubimy pieczeń wołową i pudding Yorkshire — oznajmiła. — Prawda?

U szczytu schodów wziąłem ją za rękę.

— Laro — powiedziałem, kręcąc głową. — Jak dobrze cię widzieć. Poklepała mnie po dłoni. Nagle znieruchomiała i pociągnęła nosem.

— Brukselka mi się przypala — jęknęła i zbiegła po schodach.

Staliśmy wokół stołu, każde za swoim tradycyjnie krzesłem. Lara z jednego końca, ja z drugiego, Rufus i Ruby naprzeciwko siebie, po bokach. Ruby klapnęła na krzesło, nie odrywając oczu od ekraniku swojej komórki i wystukując coś kciukiem na klawiaturze. Kiedy moje oferty pomocy zostały odrzucone, usiadłem u zwanego tak szumnie szczytu stołu. Lara z Rufusem wyszli do kuchni.

— Hej — syknąłem i Ruby spojrziała na mnie. Kochałem kiedyś tę twarz ponad wszystko. I do tej pory mi nie przeszło. Nachyliłem się do niej.
— Bądź dla mamy miła — szepnąłem. — Proszę cię.

Ruby uniosła wyskubane brwi

— Będę, tato, jeśli ona tylko... no wiesz.

— Co?

Wydęła usta.

— Da mi wolną rękę. Zamiast narzucać mi wciąż swoją wolę. To nie w porządku. — Wstała, podeszła i objęła mnie. — Nie uściskałam cię jeszcze, prawda? — Roześmiała się, a ja poczułem, jak moje serce wzbiera i przepelnia się miłością. Ona zawsze miała na mnie taki wpływ, od dnia narodzin. Wystarczyło, że na mnie spojrziała. Teraz wróciła na swoje krzesło i wpatrzyła się znowu w ekranik komórki. — Powinieneś zostawić włosy, takie jakie są — powiedziała, zmieniając temat. — Nie obcinaj ich.

Odgarnąłem z czoła niesforny kosmyk i założyłem za ucho kilka splątanych pasemek.

— Tak uważasz? — spytałem.

— Zdecydowanie — mruknęła, nie podnosząc na mnie wzroku.

Lara i Rufus wrócili z kolacją. Pieczeń wołowa, miseczki z gorącymi warzywami, talerz z gigantyczną masą puddingu Yorkshire. Rufus sięgnął po nóż kuchenny wielkości samurajskiego miecza.

— Niech tato się tym zajmie — odezwała się Lara i, uśmiechnąwszy się do mnie, poszła nastawić jakąś muzykę. Pokroiłem pieczeń. Rufus rozdał miseczki z warzywami. Popłynęła muzyka.

Rozpoznałem ten utwór natychmiast. *Baker Street* z albumu *City to City* Gerry'ego Rafferty'ego. Lara usiadła z nami przy stole, a Ruby ode-
rwała wzrok od ekranika komórki.

—Ale czad! — zawołała z udawanym przejęciem. — Mój ulubiony kawałek. Rock taty.

—Podoba ci się? — spytała Lara, przekrajając marchewkę na pół. Marchewki były trochę za twarde, a brukselki za miękkie. To chyba przez to, że zamiast pilnować garnków, Lara musiała skrzykiwać rodzinę, a raczej to, co z niej zostało.

—Jeszcze jak — powiedziała Ruby. — Coś pięknego. W moim guście.

—To się cieszę — mruknęła Lara.

Milczeliśmy przez chwilę. Słyszeć było tylko przeżuwanie, pobrzękiwanie sztućców, Gerry'ego Rafferty'ego oraz bip-bip--bipanie wystukiwanego przez Ruby SMS-a. Spojrzałem na Rufusa. On na mnie. Potem obaj na swoje talerze. I Rufus zaatakował z pasją to, co sobie nałożył. Trudno było stwierdzić, czy był aż tak głodny, czy chciał jak najszybciej opuścić nasze towarzystwo.

Lara dała Ruby znak ruchem głowy.

— Mogłabyś, z łaski swojej, odłożyć ten telefon? — spytała. Potem spojrzała na mnie z tłumioną wściekłością. Co ja, u diabła, takiego zrobiłem? Nic. Lara spojrzała znowu na naszą córkę, a więc chyba tam tkwił problem. Ale chociaż zajmowałem poczesne miejsce u szczytu stołu, nie mogłem zareagować jak na głowę rodziny przystało. To już nie byłem ja. W związku z czym moja trzódka, nie widząc we mnie autorytetu, bez żadnego już skrepowania parła do rodzinnego starcia.

Ruby siedziała ze spuszczoną głową. Przed nią stał talerz z nietkniętą zawartością. Pieczona wołowina i pudding Yorkshire. Soczyście pomarańczowe i zielone warzywa. Moja córka była chuda i blada. Taki zastrzyk kalorii dobrze by jej zrobił. Ale ona nie odrywała oczu od telefonu.

— Za chwilę, już kończę...

Lara z głośnym trzaskiem odłożyła swoje sztucce na talerz.

— Natychmiast!

Ruby spojrzała na nią wyzywająco.

— Nie dodasz: „smarkata”? — spytała. — Uwielbiam, kiedy tak się do mnie zwracasz.

— Mam to na końcu języka! — wywarczała Lara. Wpatrywała się w Ruby, dopóki ta z wystudiowanym westchnieniem nie położyła telefonu na stole.

— No, pięknie, mam — włączył się Rufus.

— Tak, pięknie — poparłem go szybko, uświadamiając sobie, że już dawno powinienem był się wtrącić.—Przepięknie.

Rufus wymiół swój talerz do czysta i nałożył sobie jeszcze po trochu wszystkiego. Potem wyszedł do kuchni po repetę puddingu Yorkshire. Ruby spoglądała spode łba na swój nietknięty posiłek, zupełnie jakby to był smażony gronostaj, a ona dopiero teraz to zauważyła.

—Przepraszam — odezwała się w końcu. — Ale co to właściwie jest?

—Pieczona wołowina — poinformowała ją Lara. — Nie mówiłam ci, że na kolację będzie dzisiaj pieczona wołowina?

—Może i mówiłaś — mruknęła Ruby. — Ale mogłam nie dosłyszeć, bo próbowałam wtedy rozmawiać z koleżanką.

Z kuchni wrócił Rufus.

— Nie ma już puddingu Yorkshire — oznajmił z takim przejęciem, jakby to była wiadomość, na którą czekał cały świat.

— Nie wiedziałaś? — spytała Ruby, odsuwając od siebie talerz. Wzięła telefon, ale nie uchylała klapki. — Myślałam, że wiesz.

Lara potrząsnęła głową.

— Że co wiem? Ruby westchnęła.

— Jestem weganką. Lara uśmiechnęła się.

— A od kiedy to? Kiedy postanowiłaś zostać weganką Ruby?

Ruby pokręciła głową, zupełnie jakby miało to miejsce tak dawno, że dokładna data zatarła się w pomroce dziejów i nie da się jej już odtworzyć.

— We wtorek — odpowiedziała.

— To zjedz chociaż warzywa — poradziła jej Lara. — Jedz pudding Yorkshire.

— Paluszki lizać, Ruby — zapewnił ją brat, a mnie zrobiło się głupio. To Rufus powinien był dzielić mięso. To on starał się opanować sytuację, załagodzić konflikt między matką a córką, podczas gdy ja siedziałem cicho jak mysz pod miotłą i zakłopotany sączyłem litewskie wino.

Ale Ruby zjeżyła się, jakby ktoś kazał jej lewitować.

— Co? — fuknęła. — Mam jeść warzywa i tak zwany pudding Yorkshire, patrząc na zakatowane zwierzę? — Spojrzała na talerz i szybko odwróciła wzrok, łapiąc się za brzuch. — Co mam zrobić z tym mięsem, matko? Mięso to masakra. Lara pokiwała głową.

— Mieszkanie z tobą pod jednym dachem też. ; Rufus wstał z pustym talerzem w rękach.

— Mogłybyście choć na pięć sekund przestać drzeć ze sobą koty? Wziąć na wstrzymanie, przynajmniej dopóki tato tu jest?

— Wygląda na to, że nie — mruknęła Lara, z rezygnacją nadziewając brukselkę na widelec.

— A ty nie masz przypadkiem do czegoś poukładania na półkach? — spytała brata Ruby. Popatrzył na nią, czerwieniejąc na twarzy. Minę miał taką, jakby zaraz miał się rozplakać. Wypadł z pokoju i po chwili usłyszałem, jak splukuje w kuchni talerz przed załadowaniem go do zmywarki.

— Co gryzie Gilberta Grape'a? — Ruby roześmiała się, ale zaraz struchlała, podobnie zresztą jak ja, bo Lara sięgnęła bez słowa przez stół, chwyciła talerz Ruby i cisnęła nim na oślep. Brukselki rozprysły się niczym odłamki szrapnela. Marchewki jak strzały. Pudding Yorksire rozpaćkał się na wieży stereo hi-fi, wybijając z rytmu Gerry'ego Rafferty'ego. A wołowina i sos poplamiały zasłony.

— Ho, ho! — zauważyła ironicznie Ruby, wstając z uniesionymi nad głową rękami. — Tu się robi niebezpiecznie. Ja się poddam i wysiadam.

I zostaliśmy z Larą sami.

Lara wpatrywała się w swój talerz.

— Myślałem, że w miarę zgodnie tu żyjecie — powiedziałem cicho.

Lara roześmiała się, ale zaraz sposepniała.

— Przepraszam — mruknęła. Pokręciłem głową.

— To nie twoja wina.

— Oj, nie wiem czyja. W każdym razie nie tylko moja, prawda? Ty potrafiłeś przywołać ją do porządku samym spojrzeniem. Pamiętasz?

Pamiętałem. Ale wydawało mi się, że to było w jakimś innym życiu.

— Nie chcę, żeby ona się mnie bała — wyznałem. — Nie chcę przywoływać jej do porządku spojrzeniami.

— Ale ona nie jest twoją koleżanką. To twoja córka. I jeśli nie masz nad nią kontroli, to kończysz z puddingiem Yorkshire na zasłonach. Odpowiada ci to?

Wstała od stołu, machinalnie masując prawą ręką niezaleczone miejsce za prawym kolanem, a potem bezimienny obszar między biodrem a klatką piersiową, te niewygasające ogniska dokuczliwego bólu, gdzie dawne kontuzje związane z tańcem najbardziej dawały o sobie znać.

— I coś ci jeszcze powiem — dorzuciła. — Nie puszczę jej dzisiaj nigdzie z tym podejrzanym typkiem.

Tym typkiem? Tym podejrzanym typkiem? Jakim podejrzanym typkiem.

Wszedłem za Larą na górę. Drzwi pokoju Ruby stały otworem. Poprawiała makijaż — od kiedy to zaczęła się malować? Patrzyliśmy, jak spogląda na ekranik komórki — z jakim podejrzanym typkiem? Patrzyliśmy, jak zbiera się do wyjścia.

— Nastąpcie się staruszkowie — powiedziała, ruszając w naszą stronę.

— Nigdzie nie pójdziesz — poinformowała ją Lara.

— To się okaże — burknęła Ruby.

Kiedy próbowała się między nami precyzyjnie przesuwać, Lara chwyciła ją za rękę. Nigdy jeszcze nie była bliżej uderzenia córki — widziałem to w jej oczach. Ale miałem pewność, że się do tego nie posunie. Nie zdobyłaby się

na to. Nawet gdyby Ruby podpałiła zasłony, nawet za sto lat. Lara za nic by jej nie uderzyła i Ruby zawsze będzie nad nią miała tę przewagę. Ale ręki Ruby nie puszczała. A ja stałem tam, ni to ojciec, ni bezużyteczny znajomy swojej córki, i nie wiedziałem, jak zareagować.

— Au! — pojękiwała boleśnie Ruby, szamocąc się z matką. — Au!

— Co w ciebie wstąpiło?! — wyrzuciła z siebie Lara.

— Co we mnie wstąpiło?! — wysyczała Ruby. — Powiem ci, co we mnie wstąpiło, najdroższa mamusiu. — Łzy zakręciły się jej w oczach. — Za późno już na przystąpienie do odstawiania szczęśliwej rodzinki.

Lara puściła ją. I po kilku sekundach usłyszałem Ruby na schodach. Zbiegała po nich szybko, żeby nie dać się znowu złapać.

— Porozmawiam z nią — zaproponowałem.

— Nie porozmawiasz — westchnęła Lara. — Za późno. Zszedłem za Ruby po schodach. Drzwi frontowe były otwarte. Nie chciałem, żeby wychodziła.

— Ruby! — zawołałem i w swej naiwności myślałem, że to wystarczy.

— Oj, daj mi spokój!

Wybiegła na ulicę. Stał tam samochód z kierowcą w środku. Nie znałem tego człowieka i dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że czeka na Ruby. Był dobrze zbudowany i nosił kilkudniowy zarost, ale trudno było stwierdzić, czy to z racji obowiązującej mody, czy z niechlujstwa.

Przechylił się nad fotelem pasażera i otworzył przed Ruby drzwiczki. To był mężczyzna, nie chłopak, a moja córka miała dopiero szesnaście lat. Nie wiedziałem, dokąd się wybierają, nie wiedziałem, co to za jeden, ten podejrzany typek, i czułem, że jeszcze wielu rzeczy nie wiem. Powiem

więcej, czułem się tak, jakbym nic nie wiedział o otaczającym mnie świecie. Wiedziałem tylko, że moja córka dusi się w rodzinnym domu.

— Ruby, proszę cię — zawołałem — zostań w domu. Błagałem teraz bez skrepowania, zapominając o godności, gotów spróbować wszystkiego. Ale ona mnie zignorowała albo nie dosłyszała. Kiedy wsiadała do wozu, nieogolony facet posłał mi ironiczny uśmiezek.

Trzasnęły drzwiczki i samochód odjechał, a ja patrzyłem za nim jeszcze długo, chociaż mignawszy światłami stopu, skręcił i zniknął mi już za rogiem z oczu.

W drzwiach stanął Rufus. Był w swoim służbowym garniturze i pod krawatem, szedł na nocną zmianę do supermarketu. Położyłem mu dłoń na ramieniu. Jego długie, chude kończyny wydały mi się pokrzepiająco znajome.

— Zamienię tylko słówko z mamą — powiedziałem — i pojedę z tobą autobusem.

Speszył się trochę.

— Ale ja mam już transport, tato — wybąkał.

*

Dopiero teraz zobaczyłem drugi samochód. Błękitnego,

poobijanego mini morrisa. Pojazd kierowcy zarówno nieostrożnego, jak i pechowego. Za kółkiem siedziała kobieta, którą Rufus przyłapał niedawno w sklepie na drobnej kradzieży. Przeglądała się w lusterku przymocowanym do wewnętrznej strony osłony przeciwsłonecznej. Na oparciu tylnej kanapy wisiał fotelik do przewozu dzieci, ale małego huncwota w

nim nie było. Prawdopodobnie puszczonego samopasa okradł teraz starsze panie. Było jeszcze stosunkowo wcześnie. Przed dom wyszła Lara. Patrzyliśmy oboje, jak odjeżdżają.

— Widziałeś? — spytała Lara. — Nie zapiął nawet pasa.

*

Postaraj się zawrócić... postaraj się zawrócić... Coś nie tak z tym GPS-em, pomyślałem.

Za oknem przesuwały się nieznane mi, brudne i brzydkie uliczki Elephant i Castle, a uprzejma dama z GPS-u starała się mnie nakłonić do zawrócenia. Aleja byłem przekonany, że jadę we właściwym kierunku. Byłem przekonany, że to gdzieś tutaj.

Jeśli to możliwe, postaraj się zawrócić.

Ford capri ojca wydawał mi się jakiś ociężały, obcy i dychawiczny, nie miał wspomaganie kierownicy, a hamulce działały od przypadku do przypadku. Jedyne, co było w tym starym gracie w miarę nowoczesne, to zainstalowany niedawno GPS. Niewykluczone, że skupiając całą uwagę na prowadzeniu tego złomu, minąłem już cel swojej podróży

I nagle zobaczyłem ją. Przed sobą. Tę dziewczynę. Dałem po hamulcach. Na szczęście zadziałały i capri zatrzymał się z piskiem opon tuż przed nią.

Obejrzała się na mnie. Twarz miała tak bladą i ściągniętą, jakby nigdy nie wystawiała jej na słońce. Uniosła dwa palce.

Jesteś na miejscu, westchnęła dama z GPS-u, umywając ręce.

*

Adres, którego szukałem, znajdował się na ostatnim piętrze niskiego budynku z mieszkaniami komunalnymi. Było jeszcze widno, wiatr hulał ze świstem po długich zewnętrznych galeriach. Wspólny plac pełen dzieciarni, samochodów i przepelnionych pojemników na surowce wtórne otaczały cztery budynki mieszkalne. Dom miał tylko cztery piętra, windy nie było. Wziętem głęboki oddech i rozpocząłem wspinaczkę.

Zewsząd dolatywała muzyka, sieczka z włączonych telewizorów i głosy. Śmiechy, pogrożki, błagania. Smród jedzenia, uryny i domowych zwierzątek. Wrażenie przeludnienia, życia na kupie. Na schodach minąłem starszą. Pozdrowiliśmy się uprzejmym „dzień dobry”. Na ostatnim piętrze zatrzymałem się i zadałem sobie pytanie, co ja tu w ogóle robię. Potem podszedłem do ostatnich drzwi na galerii i zadzwoniłem.

Nikt nie otwierał.

Odetchnąłem z ulgą, odprężyłem się i spojrzałem na rozciągające się przede mną miasto. Kiedy się odwracałem, na galerię wyszło trzech młodych ludzi, jeden biały, drugi czarny, trzeci śniady. Wyglądali jak drobni przestępcy w stylu reklam Benettona. Szli ramię przy ramieniu i musiałem przywrzeć plecami do muru, żeby ich przepuścić.

I wtedy rozpoznałem go.

A on mnie.

Chłopak z tylnego siedzenia samochodu Keitha. I zanim zdążyłem się połapać w sytuacji, przyparł mnie do jakiegoś okna i przyłożył do prawej powieki ostrze noża do cięcia wykładzin. Jego twarz znalazła się tak blisko mojej, że czułem odór piwa i zapach dezodorantu Lynx.

— Ty tu czego? — warknął.

— Chciałem tylko porozmawiać o twoim bracie — wykrztusiłem.

Odsunął ostrze od mojego oka.

— O moim bracie? — spytał.

Z dołu doleciały jakieś krzyki i jego kumple rzucili się do ucieczki. Ale uciekać nie było gdzie. Dobiegli do końca galerii, zawrócili i wpadli prosto w ramiona kilkunastu umundurowanych gliniarzy. Kiedy ustawiano ich z uniesionymi rękami pod ścianą, na galerii zjawił się rudy facet w garniturze i pod krawatem — inspektor — i uśmiechnął się, jak na widok starych dobrych znajomych. Skinął mi głową.

— Ty już jesteś wolny — powiedział, ale ja stałem, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje. Uznał to chyba za osobistą zniewagę. — Znikaj stąd, pókim dobry — wywarczał, jego zielone oczy płonęły. — Bóg dorzucił jeszcze jedno polano do twojego ogniska.

Patrzyłem na niego, wstrzymując oddech.

— Zjeżdżaj! — rzucił mi w twarz. Posłuchałem.

Rozdział siedemnasty

Wszystkie duże domy świeciły już pustkami.

Reszta londyńczyków została w mieście, wylewając siódme poty w metrze i na nagranych ulicach, ale większość domów z basenami kąpielowymi, od The Bishops Avenue do Prince Albert Road i dalej na zachód do Holland Park i Richmond, zostało na lato opuszczonych. Nie było nawet służby. Wypoczywała na wsi albo usługiwała swoim chlebodawcom w jakimś słonecznym zakątku globu. Był to najlepszy okres, czas spokoju. Dysponując pękiem starannie oznakowanych kluczy dozorczy, dostałem się do ogrodu dużego domu w Highgate. Nie uwierzylibyście, że w mieście może być tak cicho.

Byłem opalony i w formie. Ściągając koszulę i rozkładając swoje narzędzia oraz chemikalia, czułem się lżejszy i silniejszy niż kiedykolwiek. Ukląłem nad basenem i przez kilka minut obserwowałem przepływ wody. Potem zabrałem się do pracy.

Winston ufał mi już na tyle, że przydzielał mi coraz trudniejsze zadania do samodzielnego wykonania, a mnie robota wprost paliła się w rękach.

Czyszczenie koszyka osadnika. Sprawdzanie temperatury wody termometrem pływakowym. Instalowanie węża podciśnieniowego i wsuwanie go do basenu. Ściągałem właśnie grabiami liście z powierzchni wsłuchany w cichy szum lata w wyludnionym ogrodzie, kiedy tylną furtką wszedł Winston, trzymając w objęciach, jak dziecko, butlę z propanem. Postawił ją nad basenem.

— Obchodź się z tym jak z jajkiem — ostrzegł, wskazując butlę ruchem głowy. — Ten gaz jest cięższy od powietrza. Jeśli więc zaleje palnik przed przypaleniem, to będzie zalegał na dnie grzejnika. Zapachu nie wyczujesz, bo on też tam zalega. Nie unosi się, rozumiesz? Jeśli więc pochylisz się nad otworem, żeby sprawdzić, co szwankuje, i wtedy nastąpi zapłon, to bummm. — Uśmiechnął się figlarnie. — Łeb ci urwie.

— Będę uważał — obiecałem.

Winston kiwnął głową zadowolony, że nie będzie musiał wyławiać mojego łba z basenu i zbierać odłamków butli z gazem. Potem zapatrzył się na nieskazitelną gładź wody.

— Niedługo wszyscy wracają — westchnął. Zabrzmiało to w jego ustach jak zła wiadomość.

No i do tego jeszcze ten mężczyzna.

Powinienem był przewidzieć. Jak mogłem o tym nie pomyśleć. Nasze małżeństwo w rozsypce, a mnie nie przyszło nawet do głowy, że Lara zacznie się z czasem rozglądać za jakimś facetem na moje miejsce.

Stała w drzwiach szkolnej sali gimnastycznej i wypuszczała jedną po drugiej dziewczynki w spódniczkach z tiulu i baletkach, które podbiegały do czekających na nie dorosłych.

Stałem wśród nich, w tej grupie mam, opiekunek i zadziwiającej liczby tatusiów, dopóki ostatnia dziewczynka nie została odebrana, a potem wśliznąłem się do sali. Młoda kobieta naciągała pokrowiec na pianino. Zaczekałem, aż wyjdzie, i podszedłem do Lary. Siedziała na schodkach prowadzących na scenę, masując sobie prawy bok. Wręczyłem jej pudełko po butach, które ze sobą przyniosłem.

— Masz rację — powiedziała. — Po zastanowieniu doszłam do wniosku, że masz rację.

Trzymała moje pudełko na kolanach, ale go nie otwierała.

— Nie chcę pływać z delfinami ani spierać się z filozofami, ani zgłębiać tajemnic wszechświata — ciągnęła. — Ale chcę wrócić do pracy. Jeszcze raz spróbować.

Rozejrzałem się po sali.

— Przecież masz już pracę — zauważyłem. Nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie zajrzy do tego pudełka.

— Mam na myśli taniec — wyjaśniła. — Na scenie. Zawodowy. Powrót do tego, czego się uczyłam. — Słyszeliśmy krzyki przebierających się dziewczynek. — Kocham tę dzieciarnię. Ale chciałabym... — Uśmiechnęła się do mnie, oczy płonęły jej podnieceniem. — Chciałabym spróbować jeszcze raz...

— Otwórz to pudełko — poprosiłem.

Posłuchała. Wyglądało to na zbiór przypadkowych fotografii. Fotki z urlopu, zdjęcia szkolne, zdjęcia z automatu, wszystko to przemieszane ze sobą. Ale było czymś więcej. Było historią Lary i mnie; historią naszej rodziny. Lara wzięła fotografię ośmioletniej Ruby wyszczerzonej w szczer-

batym uśmiechu. Czerwony szkolny blezer, szara spódniczka, biała bluzka. I ten radosny uśmiech przepoławiający jej twarz i odsłaniający dziąsła oraz braki w uzębieniu. Roześmieliśmy się oboje, wspominając ją w tym wieku. Wierzyć nam się nie chciało, że dziewczynka ze zdjęcia naprawdę kiedyś istniała. Potem Lara, ku mojemu rozczarowaniu, wrzuciła fotografię z powrotem do pudełka. Nie tego się spodziewałem.

— Martin powiedział...

— Jaki Martin?

Posłała mi spłoszone spojrzenie.

— Jeden mój znajomy.

— Znajomy? Znajomy? Znaczący... facet? Taki z penisem, prawda?

Chwyciłem jej lewą rękę i spojrzałem na dłoń. Nosła nadal ślubną obrączkę, bliźniaczkę tej, którą nosiłem i ja na serdecznym palcu lewej dłoni. Ale zaraz uświadomiłem sobie, że przecież rozpad małżeństwa nie zobowiązuje do ściągnięcia obrączki.

Lara westchnęła.

— Po prostu znajomy. Ojciec jednej z moich dziewczynek. Samotny ojciec. Penisa pewnie ma. A przynajmniej powinien.

— Samotny tatuś? Jakim trzeba być mężczyzną, żeby skończyć jako samotny tatuś?

— Nie wiem — mruknęła Lara. — Dobrym?

— Dobrym? Nie wiesz jeszcze, co na ten temat ma do powiedzenia jego żona. Zanim zaczniemy porównywać faceta do Nelsona Mandeli, wysłuchajmy najpierw jej opinii.

Lara pokręciła głową.

— Nie spałam z nim ani nic z tych rzeczy — powiedziała. Wzruszeniem ramion dałam do zrozumienia, że nie o to mi chodziło, ale w głębi duszy odetchnąłem z niezmierną ulgą. Jeśli z nim nie spała, to jeszcze nie wszystko stracone.

— Czy tobie tylko to jedno w głowie? — ciągnęła Lara, jakby czytając w moich kosmatych myślach, a ja ochoczo chwyciłem przynętę.

— Dla ludzi dobrzy znajomi, a on ci po cichu śle pieprzne SMS-y. Dla ludzi dobrzy znajomi, a on tylko czeka, kiedy schylisz się nad zmywarką, żeby cię wziąć brutalnie od tyłu. Dobrze wiem, na czym polegają te tak zwane znajomości.

Lara wstała.

— Ciebie już do reszty pogięło — powiedziała. — To, że Jesteś zbyt niedojrzały, żeby szukać sobie znajomych wśród ludzi w niczym niepodobnych do tego cholernego Keitha, nie znaczy jeszcze, że takich nie ma. Ja też wstałem. Byłem coraz bardziej zdesperowany.

— Nie podobają ci się te zdjęcia? — spytałem.

— Są urocze — mruknęła.

— To je sobie weź.

— Dzięki. — Była na mnie zła. Głos rozsądku radził mi trzymać gębę na kłódkę. Nie posłuchałem.

— Jest ode mnie lepszy? — spytałem. — Powiedz mi tylko to i zamykamy temat.

Wzięła się pod boki.

— Nie rozumiem, George. Niby w czym od ciebie lepszy? Jako istota ludzka? W łóżku?

W tym momencie jakiś facet zajrzał przez szybę w drzwiach, uśmiechnął się nieśmiało i pomachał do Lary.

Podeszła tam i wpuściła go. Przodem wpadł do sali kłębuszek różowego tiulu i blond kędziorków w spódniczce baletnicy i bucikach z błyskającymi światełkami w podszwach.

Potem wszedł on — postawny mężczyzna w urzędniczym garniturze. Czterdzieści lat, oceniłem go, w wieku Lary. Wyglądał na faceta, który w młodości uprawiał jakąś dyscyplinę sportu. I niewykluczone, że nadal ją uprawiał.

Lara przyprowadziła go do mnie.

—Martin, to George, mój mąż — powiedziała.

—Cześć — burknąłem, podając mu rękę. — George* Jej mąż. Jesteśmy małżeństwem. Od... od ilu, Laro... od dwudziestu lat?

Ale jemu nawet powieka nie drgnęła. Zresztą czemu miałyby drgnąć? Byli tylko znajomymi.

*

Nowy ochroniarz obserwował mnie czujnie i zauważalnie tężał, ilekroć brałem z półki butelkę wina, żeby przestudiować etykietę. Pochodził gdzieś z Bliskiego Wschodu, pracował tu dopiero od tygodnia i widać było po nim, że miał dzisiaj ciężki tydzień. Całkiem możliwe, że w tym rejonie grasował jakiś gang złodziei markowego chardonnay.

Alejką między półkami nadchodził szybkim krokiem jakiś facet w wygniecionym garniturze i pod krawatem. Nie od razu rozpoznałem w nim swojego syna.

— Jeszcze dziesięć minut, tato — powiedział i stuknął zółwika ze sklepowym detektywem. — Miałeś już przerwę, Jamal? To zrób ją sobie, jak będzie trochę spokojniej.

To nie było samo ubranie. Rufus przybrał trochę na wadze. Po przeraźliwej chudości młodzieńczego wieku pozostało już tylko wspomnienie. I coś się porobiło z jego włosami. Miał ich teraz o wiele mniej, zwłaszcza z tyłu i po bokach. Czyżby służbowa fryzura zastępcy kierownika? Bo chyba nie łysiał? Dopiero co zaczął się golić.

Do supermarketu wparadowała dwójka czarnych nastolatków i Jamal natychmiast ruszył za nimi. Rufus był już na ulicy, gdzie rozładowywano dostawczą ciężarówkę wielkości Titanica. Obracałem właśnie w rękach butelkę estońskiego białego wina, kiedy wrócił.

— Nancy woli czerwone — powiedział. — Idę na zaplecze. Przyjdź tam, jeśli chcesz.

Posłusznie odstawiłem butelkę. Nie wolno denerwować wielkiego dyktatora, pomyślałem. Znalazłem litewskie czerwone, zapłaciłem za nie i przeszedłem za kurtynę z długich, grubych plastikowych taśm oddzielającą supermarket od magazynów. Było tu o wiele chłodniej, ale Rufusa zastałem bez marynarki, z podwiniętymi rękawami koszuli. Krawat wepchnął sobie między guzikami pod koszulę, żeby się nie pobrudził.

Stał przed ogromnym stosem żywności — owoców, warzyw, chleba, bułeczek, rogalików, naleśników, ciastek — z pojemnikiem czegoś w aero-

zolu. Wziął na cel bochenek krojonego białego chleba i opryskał go niebieskim tuszem.

— Wzięłeś czerwone? — spytał, nie oglądając się na mnie. Roześmiałem się. Własnym oczom nie wierzyłem.

— Co ty robisz?

Rufus opryskał dokładnie niebieskim tuszem kupkę bajgli.

— Wszystkie te artykuły są przeterminowane — powiedział, jakby to miało coś wyjaśniać. — Ale nie wolno nam tak po prostu wyrzucać żywności. — Psik, psik. Kilka rogalików z migdałami dostało przepustkę na podróż na spotkanie ze swoim twórcą. — Ludzie mogliby je potem wybierać ze śmietników.

Potrząsnąłem z oburzeniem głową.

— Co? Masz na myśli głodnych? Ubogich? Bezdomnych? Takich ludzi masz na myśli?

— Takich i nie tylko. Wszystkich, którzy by te artykuły wzięli i za nie zapłacili.

— No tak, to by było karygodne, prawda?

— Nie ja ustanawiam zasady. — Wzruszył bezradnie ramionami. — Wiem, tato. To bezprzykładne marnotrawstwo. Ale co ja mogę? Taka jest polityka firmy.

— Ty wykonujesz tylko polecenia, prawda?

Spojrzał na mnie i westchnął. Ręce miał umazane niebieskim barwnikiem.

— Nie moglibyście sprzedawać tego po obniżonych cenach? — spytałem. — Klientom? Albo pracownikom? Albo zwyczajnie rozdawać?

—Komu rozdawać, tato?

—Nie wiem. Jakimś głodującym nędzarzom Trzeciego Świata. Jakimś przytułkom dla bezdomnych.

—To zbyt skomplikowane — odparł i spryskał niebieskim tuszem partię muffinek z czekoladowym nadzieniem. — I prawdopodobnie naruszałoby przepisy sanitarne. Pozwaliby nas przed sąd.

—To wcale nie jest skomplikowane. — Z tymi słowami wziąłem bajgla i nadgryzłem go. Pyszny był. — Jeśli nie wolno wam tej żywności sprzedawać, to zastanówcie się, jak moglibyście przekazywać ją głodnym. Mówię całkiem poważnie, Rufusie. Bo to, co tu widzę, woła o pomstę do nieba. Otarł dłonią czoło.

— Robię tylko to, co do mnie należy, tato. Co ja mogę?

—Powiedz, że nie będziesz tego robił — poradziłem. — Postaw się.

—Nie mogę — westchnął. — Muszę z czegoś żyć. — Oddał pojemnik z barwnikiem drobnej dziewczynie w muzułmańskiej chuście na głowie. — Dokończ za mnie, Sophio, dobrze?

Patrzyłem, jak opuszcza rękawy, zakłada marynarkę i wyciąga krawat spod koszuli. Nie chciałem się z nim kłócić. Wszystko, tylko nie to. Musiałem jednak usłyszeć od niego, że zrozumiał. Że tak nie powinno być.

— Dziwny jest ten świat, nie? — powiedziałem, kiedy przechodziliśmy do sklepu pod plastikowymi taśmami. — Połowa planety chodzi głodna, a druga połowa spryskuje niebieskim tuszem ciastka z rodzynekami.

Nie spojrzał na mnie.

— Ja tu tylko pracuję — mruknął.

*

Nancy zajmowała z synkiem dwupokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze jednej z tych popadających w ruinę wiktoriańskich kamienic przy Finsbury Park, gdzie wycieraczka tonie pod stosami reklam dań na wynos, śmieciowej poczty i listów do lokatorów, którzy dawno tu nie mieszkają. Muzyka dolatywała z wielu kierunków jednocześnie. W powietrzu unosił się zapach wczorajszych kebabów. Gdzieś głęboko pod budynkiem przejechał z turkotem skład metra. Lara powiedziała mi, że Rufus spędza tutaj coraz więcej czasu, i chyba tylko patrzeć, jak przeprowadzi się na stałe.

Już w progu stało się dla mnie jasne, że z Nancy jest coś nie tak. Nie pozwoliła się pocałować Rufusowi, mnie zbyła zdawkowym pozdrowieniem, ale butelkę wina, którą przyniosłem, szybko zarekwirowała. Powiedziała, że spodziewała się nas wcześniej i zamówiona przez nią pizza na wynos już ostygła. Kiedy odchodziła w głąb mieszkania z małym Alfim płaczącym się pod gołymi nogami i domagającym pizzy oraz uwagi, Rufus cmoknął ją przepaszająco w tył głowy, a mojej uwagi nie uszło, że rośnie jej brzuch.

Alfie zaśmiewał się radośnie. A ja nie mogłem oderwać oczu od mojego syna, który uśmiechał się do mnie zadowolony z siebie jak kot, który przynosi do domu na wpół zaduszonego wróbla. Korciło mnie, żeby chwycić go za rękę i wiać z Finsbury Park — zbiec po schodach, wskoczyć do pierwszego lepszego autobusu i ratować mu życie, oszczędzić tego, w co chciał się wpackować na następne pięćdziesiąt lat.

Ale tego nie zrobiłem.

Po prostu patrzyłem na mojego syna i chciało mi się płakać. Spojrzałem znowu na jego włosy. Ta gęsta kiedyś blond czupryna przystrzyżona teraz w myśl polityki firmy, chyba naprawdę mu się przerzedzała. Linia włosów cofała się w zastraszającym tempie.

Nie, to niemożliwe. To jakieś przywidzenia. Na pewno przywidzenia. Mój syn łysieje, jego przyjaciółka, starsza od niego, jest w ciąży. Nie, to nie może być prawda. Za wcześnie na to. Widzę przyszłość. Tak będzie, jeśli pozostawię sprawy własnemu biegowi. I w tym momencie oberwałem między oczy kawałkiem kurczaka. Dziwne, że nie zauważyłem, jak nadlatuje.

Nancy, dusza towarzystwa, opędzając się od swojego niezdolnego bachora, kroїła pizzę na wynos w kuchni wielkości trumny. Była ładna, owszem, ale poza tym taka pospolita, taka pozbawiona gracji i opryskliwa, taka niewarta mojego mądrego, pięknego, dowcipnego, nierozsądnego chłopca.

— Mógłbyś przebierać w kobietach jak w ulegawkach — powiedziałem.

Rozkładał sztuczki na zniszczonym małym stole.

— Nie próbuj układać mi życia po swojemu — burknął.

— A dlaczego? Czy nie robią tego wszyscy rodzice? Oj, Rufusie, mógłbyś mieć każdą...

Znieruchomiał z nożem i widelcem w dłoni i spojrzał na mnie.

— A ja chcę ją — odrzekł z naciskiem. — Chcę Nancy. Nie potrafisz tego zrozumieć?

Zerknąłem w stronę kuchni.

— Jakoś nie — przyznałem.

Zajmując miejsce przy stole, odniosłem wrażenie, że zanurzam się w płytkim grobie. Nadbiegł Alfie i wbił swoje brudne paluszki w pizzę jak sęp szpony w rozjechaną na drodze padlinę. W powietrzu znowu zaczęły fruwać cząstki kurczaka.

— Oj, przestań, do cholery! — warknęła Nancy.

To była jej cała reprimenda. Przestań. Obchodziła z ponurą miną rozchwierutany stół, rozdzielając między nas pizzę Texas barbecue z plasterkami pepperoni pozwijanymi ze starości.

— Przestań! — powtórzyła, podnosząc głos i piorunując dzieciaka wzrokiem.

Za późno, pomyślałem.

i

*

Pierwsze, na co człowiek natyka się w więzieniu, to kobiety i dzieci. Całe ich tabuny. Nastoletnie mamusie z dziećmi na ręku i matki w słusznym wieku z nastoletnimi pociechami wyciągniętymi ze szkoły na widzenie z ojcem. Do tego mamy, które nie są już nastolatkami, a nie weszły jeszcze w wiek średni, ani młode, ani stare, ale z prawie już dorosłymi i gotowymi do posiadania własnych dzieci dziećmi. Wszystkie niosą paczki z papierosami i herbatnikami. Porządku pilnują cierpliwi jak owczarki strażnicy.

Bywałem już w wielu więzieniach. Ale nigdy jeszcze nie musiałem ustawiać się w kolejce. Nigdy nie byłem przeszukiwany, nie musiałem przechodzić przez liczne kontrole. Wystarczyło, że pokazałem legitymację, i od razu wpuszczano mnie z uśmiechem do środka. Tym razem dotarcie do

sali widzeń zajęło mi trochę czasu. On czekał tam już na mnie gotów do rozmowy, o której wiedział na długo przede mną, że będzie naszą pierwszą i ostatnią.

— Nie znaleźliśmy swojej mamy — zaczął. — Zostawiła nas. Odeszła. Nie wytrzymała. Ten ciągły brak gotówki, bo nasz stary kochał koniki. Może był inny mężczyzna. Nie wiem. Ale tato się potem nami opiekował. Wszystkimi. Czterech chłopaków, sześć dziewczyn i on sam z taką gromadą na karku. Niezwykłe jak na tamte czasy. I chyba na obecne też. A potem umarł. Nasz tato. W wieku trzydziestu dziewięciu lat. Zawał. Wykorkował w zakładzie bukmacherskim, odbierając wygraną. Wydawało mi się wtedy, że swoje lata już miał. Że i tak długo pociągnął. Dopiero później zrozumiałem, że kopiąc w kalendarz, był w kwiecie wieku. —Roześmiał się. — Ale ty chcesz pogadać o Franku.

Podał mi fotografię. Przedstawiała przystojnego mężczyznę z uniesionymi kciukami. Pozował do zdjęcia na jakiejś imprezie, trochę zawiany, ale szczęśliwy.

Uśmiechał się do mnie jego brat. Uśmiechał się do mnie Frank.

Nareszcie się spotykamy, pomyślałem.

— Byliśmy za mali, żeby samodzielnie o siebie zadbać. Frank był z nas najstarszy, a miał dopiero trzynaście lat. Trafiliśmy więc do sierocińca. Słyszałeś pewnie mnóstwo opowieści o tych przybytkach i podejrzewam, że większość z nich jest prawdziwa, ale nas one nie dotyczą. Bo mieliśmy siebie. I mieliśmy swojego najstarszego brata.

— Twój brat Frank — odezwałem się — zrobił coś nadzwyczajnego. Uratował życie kilku ludziom. Mogę zatrzymać tę fotografię?

— Nie — powiedział, odbierając mi zdjęcie. Wsunął je pod koszulę i zamilkł na chwilę. Potem rozejrzał się po sali widzeń i westchnął. — Nasz tato palił i pił — podjął opowieść. — A do tego niezdrowo się odżywiał. I serce tego nie wytrzymało. Ale powiedzieli nam, że przeżyłby, gdyby znalazł się dawca. Nie wiem. Może to i prawda. Przynajmniej mój brat to zawsze powtarzał. I dlatego nosił przy sobie tę kartę — małą niebieską kartę z czerwonym serduszkami.

Chciałem się dowiedzieć czegoś bliższego o rodzinie Franka. Przyszło mi na myśl, że mógłbym im w jakiś sposób pomóc. Albo przynajmniej zapewnić, że będę mu wdzięczny do grobowej deski. Jego brat wiedział tylko o jakiejś kobiecie i dziecku, ale szczegółów nie znał. Mało go to interesowało.

Chciał jednak, żebym zrozumiał.

— Frank był nicponiem. Złodziejem. Było z niego lepsze ziółko. Ale o nas dbał. I mnie to wystarczało. Ale potem zrobił ten jeden dobry uczynek na rzecz ludzi, których nawet nie znał, i tym uczynkiem odkupił wszystkie swoje dotychczasowe winy. Od dawna — chyba przez wzgląd na naszego starego, na ojca, którego trzeba szanować — nosił się z potrzebą zrobienia w swoim życiu choć raz czegoś dobrego. Był wychowankiem sierocińca. Ludzie zawsze patrzyli na niego z góry. Dostawaliśmy w szkole darmowe posiłki — masz pojęcie, jak się z tym czuliśmy? — Na wspomnienie darmowych szkolnych posiłków i całej reszty zabłysły mu oczy. — Ale zdecydował się na ten jeden jedyny dobry uczynek... i to czyni go człowiekiem lepszym, niż ty kiedykolwiek będziesz.

Kiwnąłem głową, uśmiechnąłem się i wstałem. Nadeszła pora dołączenia do kolejki kobiet z dziećmi czekających na wypuszczenie. Czas widzenia dobiegł końca.

— Człowiekiem lepszym niż my obaj razem wzięci — dorzuciłem.

TLR

Rozdział osiemnasty

Czekałem na niego pod supermarketem.

Przechadzałem się przed głównym wejściem, ignorując nieprzychylnie spojrzenia sklepowego detektywa nadzorującego rozładunek ciężarówki z tanim piwem. Jasny gwint, człowieku, myślałem. Nie dybię na te twoje siuśki. Na syna czekam.

—Tato — odezwał się Rufus. Spojrzałem na jego tandetny garnitur, na przerzedzające się włosy i zebrało mi się na płacz. Wyglądał starzej ode mnie.

—Masz — powiedziałem, wtykając mu w rękę kopertę. — Weź to i idź. — Popchnąłem go lekko. — No idź.

Popatrzył na kopertę. Nosila nadruk Flight Centre i widniał na niej rysunek jumbo jęta startującego w dziki błękitny przestwór. Ustąpiliśmy z drogi przed paletą z tanim piwem dla początkujących.

— Co to jest? — spytał Rufus.

—Prezent — odparłem. — Bilet do Bangkoku. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

—A czego ja mam szukać w Bangkoku?

—Wszystkiego — odparłem. — Zmiany klimatu. Przygód. Ucieczki.

—Ucieczki? Niby przed czym?

Spojrzałem na niego, żeby się upewnić, czy mówi poważnie. Stwierdziwszy, że jak najpoważniej, wziąłem go pod rękę. Ruszyliśmy w kierunku stacji metra.

— Samolot odlatuje za trzy godziny — wyjaśniłem, zerkając na zegarek. — Dojedziesz metrem do Paddington, a stamtąd lotniskowym autokarem na Heathrow.

Zatrzymał się. Po jego twarzy rozlał się powoli wyraz rozbawienia. Znałem ten niespieszny, wykalkulowany uśmiech. Zawsze tak się uśmiechał. Nadal był moim chłopcem. Właśnie dlatego nie mogłem mu na to pozwolić. Dlatego nie mogłem dopuścić, żeby wszystko zaprzepaścił. Nadal widziałem w nim dziecko, które kochałem.

— Nie lecę do żadnego Bangkoku — mruknął, nie ruszając się z miejsca. — Nic tam po mnie.

Chciał mi oddać kopertę z nadrukiem Flight Centre. Nie wziąłem jej.

— W Bangkoku jest życie — przekonywałem go. — Zresztą nie musisz siedzieć przez cały czas w samym mieście. Możesz sobie polecieć samolotem na którąś z wysepek.

Możesz pojechać pociągiem na północ. — Zacząłem wygrzebywać z kieszeni resztki moich pieniędzy. — Niewiele tego — przyznałem.

— Nie chcę twoich pieniędzy — powiedział, już się nie uśmiechając. — I nie chcę lecieć do Bangkoku ani nigdzie indziej. Moje miejsce jest tutaj.

Docisnął kopertę do mojej piersi. Blizna zapulsowała pod nią gniewnie. Wziąłem kopertę.

— Ludzie, co się z wami dzieje? — spytałem. — Znaczący... no, co? Co się z wami dzieje?

— O kim ty mówisz, tato?

— O twojej matce. O siostrze. O tobie. Zupełnie, jakbyście wszyscy... sam nie wiem... spali czy co.

Rufus patrzył na ciężarówkę stojącą przed supermarketem. Wyładowywali z niej właśnie ostatnią drewnianą paletę z siuszkowatym piwem. Dział z alkoholem był zaopatrzony na najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Zadudnił zapuszczany dieslowski silnik.

— Ja według ciebie śpię, tato? — spytał. Pokręciłem głową.

— Ty nie — odparłem. — Z tobą jest gorzej bo według mnie zapadłeś w śpiączkę.

Spojrzał na mnie urażony. Tak łatwo było tego chłopca zranić. Wątpiłem, czy przetrzyma choćby trzydzieści minut w gniazdku, które z takim samozaparciem sobie wije, i dobijało mnie to.

— Wiesz co? Zostaw mnie w spokoju — powiedział łamiącym się głosem. — Mówię poważnie. Trzymaj się ode mnie z daleka.

I odszedł. Zawołałem za nim kilka razy, ale się nie obejrzał. Dogoniłem go w paru susach i z całej siły cisnąłem kopertę z biletem do Bangkoku w plecy marynarki jego tandetnego garnituru. Zsunęła się po nich i sfrunęła niechciana do szarego północnolondyńskiego rynsztoka. Parsknąłem śmiechem. Podsunąłem mu szansę znalezienia się jutrzejszego wieczoru w Bangkoku z zimnym piwem Singha w dłoni. A on co wybrał?

Ależ z was dumnie, pomyślałem. Dobrana trójka patentowanych durniów.

*

Przypominało to bardziej katedrę niż kryty basen kąpielowy.

Staliśmy po płytszej stronie basenu, z którego spuszczone woda, i patrzyliśmy. Sześć torów opadało najpierw łagodnie, a potem nurkowało raptownie pod o wiele większym kątem, jak dno oceanu, by na przeciwległym końcu sięgnąć głębokości przewyższającej wzrost człowieka. Po płytszej stronie znajdowała się nisza z fontanną z brązu, a na płytkach, którymi tę niszę wyłożono, wygrawerowana była syrena baraszkująca z dwoma delfinami. Winston przykucnął i pogładził pieszczotliwie obrys twarzy syreny.

— Zobacz tylko — powiedział. — To biały sycylijski marmur. — Wstał i ruchem głowy wskazał na ściany. — Tam też. Ci wiktoriańscy budowlancy znali się na swojej robocie.

Ściany zakrzywiały się łukowato ku sufitowi pełnemu świetlików i kiedy snopy słonecznego światła przesączały się przez szkło padały na biały marmur, ta stara publiczna pływalnia zaczynała wyglądać jak niebiań-

ski dworzec kolejowy. Po głębszej stronie basenu ścianę zdobiło coś na kształt herbu przedstawiającego lwa i jednoroźca obejmujących się ni to w tańcu, ni w zapasach.

— Zbudowano to za starych dobrych czasów — ciągnął Winston. — Kiedy komuś przychodziło jeszcze do głowy, że klasie robotniczej też należy się wypoczynek w odrobinie luksusu.

Obok nas przeszło kilku mężczyzn w kaskach ochronnych. Nieśli narzędzia i rozmawiali po polsku. Zeskoczyli do basenu. Jeden z nich zamachnął się wielkim młotem i uderzył w płytkę, jakby na próbę. Rozprysła się z brzękiem tłuczonego szkła. Z zewnątrz dobiegał harmider trwającego wyburzania, podniesione głosy usiłowały przekrzyczeć ryk maszyn.

— Co oni robią? — spytałem.

Winston roześmiał się.

— Stawiają luksusowy apartamentowiec — wyjaśnił. — A beze mnie i bez ciebie ich ekspresy do cappuccino do Bożego Narodzenia znajdują się pod wodą. — Klepnął mnie w plecy. — Wiesz, gdzie szukać zaworów głównego odpływu?

Kiwnąłem głową.

— Pokazywałeś mi. Winston nie krył zadowolenia.

— Nauka nie poszła w las — pochwalił mnie. — No to do dzieła!

Zszedł po drabinie do basenu i zbliżył się do ludzi z młotami. Potrzaśkane płytki pod ich buciorami przywodziły na myśl połamane zęby. Winston podniósł ręce. Spojrzeli na niego.

— Zaczekać z tym, dopóki ja nie powiem, że już można! — krzyknął, wychodząc chyba z założenia, że jeśli podniesie głos, Polacy szybciej zrozumieją, co do nich mówi.

Kiedy ruszałem na poszukiwanie zaworów głównego odpływu, pływalnia zaczęła się zapełniać. Mężczyźni w garniturach. Kobiety z notatkami. Jeszcze jacyś budowlańcy. I wszyscy, w odróżnieniu od nas, w kaskach ochronnych na głowie.

Wtem gruchnęło jak z armaty. Spojrzałem w górę. W ścianie naprzeciwko pojawiła się pionowa szpara, rozpoławiając herb z lwem i jednorożcem. Wyglądało to tak, jakby te raptownie od siebie odskoczyły i w miarę poszerzania się szpary dalej cofały. Potem ściana runęła w kłębach wieloletniego pyłu. Teraz odruchowo cofnęli się wszyscy, zakrywając dłońmi twarze przed szarym tumanem. Za powstałym rumowiskiem widziałem buldożer, dzienne światło i ludzi w kaskach.

Każdy przerwał to, co aktualnie robił, i patrzył, jak wali się z hukiem marmurowa ściana, a na jej gruzach pojawia się nowy świat. Drobiniki pyłu drapały mnie w gardło, wciskały się do oczu.

*

Kobieta, która mi otworzyła, była zapewne matką Larry'ego.

Wysoka, przy tuszy, o twarzy promieniującej zatroskaniem i dobroduszością. Stała w progu i patrzyła, jak przestępuję z nogi na nogę, ściskając w jednej ręce bukiet kwiatów, a w drugiej butelkę wina. Dobrze wy-

chowany gość, którego nikt nie zawiadomił, że kolacja została odwołana. Wnuki wyglądające spod pach babci miały zaczerwienione od płaczu oczy.

— To pan nic nie wie? — zdziwiła się kobieta.

*

Przed wejściem na oddział stali Geoff i Paul.

Uściskaliśmy się nieporadnie — powitanie mężczyzn, którzy niewiele mają ze sobą wspólnego prócz człowieka, który leży teraz na szpitalnym łóżku.

— Co się stało? — spytałem.

— Podejrzewają przewlekłe odrzucenie przeszczepu — powiedział Geoff. — Ale to jeszcze nic pewnego.

— Jak długo wytrzymał?

— Pięć lat — mruknął Paul.

— Tak — westchnął Geoff. — Już czas.

Wszedłem na zaciemnioną salę. Larry spał. Tak samo Molly, jego żona, siedząca przy łóżku i trzymająca go za rękę. Larry miał na szyi plaster w miejscu, gdzie ostatnio wprowadzano cewnik, żeby dokonać biopsji. Przeszedł już pewnie kilkanaście tych zabiegów pobrania próbki tkanki serca. I teraz jego organizm i pożyczone serce miały już tego dość.

Molly drgnęła i spojrzała na mnie.

— Posiedzę przy nim — zaproponowałem. — Wracaj do domu, do dzieci.

No i zostałem z przyjacielem. Geoff i Paul weszli do nas, posiedzieli z godzinę i poszli. Mieli rodziny. Na mnie nikt nie czekał.

Pięć lat, myślałem. I szlus. Arterie wieńcowe doprowadzające krew do nowego serca grubiały i zwężały się od lat. Larry'emu robiono regularnie angiografię i prześwietlenia naczyń krwionośnych, więc prawdopodobnie zdawał sobie dobrze sprawę, że to nadciąga. I tak był w czepku urodzony.

Nie zaatakował go nowotwór skóry ani węzłów chłonnych będący często efektem ubocznym wielu transplantacji. Brał leki. Pomagał innym. Mnie pomagał.

To, co przytrafiło mu się teraz, po latach życia z pożyczonym sercem, było właściwie do przewidzenia. Tyle spraw może pójść nie tak, pomyślałem. Lepiej o nich nie myśleć, bo można od tego zwariować. A przecież myślałem.

Zdrzemnąłem się chyba, bo aż podskoczyłem, słysząc jego głos.

— No — powiedział. — To ja praktycznie jestem już po dogrywce.

— A chcesz w nos? Roześmiał się.

— Układałeś sobie kiedyś listę tego, co chciałbyś osiągnąć, zanim wykorkujesz, George?

— Nie.

— Ja też nie. — Zamilkł na chwilę. Uświadomiłem sobie, że już późno. Z korytarza dolatywały charakterystyczne odgłosy wieczornej szpitalnej krzątania. — Między innymi dlatego, że wszystko, czego mógłbym pragnąć, właściwie samo do mnie przyszło. — Uśmiechnął się. — Prawdę mówiąc, to niewiele miałem tych pragnień. Patrząc, jak dorastają dzieci.

Zestarzeć się u boku żony. Życ w szczęśliwej rodzinie, dopóki dzieci nie założą swoich własnych rodzin.

— A nie marzyłeś o skoku ze spadochronem? — spytałem. — O wdra-
paniu się na Mount Everest?

Roześmiał się.

— To nie dla mnie — powiedział, wygiął się w łuk i opadł z wes-
tchnieniem na łóżko, a ja wyczułem, że cierpi. Spytałem, czy mu coś podać.

Niczego nie chciał.

— Co u Lary? — spytał. — Jak dzieci?

— Wszystko w porządku — mruknąłem.

I uświadomiłem sobie teraz, że zawiodłem ich wszystkich. I nie mam
nic na swoje usprawiedliwienie. Marny był ze mnie ojciec, marny mąż,
marny mężczyzna. Sam byłem sobie winien, że straciłem żonę, syna i cór-
kę. Chodziłem własnymi ścieżkami. Najpierw jako George gliniarz. Potem
j jako George człowiek poszukujący swojego miejsca w życiu. ^J No i zosta-
łem sam. Czy mogłem zaprzeczyć temu, że beze mnie jest im wszystkim
lepiej?

— Obiecay mi, że będziesz się delectował każdym sand-wiczem —
powiedział. Oczy miał teraz zamknięte.

— Byle nie pochodził ze szpitalnej kuchni — zastrzegłem.
Uśmiechnął się i po chwili rytm jego oddechu uległ

zmianie. Zmorzył go sen. Jednak nie ten naturalny, lecz wymuszony
lekami, szpitalny. Ja też zasnąłem na krześle przy jego łóżku. Była to kolej-
na żalosna imitacja snu. Sen śmieciowy. Ale musiałem tak drzemać z kilka

godzin, bo kiedy się ocknąłem, za oknem już dniało, ptaki wszczynały poranny harmider, a w sali robiło się coraz jaśniej.

Spojrzałem na twarz przyjaciela i ta wydała mi się dziwnie ściągnięta. Przełknąłem z trudem, wstałem i przyjrzałem się jej z bliska. Wykrzywił ją grymas, którego nigdy dotąd na niej nie widziałem, którego nie widziałem nigdy w życiu.

Sięgnąłem po metalowe pudełeczko z przyciskiem do wzywania pielęgniarki, i w tym momencie Larry się poruszył, pojękując gdzieś z otchłani swojego wymuszonego snu. Odłożyłem pudełeczko.

W tej sali leżał martwy człowiek. Człowiek przytłoczony okolicznościami, w jakich opuszcza go życie. Człowiek dławiony rozpaczą.

Ale to już nie był Larry.

*

Doszedłem do końca peronu i oparłem się plecami o ścianę. Wkrótce powinien nadjechać pierwszy tego dnia skład.

Oprócz mnie stała tu tylko para w średnim wieku. Są ludzie, którzy zawsze czekają na pociąg metra na końcu peronu, żeby choć na chwilę uciec od zgiełku miasta, i oni mi na takich wyglądali. Czy można to uznać za dziwactwo? Moim zdaniem nie. Popatrywali na mnie przez chwilę spod oka, a potem powoli, jak gdyby nigdy nic, ruszyli w kierunku środka peronu, byle dalej ode mnie, a bliżej zwyczajnych ludzi i bliżej żółtych światełek układających się w nazwę następnej stacji, na której zatrzyma się nadjeżdżający skład.

BAKER STREET — JEDNA MINUTA, przeczytałem.

Trzy szybkie kroki i znalazłem się na samym skraju peronu. Spojrzałem w dół i między czarnymi szynami zobaczyłem gorączkową krzątanicę. Szczury, pomyślałem, i w tym momencie z tunelu powiało chłodem i dał się słyszeć odległy, przytłumiony łoskot.

Zajrzałem w ciemność, ale niczego nie zobaczyłem. Łoskot przybierał jednak na sile, wzmagał się prąd powietrza. Moja blizna zaczęła pulsować. Przełknąłem ślinę i przeniosłem wzrok z szyn na wiszącą na przeciwległej ścianie reklamę. *Lepszego próżno szukać*, zapewniała. Uświadomiłem sobie, że nie wiem, co się ostatnio reklamuje.

Łoskot rozsadzał mi już głowę. Z wylotu tunelu dał wicher. Niemal wyczuwałem wstrętą krzątanicę między szynami.

I wtedy w kieszeni dzinsów zawibrowała mi komórka. Dziwne to było. Wprost niemożliwe. Tu, na dole, znajdowałem się przecież poza zasięgiem.

Niecałą godzinę później siedziałem już za kierownicą forda capri i użerając się z ręczną skrzynią biegów włączyłem się do ruchu w Hackney. Pierwsza zobaczyła go mama.

— Tam jest! — krzyknęła z ulgą i czymś jeszcze w głosie. Zaczęła go wołać. To faktycznie był ojciec. Stał w piżamie, szlafroku i laczkach przed tarasem wiktoriańskiego domu, z okna balkonowego osadzonego w obłazącej z tynku ścianie przyglądało mu się z zaciekawieniem kilkoro dzieci o śniadych twarzach.

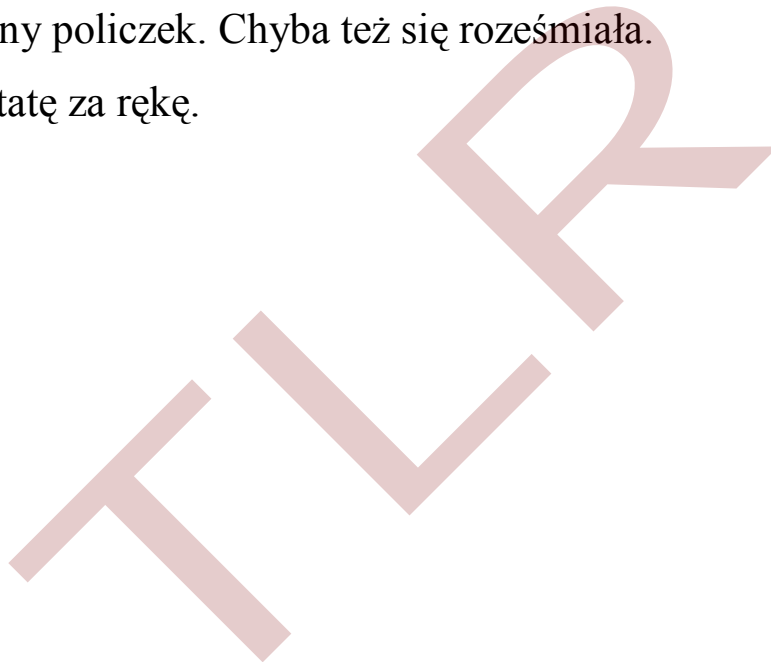
— Bertie tam jest — powiedział ojciec. — Chcę się zobaczyć z Bertiem.

Znałem ten stary dom. Przychodziłem tu jako dziecko. Ale kiedy miałem pięć lat, babcia umarła i kwaterunek go przejął.

Nie chciało mi się wierzyć, że to stare osiedle jeszcze istnieje. Bertie był starszym bratem taty. Bertie zginął na plaży w Normandii ponad sześćdziesiąt lat temu. Dzieci w oknie śmiały się z taty, jak to dzieci. W ich wieku też bym się śmiał.

Mama otoczyła tatę ramieniem i delikatnie próbowała go odciągnąć. Ale on się opierał. Chciał się zobaczyć ze swoim bratem. Mama pocałowała go w nieogolony policzek. Chyba też się roześmiała.

Wziąłem tatę za rękę.



Rozdział dziewiętnasty

Nie było to najlepsze miejsce na pochówek. Tylko czy są w ogóle miejsca, które można uznać za szczególnie się do tego celu nadające? Chyba są, ale to w każdym razie do takich się nie zaliczało.

Nad narożnikiem cmentarza przebiegał wiadukt i wszelkie szanse na spokojny wieczny odpoczynek niweczył łomot przejeżdżających po nim, wyładowanych po brzegi ciężarówek. To gigantyczne pole nagrobków w pięćdziesięciu odcieniach bieli ciągnęło się po horyzont i przywodziło na myśl cmentarz poległych w jakiejś zapomnianej wojnie.

Obawiałem się, że odnalezienie jego grobu zajmie mi trochę czasu. Bo nie był nowy, nie wieńczył go kopczyk świeżo wruszonej ziemi na samym końcu rzędu innych mogił. Nowe groby łatwo znaleźć. Ale on leżał tu już jakiś czas i miejsce jego wiecznego spoczynku otaczały pewnie podobne do siebie nagrobki.

Jednak grób Franka Twista wyróżniał się spośród reszty. Rozpoznałem go od razu.

Po kwiatach, w których tonął.

Ruszyłem w tamtym kierunku i kiedy byłem już blisko, stwierdziłem, że stos ten tworzą i świeże, i przywiędłe, i całkiem zeschnięte rośliny. Miałem przed sobą kwiaty kwitnące, przekwitające, więdnące, usychające i rozsypujące się w proch — symbolizujące jakby wszystkie etapy życia, od narodzin po śmierć. Kwiaty kupione na stacji benzynowej, kwiaty z eleganckich kwiaciarni, a także kwiaty polne. Dowody wdzięczności składane tu w podzięcie za darowanie nowego życia. Odgarnąłem kilka najstarszych bukietów i oparłem o jego nagrobek swoją wiązanke.

Frank Twist

1988—2007

Masz ukochany brat

Wiedziałem, że powinienem zrobić coś jeszcze. Pomodlić się. Zadu-
mać. A przynajmniej otrząsnąć się z tego tępego skrepowania, które od-
czuwałem, stojąc nad grobem.

W końcu podziękowałem tylko w duchu temu człowiekowi,
którego nawet nie znałem, i, wdychając zapach kwiatów zmieszany ze
smrodem spalin, ruszyłem w stronę bramy cmentarnej.

*

Basen otoczony był białym drewnianym płotkiem z osadzoną w nim, kołyszącą się na wietrze furtką. Winston trącił czubkiem buta coś leżącego w trawie.

— No zobacz tylko — powiedział. Nigdy nie słyszałem w jego głosie takiego zgorszenia. Schylił się i podniósł z ziemi zardzewiałą, popuszczoną kłódkę. Z otwartych okien domu za nimi dobiegał śmiech i strzelanie wyciąganych korków. — Chałupa warta miliony, a szkoda im paru funtów na porządną kłódkę.

Przez trawnik, szybkim krokiem, szedł w naszą stronę jakiś mężczyzna, starając się nie uронić ani kropli z kieliszka, który trzymał w dłoni. Ludzie wracali z urlopów, wracali z całego świata. Mężczyzna był opalony i dobrze odżywiony, w moim wieku, ale z innej bajki. Chciał się nas stąd pozbyć, zanim rozpocznie się impreza. Czyścicieli basenów. Nie wiedział, że nie jesteśmy czyścicielami basenów. Byliśmy fachowcami od hydrauliki.

— Długo to jeszcze potrwa? — spytał Winstona. A zaraz potem, zapominając się jakby, dorzucił szybko: — Basen, że mucha nie siada, kolego.

Basen rzeczywiście prezentował się wspaniale. Powierzchnia wody przypominała turkusową tafłę szkła nakrapianą złotem. Ani jednego listka w zasięgu wzroku, pomyślałem z dumą.

Z domu wysypywali się goście. Chude jak szczapy, żywotne kobiety i ich zażywniejsi, bardziej ślamazarni towarzysze. Przez gwar ich rozmów przebił się płacz dziecka.

— Czy są tu dzieci? — spytał Winston.

— Tylko Tarquín — odparł mężczyzna, oglądając się na dom.

— A umie pływać? — dociekał Winston.

— Ma dopiero roczek — wyjaśnił mężczyzna, zastanawiając się pewnie, co te pytania mają wspólnego z jego imprezą. Z domu wyszło jeszcze kilkoro gości, wśród nich uwijały się służące. Filipinki w czarnych sukienkach z tacami pełnymi drinków i tartinek, opiekunki do dzieci z Europy Wschodniej starające się okiełznać rozbrykaną dzieciarnię.

Winston podał mężczyźnie popusztą kłódkę i ten wziął ją wolną ręką, tą, w której nie trzymał kieliszka, i obejrzał.

— No to na odchodnym zrobimy z tym porządek — oświadczył Winston. — Z tyłu furgonetki jest pudełko z kłódkami — zwrócił się do mnie. Przynieś jedną.

Mężczyzna spróbował się uśmiechnąć. Widziałem, że chce mieć nas jak najszybciej z głowy.

— Nie róbcie sobie kłopotu — wybąkał.

— To żaden kłopot — uciał Winston.

Mężczyzna podjął ostatnią próbę wyproszenia nas z posesji przed rozpoczynającą się balangą.

— Nie, naprawdę — powiedział. — To nie do was należy. Winston zgromił go spojrzeniem.

— A żebyś pan wiedział, że do nas.

*

Odebrałem zaspany w trakcie trzeciego dzwonka. To była Ruby, niezmieniona, taka jak dawniej.

—Tato? — zaczęła głosem tak cichym i wystraszonym, że przypomniałem ją sobie jako czterolatkę u dentysty, małą dziewczynkę o błyszczących oczkach, która, stawiając pierwsze kroki, nie chciała pić nic innego, tylko sok jabłkowy, i miała teraz ubytki w dwóch zębach. Jeśli kochasz je od pierwszego dnia, to one dla ciebie nigdy tak naprawdę nie dorastają.
— Możesz po mnie przyjechać?

— Mogę. — Usiadłem na łóżku i namacałem w ciemnościach budzik. Żołądek podszedł mi do gardła, kiedy stwierdziłem, że już trzecia w nocy.
— A co się stało?

Nie odpowiedziała. W słuchawce zaszumiało. Dzwoniła pewnie z jakiejś łazienki i odkręciła kran, żebym tylko ja ją słyszał. Zaszumiało jeszcze głośniejsze. Domyśliłem się, że spuściła dodatkowo wodę w sedesie.

— To przyjedziesz?

— Oczywiście, aniołku. — Zupełnie już rozbudzony, przytrzymując ramieniem słuchawkę przy uchu, naciągnąłem dżinsy. Ruby coś jeszcze powiedziała, ale prawie szeptem.

— Mów głośniejsze.

— Nie mogę.

Ogarniała mnie coraz większa panika.

— Bo co? Gdzie ty jesteś? Co się stało?

— Masz długopis, tato?

— Niepotrzebny mi długopis. Mów, gdzie jesteś. Ledwie podała mi adres, ktoś zabębnił tam pięścią w drzwi.

I dał się słyszeć męski głos. Ruby przerwała połączenie.

Kiedy wypadałem na korytarz, z toalety wyszedł tato.

— Obudziłem cię? — spytał.

— Nie, tato.

— Tylko sikałem. Niestety, ostatnio zajmuje mi to dobrą godzinę. Czasami robię sobie w trakcie przerwę na odpoczynek. Herbatkę wypiję, przegryzę ciasteczką. Jak w pracy.

Zszedł za mną na dół, do kuchni. Usiadł przy stole, szykując się wyraźnie do dłuższej pogawędki.

— Muszę wyjść — powiedziałem, zgarniając klucze. — Nie mogę teraz rozmawiać.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, jakby dopiero teraz zauważył, że jestem ubrany.

— Które dla odmiany narozrabiało? — spytał. Odwróciłem się i spojrzałem na niego.

— Ruby — powiedziałem. — Dzwoniła... Ma jakieś kłopoty. Jadę po nią.

— Pojadę z tobą.

— Nie trzeba — rzuciłem. — Ale dzięki za dobre chęci.

— Zawiozę cię — nie ustępował. — Swoim capri. Chyba że wolisz popedałować tam na rowerze?

No i postawił na swoim.

Ale najpierw wrócił do swojej sypialni i słyszałem, jak rozmawia z mamą. Zszedł na dół w dresie naciągniętym na piżamę. Spod ściągacza na nadgarstku wystawał mankiet jej rękawa w staromodne paski. Zostawiliśmy

za sobą przedmieścia, dotarliśmy do centrum miasta i przejechaliśmy na drugą stronę rzeki. Ojciec prowadził pochylony nad kierownicą, wyężając wzrok, tak jakby chciał nim przebić gęstą mgłę, chociaż noc była czysta jak kryształ. Dziękowałem Bogu, że ulice są puste.

Zanim ruszyliśmy, podałem mu adres, który wprowadził niewprawnie do terminalu GPS-u, a potem już się do siebie nie odzywaliśmy. Stosując się do wskazówek podawanych mechanicznym żeńskim głosem, trafiliśmy na jakiś placyk w New Cross. W mieszkaniu na pierwszym piętrze paliło się światło. Przez pootwierane okna buchala muzyka. Straszna muzyka.

— Ale, cholera, łupanka — skrzywił się tato.

— To Fifty Pence — wyjaśniłem.

— Więcej niewarci — orzekł tato. — I to nawet z uwzględnieniem inflacji. Jak się tam dostaniemy?

— Chyba zapukamy. Albo zadzwonimy. A ty co proponujesz? Wykopać drzwi?

— To dla mnie nie pierwszozna.

Wysiedliśmy z capri. Wiedziałem, że szkoda czasu na perswadowanie tacie, żeby ze mną nie szedł. A zresztą co tu ukrywać, pewniej się czułem, mając go u swego boku. Chociaż swoje lata już miał i sypiał w piżamie w paski. Bo mój tato niczego się nie bał.

Nacisnąłem guzik domofonu pod numerem 2 i drzwi od razu się otworzyły. Przeciąg zmiotł pod ścianę ulotki śmieciowej poczty. Naszym oczom ukazała się typowa dla komunalnych budynków obłaząca z farby, zapuszczona klatka schodowa. Weszliśmy po trzeszczących schodach na piętro i zapukaliśmy do drzwi. Żadnej reakcji. Zapukałem energiczniej, a potem

jeszcze raz i jeszcze, dopóki nie otworzył nam młody nieogolony, przymulony mężczyzna. Facet z samochodu. Stojąc, wyglądał na wyższego.

— Przyszedłem po córkę — oświadczyłem. Rozśmieszyło go to.

Poprowadził nas w głąb mieszkania. Tato szedł za mną, pokaszując. W powietrzu wisiał mdląco słodki odór tytoniu i trawki.

Kolejny pokój, a w nim trzech mężczyzn. Spodziewałem się małolatów, ale to byli mężczyźni. Jeden z nich związał właśnie skręta, dwaj pozostali grali w jakąś grę wideo. Na ekranie wielkiego płaskiego telewizora płonęło miasto. Wśród tej pożogi uwijali się żołnierze roboty, strzelając do wszystkiego, co się rusza. A gdzie Ruby?

— On tu przyszedł po córkę — wyjaśnił nasz przewodnik i wszyscy gruchnęli śmiechem. Nie wiedziałem, co ich tak ubawiło. Ten związający skręta, spasiony skin, spojrzał na mnie.

— Która to, koleś? — spytał.

— On nie jest żadnym twoim zasranym koleśkiem — wtrącił się mój ojciec, a oni znowu się roześmieli.

Ale już nie tak głośno.

Tato wyszedł z za moich pleców i wyjął spasionemu skinowi skręta z palców. Rozejrzał się i przyhartował go w przepelnionej popielnicze.

— Skończ z tym, bo nie urośniesz — warknął.

Wiedział, jak się to robi — jak się przejmuje inicjatywę.

Jak po wejściu do pomieszczenia pełnego obcych wzbudzić u nich od razu respekt do swojej osoby. Nadal to potrafił. Ale był już stary i niedomagający. A tamci mieli nad nami liczebną przewagę.

— Armia tatusia — zakpił ten, który nas wpuścił.

— Tak — mruknął spasiony skin, wpatrując się w mojego tatę. Widziałem, że chce tu grać pierwsze skrzypce. Takich łatwo rozpoznać. Uśmiechał się teraz. Wstali wszyscy. — Na górze — odezwał się skin, wskazując ruchem łysej głowy spiralne schodki. Uwierzyłby kto, że to mieszkanie jest takie duże?

— Wy przodem, grubasie — powiedział tato.

Cała czwórka patrzyła przez chwilę na tatę. Potem wstąpili na spiralne schodki. Ja z tatą zamykaliśmy pochód.

Ruby i jeszcze jakaś dziewczyna siedziały ramię w ramię na sofie. Ruby spojrzała na mnie i na dziadka, a potem wbiła wzrok w dywan. Druga dziewczyna cicho płakała.

— Idziemy — rzuciłem. Żadnej reakcji.

Spasiony skin usiadł na końcu sofy, zarzucając potężne ramiona na oparcie. Należał do facetów, którzy spędzają mnóstwo czasu na siłowni i czują się zobowiązani do noszenia koszulek bez rękawów. W oczach Ruby zobaczyłem strach.

— Nic ci nie jest, aniołku? — spytałem, a ona czym prędzej pokręciła głową. Lecz nadal nie wstawała z sofy.

— Cała i zdrowa — opowiedział zamiast niej spasiony skin.

— Nie ciebie pytał, grubasie — warknął tato. Spasiony skin wstał.

— Dziadku — wycedził — zaczynasz mnie wkurzać. Wiesz, że wlałeś tu bez zaproszenia? Gdybyśmy wezwali policję, uznaliby cię za włamywacza.

— Sam jestem policjantem — poinformował go tato i uśmiechnąłbym się, gdybym nie był taki przestraszony.

— Nikt ich tutaj siłą nie zatrzymuje — odezwał się ten, który otworzył nam drzwi, ten zarośnięty z samochodu. I chociaż był dobrze zbudowany, wyczuwałem w nim szkodliwego chwasta, typa, który zawsze podczepia się pod lokalnego watażkę. Był niebezpieczny, bo dla przypodobania się nie cofnąłby się przed niczym. Ale pierwszego ruchu z własnej inicjatywy by nie wykonał. Spojrzałem spasionemu skinowi w oczy.

— No, idziemy — ponagliłem dziewczyny, nie spuszczać z niego wzroku.

I nadal żadnej reakcji.

— Mogą iść, kiedy chcą — odezwał się skin. Popatrzył na nie groźnie. — Chcecie iść? — spytał.

Spojrzałem na Ruby. Siedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę.

— Nie wiem — mruknęła.

— Ona nie wie — prychnął kpiąco jeden z mężczyzn. Podeszedłem do sofy i wziąłem córkę za rękę. Wziąłem też

za rękę tę drugą, w której rozpoznałem jej koleżankę ze szkoły i z placu zabaw, gdzie dokazywały razem, kiedy były jeszcze malutkie.

— Idziemy — zdecydowałem i pociągnąłem je za sobą do schodów.

Stojący już tam tato przepuścił nas przodem. Mężczyźni wymienili spojrzenia. Zaczęliśmy schodzić — dziewczęta pierwsze, ja za nimi, tato na końcu. Usłyszałem przyciszone głosy. Mężczyźni naradzali się przez chwilę, a potem zbiegli za nami po schodach. Niczego dobrego to nie wróżyło.

— Nieładnie, nieładnie — powiedział spasiony skin.

Zatrzymałem się, odwróciłem i patrzyłem, jak podchodzi.

— Mieliśmy tu małą imprezkę — dorzucił jeden z mężczyzn.

Stałem i czekałem. Tato z dziewczętami szli dalej. Usłyszałem, jak otwierają się drzwi mieszkania, a potem szybkie kroki na schodach. Nie spuszczałem oczu ze stojącego przede mną spasionego skina.

— No to już po imprezce — wycedziłem, a kiedy skoczył na mnie, wyszarpnąłem pistolet z kieszeni kurtki i przystawiłem lufę do tej wstrętnej spasionej gęby.

— Spokojnie — wykrztusił, unosząc ręce. — Tylko spokojnie.

— To moja córka — powiedziałem drżącym głosem. Drżałem cały i nie byłem w stanie nad tym zapanować. — A jak jeszcze raz się do niej zbliżysz, to zatłukę jak psa i niech mnie zamykają, i tak będę szczęśliwy, że to zrobiłem. Rozumiemy się?

Pokiwał skwapliwie głową.

Odwróciłem się do niego plecami z zamiarem skierowania się do drzwi. Nie miałem tu już nic do roboty i powinienem był po prostu wyjść. Ale to było silniejsze ode mnie. Odwróciłem się znowu i uniosłem pistolet. Skulili się wszyscy z przerażenia i z rękoma w górze opadli na klęczki. Przystawiłem lufę pistoletu do ucha spasionego skina. W pokoju zaległa martwa cisza, którą mąciły jedynie cichutkie skomlenia. Spasiony skin zeszczął się w spodnie. Nacisnąłem spust, spust pistoletu Tęczowego Rona. Rozległ się metaliczny trzask w niczym nieprzypominający odgłosu, z jakim iglica natrafia na pustą komorę prawdziwej broni. Był to odgłos, jaki wydaje zabawka.

— Bach, bach — powiedziałem. — I nie żyjesz.

I wyszedłem, chowając po drodze atrapę pistoletu do kieszeni. Słyszałem, jak mężczyźni obśmiewają spalonego skina. Ale jemu nie było wcale do śmiechu. Dogonił mnie u szczytu schodów. Mokra plama w kroku spodni powiększała się.

— Ty, ojciec — warknął — pozwól, że opowiem ci to i owo o twojej córce.

Tylko tyle zdążył z siebie wyrzucić, bo w tym momencie przyładowałem mu prawym prostym w żołądek i poprawiłem lewym sierpowym w szczękę, która pękła z zaskakująco donośnym trzaskiem. Padając, oberwał jeszcze w usta i chociaż ten ostatni cios odrzucił go ode mnie, zdążyłem jeszcze poczuć pod pięścią kruszące się zęby. Stoczył się ze schodów jak kaskader z nadwagą i znieruchomiał u stóp czekających na mnie taty i dziewcząt.

— Kiedy nauczyłeś się boksowania? — spytał tato.

— Nie wiem — wysapałem z walącym sercem.

*

Było jeszcze ciemno, kiedy dotarliśmy do domu.

Paliło się we wszystkich oknach, Lara stała w jednym z nich i na nasz widok otworzyła drzwi. Wyciągnęła ręce do Ruby, ale ta przeszła obok niej bez słowa.

Kiedy patrzyliśmy we trójkę, jak wspina się powoli po schodach, ogar-
nęło mnie znajome, towarzyszące mi kiedyś często uczucie, którego do-
znawałem, kiedy spuszczone na chwilę z oka wybiegała na jezdnię albo
tańczyła na stoliku zastawionym kieliszkami, albo sięgała po zapaloną
świecę, albo zwisała z drabinek głową w dół dopóty, dopóki buzia nie zro-
biła jej się czerwona jak burak—to uczucie, które nachodzi rodzica, którego
dziecku groziło poważne niebezpieczeństwo, ale wszystko szczęśliwie się
skończyło, gniew zmieszany z ulgą tak wielką, że człowiek w końcu nie
wie, czy płakać, czy krzyczeć z radości.

— Nic jej nie jest — uspokoiłem Larę. — Ale zostaw ją na razie
samą.

Spojrzała na mnie, potem na mojego tatę i pokręciła głową. Włosy
miałem w nieładzie. Trzymałem się za startą na kłykciach dłoni. Mój ojciec
poklepał Larę po ramieniu, tak jakby chciał powiedzieć: Te dzieciaki, co?

— Krew ci leci — zauważyła.

— Zadrapanie — mruknąłem.

— Ale gdzie ona była? Co się stało? Może zadzwonić na posteru-
nek policji i poprosić, żeby ktoś tu przyszedł?

Spojrzałem na swojego starego i uśmiechnąłem się. *Sam jestem poli-
cjantem.*

— Chodzi mi o prawdziwych policjantów — powiedziała Lara —
nie o was dwóch.

— Nic jej nie jest — powtórzyłem. — Najadła się trochę strachu,
ale już jej przeszło. Zapewniam cię.

Słyszeć było, jak Ruby tłucze się po swoim pokoju. A ja widziałem, że to wszystko — ulga, nerwy, stres związany z naszą rozłąką — osiąga u Lary masę krytyczną. Twarz jej stopniowo tężała.

— Ta mała...

Dotknąłem jej ramienia. Urwała i spojrzała na mnie.

— To jeszcze dziecko — starałem się ją uspokoić. — Myślę, że to wszystko tłumaczy, Laro.

Weszliśmy do kuchni i Lara zaparzyła herbatę. Posiedzieliśmy trochę, a potem zostawiliśmy tatę i przeszliśmy na górę. Drzwi pokoju Ruby były zamknięte. Na klamce wisiała wciąż tabliczka NIE PRZESZKADZAĆ. Lara zapukała cicho i nie czekając na zaproszenie, przeszliśmy do środka. Zatrzymałem się w progu.

Zasłony były zaciągnięte, Ruby leżała w łóżku, spod *W* naciągniętej na głowę kołdry wystawał tylko pukiel rudych *m* włosów. Dopiero teraz zauważyłem, że zrobiła sobie blond *m* pasemka. Lara dotknęła tego pukla, a potem pocałowała go i przysiadła na brzegu łóżka, wyraźnie nie wiedząc, co dalej. Ruby nawet nie drgnęła, ale z całą pewnością nie spała. ;

Zeszliśmy na dół, zaparzyliśmy jeszcze jedną herbatę i zrobiliśmy kilka tostów. Ulubiona przegryzka Ruby. Grubo krojona kromka białego chleba posmarowana obficie masłem, a do tego mocna herbata posłodzona czubatą łyżeczką brązowego cukru i doprawiona kilkoma kroplami półtłustego mleka. Tak ją w naszej rodzinie przyrządzaliśmy. Lara nazywała ją herbatą budowlańca.

Lara umieściła to wszystko na różowej tacy, pamiątce z okresu dzieciństwa naszej córki, i zaniosiła na górę. Tym razem nie zapukała. Po prostu otworzyła cicho drzwi, postawiła tacę na podłodze i wyszła. Uderzyło mnie, że przypomina strażniczkę, która przynosi posiłek więźniarce. Cicho zamknęła za sobą drzwi, a mnie przemknęło przez myśl, że być może Ruby już śpi.

Ale później, kiedy zaczynało świtać i zbieraliśmy się z tatą do wyjścia, zajrzałem jeszcze na piętro i stwierdziłem, że różowa taca stoi pod drzwiami pokoju Ruby. Tabliczka NIE PRZESZKADZAĆ wisiała nadal tam, gdzie wisiała, ale kubka z herbatą ani tostów na tacy nie było.

Rozdział dwudziesty

Jazzie B śpiewał, że Africa Centre jest pepkiem świata, a ja popijałem szampana z papierowego kubka i kołysałem się w rytm muzyki Soul II Soul. Przyrzekłem sobie, że się nie upiję. Nie dzisiaj. Nie w czterdzieste urodziny Lary. Didżej puścił coś z wczesnych Duran Duran i przestałem się kołysać. Znaczy nie byłem jeszcze taki pijany.

Wynajęła na tę okoliczność salę gimnastyczną, w której uczyła tańca. Według mnie przesadziła, ale sala była teraz pełna. Bo przyszli wszyscy. Wszyscy dawni znajomi, z którymi z biegiem lat, w miarę pojawiania się partnerów i dzieci, traciła kontakt albo którzy stracili kontakt z nią. Ale dzisiaj byli tu wszyscy i kiedy parkiet zapełniał się tańczącymi w rytm kawałków z lat osiemdziesiątych, rozpoznawałem w wielu tamte dwudziestoparolatki sprzed lat, które odtańczywszy swoje w *Nędznikach*, przenosiły się całą paczką do Africa Centre, żeby tańczyć tam dalej. Były to teraz panie w średnim wieku, ale wyróżniał je sposób, w jaki poruszały się przy hitach Blondie, Wham!, Madonny, Michaela Jacksona i Thompson Twins, widać było, że nadal mają to coś we krwi. Ich mężowie, trochę już zawiani, po-

dobnie jak ja starali się nie dać tego po sobie poznać. Lara tańcząca w środku grupy ze swoją córką wykrzykiwała coś do didżeja, który rozstawił swoją aparaturę na scenie.

— *Girls Just Want to Have Fun!* — krzyknęła, a on kiwnął głową. Miał to. Na specjalne życzenie. Końcówka Style Council przeszła płynnie w dynamiczny początek klasycznego przeboju Cyndi Lauper. Poszedłem sprawdzić, co u rodziców.

Siedzieli po drugiej stronie zatłoczonej sali i obserwowali bawiących się. Mama przytupywała z uśmiechem do rytmu *Girls Just Want to Have Fun*. Tato zamyślony, z nieotwartą puszką red stripe'a w dłoni, krzywił się nienawykły do głośnej muzyki. Była z nimi Nan sącząca już od dwóch godzin tę samą sherry i kiwająca głową tak, jakby zawsze uważała, że to najlepszy okres w karierze Cyndi Lauper. Wszyscy troje siedzieli na rozchwianych szkolnych krzesłach, tworząc małe getto starych ludzi. Zapytałem, czy przynieść im coś do picia. Nie chcieli.

— Nami się nie przejmuj — powiedziała mama. — Idź się sam wyszumieć, kochanie.

Poszedłem skwapliwie za jej radą. Mogłem wychylić jeszcze parę drinków bez obawy, że się zaleję. Mogłem nawet potańczyć. Tak, zaczekam na trochę bardziej podchodzącą mi muzykę — New Order, Yazoo, Divine, nie byłem grymaśny — i ruszę w tany. Spalić trochę tłuszczu, jak określała to moja córka. Wypatrzyłem ją w tłumie. Tańczyła roześmiana z matką, obie spływały potem i boksowały powietrze w rytm jakiegoś prehistorycznego przeboju Kylie.

Po drodze do baru — drewnianego stołu używanego częściej na posiedzeniach rady pedagogicznej — natknąłem się na Rufusa. Trzymał Alfiego na rękach i podskakiwał w miejscu, a zachwycony marchewkowowłosy chłopiec zaśmiewał się histerycznie. Nancy stała obok i patrzyła na tańczących, ale myślami była gdzie indziej. Obcisła czarna mini wyglądała na niej jak druga warstwa skóry. Przygryzała dolną wargę i miętosila w dłoniach torebkę, tak jakby nie mogła się zdecydować, czy zatańczyć, czy wracać do domu. Teraz wyraźnie było już widać, że rośnie jej brzuch. Przechodzący obok Keith popatrzył tęsknie na kuperek Nancy i uniósł brwi. Przy dybał mnie przy barze, gdzie wódką i red bullem dodawałem sobie animuszu przed wkroczeniem na parkiet.

— A jakieś dokumenciki, młodzieńcze, posiadamy? — spytał, klepiąc mnie po plecach. Wziął piwo i odwrócił się twarzą do tańczących, ale kątem oka zerkał wciąż na pupę Nancy. — Ma chłopak używanie — stwierdził filozoficznie.

— Tego się właśnie obawiam — mruknąłem.

Keith westchnął i uniósł puszkę z piwem. Stuknęliśmy się.

— Lata osiemdziesiąte — powiedział. — To były czasy. A może siedemdziesiąte? Albo sześćdziesiąte?

Pokręciłem głową. Nie pamiętałem. Ale kiedy po *Material Girl* didżej puszczał *How Soon Is Now?* — pomyślałem: Tak, człowiekowi zawsze najbardziej podoba się to, co przypomina mu młodość.

Pojawił się Martin. Stał w progu skromny, przystojny, ubrany w koszulę w paski i czarne dżinsy — wypisz, wymaluj bankier w pierwszy dzień weekendu. Lara spostrzegła go i rozbawiona, zgrzana, przepchnęła się

przez tłumek tańczących, żeby się z nim przywitać. Musnęła przelotnie wargami jego usta, takie tam symboliczne buźki. Ale kiedy brała go za rękę, odwróciłem wzrok i jednym haustem dopiłem swojego drinka. Poczucie straty. Zazdrość. Ujrzałem ją oczyma wyobraźni w ramionach innego mężczyzny. W przetyku pęczniała mi obrzydliwa gula, całkiem realna gula, z którą zdecydowanie musiałem coś zrobić.

— Szałowo wygląda — zauważył Keith.

— Aha — mruknąłem, kalkulując, czy jestem tu już dostatecznie długo, żeby dyskretnie opuścić imprezę.

Z początku Martin rozgrywał to wspaniale. Dał się zaciągnąć na środek roztańczonego parkietu, żeby Lara mogła go przedstawić swoim najstarszym i najbliższym przyjaciółkom — tym, które przed dwudziestoma laty grały wieśniaczki i prostytutki w *Nędznikach* — ale ze względu na głośną muzykę trudno tam było rozmawiać. Tak więc Lara — wciąż trzymając go za rękę — pociągnęła Martina do baru. Za nimi podążyło kilka rozbawionych, czterdziestoparoletnich kobiet. Martin spojrzał na mnie i uśmiechnął się. Kiwnąłem mu głową, wykrzywiłem wargi w wymuszonym uśmiechu i oddaliłem się stamtąd najwolniej, jak potrafiłem, nie przechodząc jeszcze w trucht. Widziałem teraz, jak daleko od brzegu pozwoliliśmy odpłynąć naszemu małżeństwu.

Kiedy z głośników popłynęło *Don 't You Want Me?* grupy Human League, przyjaciółki Lary zapiszczały i wróciły w podskokach na parkiet, gdzie ich mężowie — w większości faceci z city, a dwadzieścia lat temu prawdziwe ogiery — zasapani trzymali się za swoje pompki. Ale Lara poprowadziła Martina naokoło parkietu i przedstawiła starszkom. Nad gło-

wami tańczących widziałem, jak Nan rozpływa się w uśmiechach i zachwycona kiwa głową, a potem jak moi rodzice ze zbaraniałymi minami wymieniają z Martinem uściski dłoni. Byli jednak ludźmi dobrze wychowanymi, szybko się więc otrząsnęli i wkrótce uśmiechali się wraz z Larą i Martinem, tą szczęśliwą parką.

Odwróciłem się, żeby wyjść. Przykazałem sobie, że się nie obejrzę. Ale kiedy byłem już przy drzwiach, poleciało *Back to Life* Soul II Soul — ach, ten anielski głos Caron Wheeler — i nie zdołałem się powstrzymać. Odwracając się, zobaczyłem, jak Lara próbuje zaciągnąć Martina na parkiet. A on się opiera. Broni rękami i nogami. Kręci głową i macha ręką w protestacyjnym geście, a z ust nie spłza mu ten uśmieszek zakłopotania. On naprawdę nie chciał tańczyć. Lara dała wreszcie za wygraną i poprosiła do tańca swoją Nan. Wprowadziła staruszkę na parkiet i zaczęły się kołysać w rytm jakiegoś kawałka Spandau Ballet, przez cały czas trzymając się za ręce, a Martin podpierał ścianę uśmiechnięty jak głupi do sera. I już wiedziałem, że ten człowiek nie ma u Lary najmniejszych szans.

*

Czas zatrzymał się w miejscu, gdy krzątałem się w kuchni, robiąc sobie herbatę budowlaną. Mocną. Z jedną kostką cukru. I kropelką półtłustego mleka — tylko kropelką. Do wypicia, póki gorąca. Herbata budowlana. Taka, jaką piliśmy zawsze w naszej rodzinie.

Było bardzo późno, tak późno, że wkrótce powinno się zacząć robić wcześniej. Chodząc po pogrążonej w półmroku kuchni starego domu, bardziej czułem, niż słyszałem, że jest prawie pusty.

Rufus poszedł do siebie z Nancy i jej synkiem. Ruby pojechała do dziadków. W domu byli tylko Lara i Martin, śpiący w pokoju, który agentka nieruchomości nazwała niegdyś małżeńską sypialnią.

No i byłem tam oczywiście ja — siedzący na dole w kuchni z herbatą budowlaną. Wypatrujący za oknem pierwszych oznak świtu i ich niedostrzegający. Noce stawały się coraz dłuższe.

W końcu chyba mnie usłyszeli. Na górze, nad moją głową rozległy się kroki. Niespokojne szepty. Jedno z nich — Martin — weszło do pokoju Rufusa i zaczęło szukać broni. O podłogę walnął kij baseballowy, zupełnie jakby ktoś tupnął w nią drewnianą nogą. Potem usłyszałem ciche stąpanie schodzącej na dół Lary. Na pizamę włożyła zwykle jedwabne kimono. Trudno wyrazić, jaką sprawiło mi to ulgę. Bałem się, że zobaczę ją w jakimś seksownym wdzianku. Ubrana jak... — nie chciałem nawet o tym myśleć. Na mój widok zabrakło jej tchu.

— Chcę wrócić do domu — szepnąłem. Lara stanęła w progu.

— Może powinieneś najpierw zadzwonić — powiedziała cicho i potrząsnęła głową. — Napędziłeś nam porządnego stracha.

— Przepraszam. Starłem się za bardzo nie hałasować — odparłem, podnosząc mój kubek budowlaną w geście pozdrowienia i przeprosin.

— Martin zawiadomił policję — poinformowała mnie, krzyżując ręce na piersiach. Nadal stała w progu. — Jeśli się pośpieszysz — wskazała podbródkiem kubek — może uda ci się ją wypić przed ich przyjazdem. — Wcześniej mówiła scenicznym szeptem, lecz teraz wyraźnie podniosła głos. — Ty pieprzony świrze. Żeby włamywać się tu i włączyć w środku nocy!

— Musiałem ci powiedzieć. O tym, że chcę wrócić do domu.

—Dokładnie teraz? W tym momencie?!

—Ponieważ wkrótce będzie za późno. Jeśli pozwolisz, żeby ten facet stanął między nami. Swoją drogą, przyjęcie było wspaniałe. Wszystkiego najlepszego.

Lara weszła powoli do kuchni i usiadła przy stole.

—Urodziny już się skończyły — powiedziała, przesuwając dłonią po twarzy. — Czterdzieści lat. Jak to możliwe? — Usiadłem po drugiej stronie stołu. Nasze dawne miejsca. Uśmiechnąłem się do niej, a ona ponownie potrząsnęła głową. — Nie widzisz, jakie to dziwne?

—Rzecz w tym, że ty wybrałaś mnie. A ja wybrałem ciebie.

—Dawno temu.

—Nic się nie zmieniło — odparłem. — Jesteś nadal moją Gwiazdą Polarą. Światłem, za którym podążam. Bez ciebie nic nie ma sensu.

Podniosła wzrok, jakby coś przyszło jej nagle do głowy.

—Jesteś na prochach?

—Musiałem ci to po prostu powiedzieć, Laro. Nie z tym facetem. Jeśli masz zamiar mnie rzucić, rzuć mnie dla faceta, który potrafi tańczyć.

Martin wszedł do kuchni w szortach. Właściwie miał wspaniałe ciało. Gdybym ja takie miał, też chodziłbym w samych szortach. Moim radarem wyczulonym na wszelkie przejawy przemocy od razu zauważyłem, że nie trzyma w ręku kija baseballowego. Wyłącznie komórkę BlackBerry. Czymś takim można wyłupić komuś oko. Podejrzewałem, że podsłuchiwał nas, siedząc na schodach. W samych szortach.

— Policja jest już w drodze — oznajmił i w tym samym momencie usłyszałem syrenę. Ciekawe, czy jechali do nas. Wyjątkowo szybki czas

reakcji, pomyślałem. — Wyrzuć go — zażądał Martin. — Wyrzuć go albo sam to zrobię.

Lara wbiła wzrok w stół.

— Po prostu... daj mu spokój, dobrze? — powiedziała. Martinowi opadła szczeka. Jego ładne zęby zabłysły w świetle księżyca.

— Nie słuchasz chyba tych jego bredni? — zapytał. — Bo ja nie mam zamiaru ich słuchać — dodał i po raz pierwszy na mnie spojrział. — Już dawno temu zmieniłeś jej życie w koszmar. Swoimi papierosami, swoim egoizmem, swoimi zwisającymi w kroku dżinsami.

Spojrzałem z wyrzutem na Larę, która uciekła w bok wzrokiem.

— O tak, nasłuchiwałem się o tobie — kontynuował triumfalnie Martin. — I wiem dokładnie, czego ci trzeba — dodał, ruszając z powrotem na górę, prawdopodobnie po kij baseballowy.

Patrzyliśmy, jak wychodzi z kuchni.

— Musisz odejść — poprosiła Lara. — Aresztuje cię policja. Martin zrobi ci krzywdę. A poza tym ... chcę, żebyś poszedł.

— Naprawdę?

— Tak, chcę — odparła, jakby podjęła ostateczną decyzję, i położyła dłoń na stole kuchennym. — Wszyscy musimy żyć dalej, George. Wszyscy musimy zacząć od początku.

— Ale ja nie mogę — tłumaczyłem jej. — I nie chcę. Ponieważ chodzi o ciebie. Chodzi o ciebie, bez względu na to, czy jesteśmy razem, czy oddzielnie.

— To trochę niezręczna sytuacja — stwierdziła trochę ciszej niż wcześniej. — Trochę niezręczna sytuacja, skoro chodzi o mnie, bez względu na to, czy jesteśmy razem, czy oddzielnie.

— Dostrzegasz problem — powiedziałem.

— Jak najbardziej.

— Wiem, że nie jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie — oświadczyłem.

— A tak dobrze ci szło... — mruknęła.

— Ale na całej planecie nie ma twarzy, na którą patrzyłbym chętniej niż na twoją.

— Nie widziałeś wszystkich.

— Widziałem dosyć, żeby wyrobić sobie poglądy — odparłem. — Dosyć, żeby wiedzieć, jaką twarz będę miał przed oczyma, kiedy wydam ostatnie tchnienie.

Martin wszedł ponownie do kuchni. Spodziewałem się, że będzie trzymał nad głową kij baseballowy, lecz on był nieuzbrojony. Może bał się, że to jego zgarnie policja, jeśli trzepnie mnie w głowę, żeby zdobyć bazę domową. Miał pewnie rację. Po chwili rozejrzał się i wziął do ręki patelnię.

— Wynoś się — oświadczył uzbrojony w sprzęt kuchenny, co dodało mu chyba odwagi. — Wynoś się albo tak cię urządzę, że nie pozna cię własna matka.

Wstałem od stołu, lecz nie skierowałem się w stronę drzwi. Martin podszedł do mnie. Patelnia drżała nad jego głową. Zerknął szybko na Larę.

— Jak on tu się w ogóle dostał? — zapytał. — Ten długowłosy świr?

Słyszałem syrenę już całkiem wyraźnie. Radiowóz był tylko kilka przecznic stąd. Czas reakcji wynosił osiem, dziewięć minut. Całkiem nie-
źle. Jechali po mnie.

Ale Lara się uśmiechała. Też wstała od stołu.

— Ma klucz — wyjaśniła. — Zawsze miał klucz. Wyjąłem go z kieszeni i położyłem na stole.

— Jeśli chcesz, mogę ci go oddać — odezwałem się. — Ale ko-
cham cię, Laro. Nie musisz na to odpowiadać — dodałem, podnosząc rękę.

I w tym momencie zamachnął się na mnie patelnią.

Dostrzegłem to z odległości mili. Popełnił klasyczny błąd, odchylając
ramię przed zadaniem uderzenia. Praktycznie wysłał mi e-maila. Nie przy-
wykł do bicia ludzi. Sparowałem uderzenie przedramieniem i chętnie strze-
liłbym go w szczękę, gdyby nie powstrzymał mnie głos Lary.

— Proszę cię, po prostu wyjdź — powiedziała. Spojrzałem na nie-
go, on spojrzał na mnie. Nadal trzymał

w rękę patelnię. Nie wiedziałem, czy ma zamiar ponownie mnie wal-
nąć, czy może chce usmażyć jajka na boczku. Żaden z nas nie ruszył się z
miejsca. Na dworze zaczął śpiewać jakiś ptak. Spojrzeliśmy na Larę.

— Wyjdźcie stąd obaj — oznajmiła.

*

Był czas, wcale nie tak dawno temu, kiedy mogłem przespać cały
dzień. To było wspaniałe. Moja mama śpiewała i krzątała się po kuchni, oj-
ciec gderał, wykonując domowe obowiązki, słońce prześwitywało przez

zasunięte story i żadna z tych rzeczy nie przeszkadzała mi w błogim lenistwie.

Teraz jednak leżałem w wąskim łóżku, przewracając się bez końca z boku na bok i opróżniając zmywarę umysłu z wszelkich myśli, a mimo to sen nadal nie nadchodził. Moje ciało było śmiertelnie zmęczone i pragnęło odpoczynku, błagało niemal o drzemkę, lecz mimo to nadal unosiłem się na powierzchni. Gdzie się podział ten mój cudowny talent do przespania całego życia?

Zrozumiałem, że możesz wykorzystać ten talent tylko wtedy, kiedy wydaje ci się, że masz jeszcze mnóstwo czasu. Ja jednak wiedziałem, że mój czas się kończy i ma mnie dosyć, wiedziałem, że nigdy już nie pośpię w ten sposób.

Błoga nieświadomość młodości została mi odebrana i nigdy już nie miałem jej odzyskać.

Wstałem więc z łóżka i zacząłem wkładać wczorajsze ubranie. W sąsiednim pokoju słyszałem powolne, niepewne kroki ojca.

*

W parku dzieciaki grały w nogę.

W większości chłopcy, ale w jednej z drużyn była również dziewczyna w koszulce z napisem England. Wysoka, chuda, ze związanymi z tyłu brązowymi włosami. Nie była niczyją młodszą siostrą i grała tak samo dobrze jak inni, odsuwając blokującego ją zawodnika, odwracając się od swojej bramki i posyłając piłkę do przodu.

Przez chwilę ich obserwowałem, jak zwykle dziwiąc się, jak w tej pstrokaciźnie piłkarskich koszulek udaje im się rozpoznać, kto należy do której drużyny. A potem ktoś posłał za długie dośrodkowanie i piłka poleciała w moją stronę, zasłaniając przez ułamek sekundy słońce.

Śledząc ją wzrokiem, ustawiłem się jak trzeba i kiedy odbiłem ją celnie wewnętrzną stroną prawej stopy, coś zakłuło mnie nagle mocno w kolanie. Chłopcy przejęli piłkę, ale ból nie ustąpił. Czułem go pod rzepką kolana i zaniepokojony podskakiwałem na jednej stopie, bojąc się postawić na ziemi tę drugą.

Zawodnicy przystanęli i popatrzyli na mnie. Grę wstrzymano. Dziewczyna w koszulce z napisem England wzięła do ręki piłkę.

— Nic się panu nie stało?! — zawołała.

Pokiwałem głową, uśmiechnąłem się i uniosłem w górę kciuki. Dzieciaki wróciły do gry, a ja, ścigany ich okrzykami, pokuśtykałem do wyjścia z parku, próbując rozchodzić obolałe kolano.

*

Z początku myślałem, że to nocni pływacy.

Usłyszałem czyjeś kroki po trawie, a potem po żwirze, który okalał basen. Ktoś stapał cicho, nie chcąc obudzić lokatorów domu. Leżałem w łóżku, wstrzymując oddech, gapiąc się w sufit i czekając na plusk wody, w której zanurzają się ciała.

;,v,

Zamiast tego coś uderzyło w okno mojej sypialni. : Coś małego i twardego niczym pierwsze ziarno gradu podczas letniej burzy. A potem stuknięcie się powtórzyło. Zerwałem się z łóżka i stanąłem w oknie.

Odsunąwszy story, zdążyłem spostrzec Larę, która rzuciła kolejny kamyk w moje okno. Tym razem chybiła. Trzymając w dłoni garść żwiru, który zebrała przy basenie, ciskała nim, za każdym razem wspinając się na palce. Uchyliłem okno i natychmiast oberwałem w oko małym kamykiem.

— Kurwa mać! — zakląłem, zataczając się do tyłu i łapiąc za ranne oko. Kilka kolejnych kamyków wylądowało w sypialni, gdy czołgałem się po dywanie. Po chwili kanonada się skończyła. Kiedy podszedłem z powrotem do okna, Lara patrzyła na mnie. Oko już mnie tak strasznie nie bolało. Coś widziałem. Lara przystawiła palec do ust i popatrzyła na sąsiednie okno, za którym spali moi rodzice.

— Która godzina? — zapytałem schrypniętym scenicznym szeptem.

— Czas wracać do domu — odpowiedziała głosem o wiele naturalniejszym od mojego, jednak bardzo cichym, przeznaczonym tylko dla moich uszu. A potem uśmiechnęła się i wypuściła z dłoni resztę kamyków. — Nasze dziecko będzie miało dziecko — powiedziała i roześmiała się, jakby to było czymś cudownym. Bo naprawdę nim było — jednym z tych codziennych cudów, które ziszczają się najrzadziej ze wszystkich.

— Czy to znaczy, że się starzejemy? — zapytałem.

— To znaczy, że żyjemy — odparła. — Nie odkryłeś dotąd sekretu życia? Tak wiele czytając, tyle rozmyślając i wpatrując się w gwiazdy? Nie wiesz, na czym polega sekret życia?

Spojrzałem na nocne niebo. Gwiazdy jeszcze nie zgasły. Nad miastem zawisł niczym kopuła pomarańczowy blask. Po chwili spojrzałem z powrotem na Larę. Czekałem.

— Sekret życia — wyjaśniła — to po prostu kolejne życie. Idziesz czy nie?

— A tamten facet? Uprawiałaś seks z tamtym facetem?

Miałem nadzieję usłyszeć, że składając jej niespodziewaną wizytę, przerwałem tamtemu sukinsynowi stosunek. Miałem nadzieję usłyszeć, że nie dotknął jej żaden mężczyzna. Lara nie miała jednak czasu roztrząsać tego, co zdarzyło się w przeszłości. I jeśli chcecie znać moje zdanie, nie wierzę, by do czegoś między nimi doszło. Bo przecież tu była, tak czy nie? Nie była z nim. Stała tutaj w ogrodzie.

— Czuję się samotna — odpowiedziała. — Tęsknię za tobą. Wracaj do domu.

— Wezmę tylko rzeczy.

Zjeżyła się poirytowana i zrozumiałem, że można kogoś kochać, naprawdę kochać, a mimo to ten ktoś może grać ci na nerwach. I zobaczyłem dwie strony medalu. Nadal pozostały do wykonania drobne domowe prace. Nie uciekłem przed nimi. Nikt mnie od nich nie wybawił. Kiedy wrócę, gdzieś po drodze będzie czekał na mnie zepsuty bojler.

— Dlaczego przejmujesz się swoimi cholernymi rzeczami! — syknęła Lara. — Nie wiesz, jak jest późno?

Nagle odniosłem wrażenie, że coś porusza się za nią w mroku. Czy pojawili się w końcu nocni pływacy? Lara obejrzała się przez ramię i wbiła wzrok w rosnące przy końcu ogrodu drzewa.

— Co się dzieje? — zapytała.

Obserwowałem tańczące cienie, ale niczego nie dostrzegłem. To pewnie tylko wiatr, moja wyobraźnia i moje trafione kamykiem oko.

— Nic — odpowiedziałem. — Zaczekaj.

Włożyłem szybko coś na siebie i podszedłem do drzwi, a potem zatrzymałem się nagle i omiotłem wzrokiem moją sypialnię. Porozrzucane ubrania. Powyjmowane z pudełek płyty, porzucone niczym wczorajsze zabawki. Książki z dramatycznie popodkreślanymi fragmentami. Powyginane kawałki kupionej na wynos pizzy. Wypita do połowy butelka cydru.

Najdziwniejsze było to, że nawet nie lubię cydru.

Odwróciłem się plecami do wszystkich tych rzeczy i zbiegłem do mojej żony.

Część trzecia

Nocni pływacy

TLR

Rozdział dwudziesty pierwszy

— Są marzenia podstawowe i wszystkie pozostałe — powiedziała, kiedy spałem. — Marzenia podstawowe to takie, które mają wszyscy: żeby twoje dzieci znalazły sobie partnerów, z którymi będą szczęśliwe. Żeby twoi rodzice nie chorowali. Żeby skończyły się kłopoty finansowe.

Walczyłem ze snem, bardziej świadom jej fizycznej obecności niż tego, że coś mówi. Ponowne spanie w jednym łóżku z Larą było jednocześnie dziwne i takie jak być powinno. Bycie przy niej było powrotem do normalności — podobnie czuje się człowiek, budząc się ze złego snu lub wracając ze szpitala, przekonany, że może zacząć życie od nowa, odzyskać to, co utracił.

Czułem, że za chwilę zasnę. Ogarniało mnie błogie zmęczenie, które ogarnia człowieka po seksie z kimś, kogo kochał przez całe życie. Jednak Lara nie przestawała mówić i zdałem sobie sprawę, że to jedna z tych rzeczy, do których muszę się przyzwyczaić teraz, kiedy nie jestem już sam. Zapomniałem, że Lara lubi pogadać po seksie, gdy tymczasem ja marzę o

tym, żeby zasnąć. Ale nie wyglądało to tak jak przedtem: nie wyglądało tak, jak sobie wyobrażałem. Nie chciała rozmawiać o odpowiedniej pracy i planach emerytalnych. Wszystko to wyleciało jej z głowy. Interesowało ją teraz coś zupełnie innego.

— Nie musisz się przejmować marzeniami podstawowymi — powiedziała. — Same o siebie zadbają. Albo i nie. Musisz myśleć o tych pozostałych. O marzeniach, które sięgają dalej niż te domyślne. Słyszysz? — zapytała nagle.

W miejskiej ciszy słycać było wyraźnie rżenie i charkot bojlera w sąsiadującej z sypialnią łazience.

— Zaraz wysiądzie — zawyrokowałem, myśląc o żółtych stronach, hydraulikach i pieniądzech, które trzeba będzie wydać.

— Nie — odparła. — Wysiądzie dopiero wtedy, kiedy zrobi się zimno. Dokładnie wtedy.

Przez chwilę przysłuchiwałem się stękanom i trzaskom, a potem roześmieliśmy się po ciemku. Zepsuty bojler nie będzie wcale śmieszny w ponury zimowy dzień. Teraz jednak był śmieszny.

— Nigdy tam nie wrócę — wyznałem. — Do mojej dawnej pracy.

— Wiem — odparła i zobaczyłem, że się uśmiecha. — Jakoś sobie poradzimy. Możemy sprzedać dom. Ograniczyć się. Jest nas teraz tylko troje.

— Nigdy nie chciałem sprzedawać domu — oświadczyłem.

— Są ważniejsze rzeczy — odpowiedziała. Leżeliśmy przez chwilę, słuchając bojlera.

— To się nazywa przedśmiertna lista — wyjaśniłem. — Lista rzeczy, które chcesz zrobić, zanim... rozumiesz.

— Zanim pójdziesz do piachu — odpowiedziała Lara.

— Zanim spojrzysz śmierci w oczy — powiedziałem. Twoja przedśmiertna lista.

— Przejechać się ulicami Paryża sportowym kabrioletem — mruknęła.
— Zatańczyć znowu na West Endzie i dostać za to honorarium. Odwiedzić slumsy Buenos Aires i zobaczyć miejsce, w którym narodziło się tango.

Pomyślałem, że można przejechać się sportowym kabrioletem ulicami Paryża i utknąć w korku na Polach Elizejskich. Można występować w musicalu z Shaftesbury Avenue, na którym są puchy i który objechali recenzenci. Wiedziałem jednak, że któregoś dnia Lara pojedzie do Buenos Aires. Marzyła o tym od dwudziestu lat, zanim którekolwiek z nas usłyszało o przedśmiertnej liście i pomyślało, że moglibyśmy ją sporządzić.

*

Słysząc go było, kiedy spała.

Słysząc w jej przerywanym oddechu, zmianie ułożenia ciała, westchnieniu, które wydobywało się z głębi snu. Słysząc było odczuwany przez nią ból.

Towarzyszył jej prawie od początku naszej znajomości, tak samo nieodłączny jak kolor oczu. Dawne urazy, ukłucia i rwanie, które nosiła niczym znamiona, wewnętrzne rany, które zostały po tym, jak te zewnętrzne się zagoiły. Pamiątki z okresu, kiedy tańczyła.

Niektóre bolące miejsca były konkretne niczym kartka wyrwana ze starego pamiętnika — więzadło krzyżowe zreperowane w szpitalu Wellington, zerwane chrząstki odpowiedzialne za zgrubiałe zabliznione tkanki na kolanach — lecz inne otaczała tajemnica i nigdy się o nich nie mówiło.

Nie skarżyła się. Nie była z tych, co się skarżą. I przywykłem do tego, że rozmasowuje swoje stawy, że pijąc poranną kawę, oglądając telewizję albo rozbierając się przed snem, wbija czasem palce w pewien punkt za kolanem albo tam, gdzie ostatnie żebro czasem zetknie się z biodrem. W małżeństwie człowiek uczy się patrzeć na różne rzeczy — i w ogóle ich nie widzieć.

W nocy wyglądało to inaczej — kiedy spała przy moim boku i czułem, jak się porusza albo wierci pod wpływem nienazwanego cierpienia. Ból nigdy jej nie budził. Budził jednak mnie i w trakcie tej pierwszej nocy w domu leżałem przez wiele godzin koło mojej żony z oczami szeroko otwartymi w ciemności, tak jak leżymy z naszymi nowo narodzonymi i ukochanymi.

Słuchając po prostu ich oddechu.

*

Jest tylko jeden dom na świecie, do którego można wejść i z miejsca otworzyć lodówkę — to dom, w którym się dorastało.

Nie pytaliśmy Rufusa, co się wydarzyło. Pojawił się nagle w przedpokoju, mrużąc nieśmiało słowa powitania, a my ruszyliśmy za nim do kuchni. Wyjął z lodówki karton pełnotłustego mleka i wypił go duszkiem, stojąc przy jej otwartych drzwiczkach z krawatem wiszącym na szyi ni-

czym przekrzywiony stryczek. Lara stanęła na palcach i pocałowała go w zaczerwieniony po goleniu policzek, a on delikatnie zamknął lodówkę. Uściskałem go i, choć miał na sobie gruby garnitur z firmy Next, wydawało mi się, że obejmuję kościotrupa.

—No i co u was słychać? — zapytał i roześmiałem się, ponieważ zawsze śmieszy mnie, kiedy moje dzieci próbują nawiązać luźną rozmowę.

—U mnie wszystko w porządku — odparłem. — A u ciebie?

—W porządku — odparł, marszcząc brwi. — Dlaczego miałoby nie być?

— Nie wiem — odrzekłem łagodnie, nie dając się sprowokować. Policzyłem szybko dni. Do ślubu został mu niespełna miesiąc. Lara proponowała, że zrobi mu coś do jedzenia, łapiąc go za pasek i nim pociągając, sugerując, że bardzo schudł. Rufus roześmiał się i odsunął, ściskając w ręku karton mleka i mówiąc, że nie jest głodny. Był teraz zastępcą kierownika i prawie żonatym mężczyzną: nie przywykł do tego, żeby ktoś go łąpał za pasek. Ja też miałem ochotę zrobić mu coś takiego — zmierzwić włosy, poklepać po plecach albo szturchnąć w ramię. Cokolwiek, żeby poczuć fizyczny kontakt ze swoim synem. Ale był teraz zastępcą kierownika i prawie żonatym mężczyzną i miał ciemne sińce pod oczyma. Dlatego go nie dotknąłem. Nie chciałem naruszać warunków naszej konwencji, która dopuszczała co najwyżej niezgrabny uścisk.

Weszliśmy do salonu. Telewizor był włączony. Usiedliśmy w naszych historycznych fotelach i na sofie. Rufus sięgnął po pilota i przerzucał kanały do momentu, gdy zobaczył Gene'a Kelly'ego i Donalda O'Connora stepujących i grających na skrzypcach.

— *Deszczowa piosenka* — ucieszyła się Lara, dotykając jego ramienia. — Nie zmieniaj tego.

Nasz syn odłożył niechętnie pilota, odchylił się do tyłu, wbił oczy w sufit i powoli wypuścił powietrze z płuc. Miałem wrażenie, że słyszę, jak rozstaje się ze swoją młodością. Lara posłała mi pozbawione wyrazu spojrzenie i wróciła do oglądania filmu.

Debbie Reynolds wyskakiwała z tortu na hollywoodzkim przyjęciu. Na widok Gene'a Kelly'ego doznała szoku. Powiedziała mu wcześniej, że pracuje w teatrze, a teraz wyskoczyła skąpo odziana z tortu, mała kłamczucha. Lara roześmiała się, a Rufus spojrział na ekran i zobaczyłem, że coś sobie przypomina.

— Ile razy to oglądaliśmy? — zapytał.

— Nie można oglądać zbyt wiele razy *Deszczowej piosenki* — odparła Lara, w ogóle na niego nie patrząc.

Próbowałem sobie uświadomić, jakie zaszły w nim zmiany. Miał krótko przycięte włosy, jakby służył w wojsku czy czymś w tym rodzaju. Przez jakiś czas nic nie mówiliśmy. Kiedy Donald O'Connor śpiewał *Make 'Em Laugh* — tańcząc na kolanach, lekceważąc prawa grawitacji, przechodząc przez ściany — przyjrzałem się twarzy mojego syna. Niemal się uśmiechał. Kiedyś przy tej scenie spadał z fotela. Przypuszczam, że był wówczas o wiele młodszy.

— Skąd w ogóle wiadomo, że jest się z właściwą osobą? — zapytał, nie patrząc na nas. Zacząłem się nad tym zastanawiać. Człowiek po prostu to wie, prawda? Jeśli ma wątpliwości, w takim razie nie jest z właściwą osobą. Nie chciałem mu jednak tego mówić.

— To jak wiara w coś — odpowiedziała Lara — To akt wiary.

— Czy myślicie, że ludzie mogą dzisiaj ze sobą zostać na dłużej? — zapytał, nadal oglądając scenę, w której Gene Kelly próbuje odzyskać względy Debbie Reynolds. — Nie tylko... no wiecie. I rozejść się po kilku latach. Myślicie, że dwoje ludzi może ze sobą zostać na zawsze?

— Myślę, że to się staje coraz trudniejsze — rzekła Lara. — Ale nadal w to wierzę.

Przez chwilę oglądaliśmy film. Rozległy się kroki na schodach i do salonu weszła Ruby.

— Cześć — przywitała brata i usiadła obok niego na oparciu sofy. Poszedłem do kuchni zrobić cztery herbaty budowlańca. Kiedy wróciłem, Gene Kelly i Debbie Reynolds śpiewali, Gene przebrany za tenisistę z lat trzydziestych, a Debbie, stojąc na niezwyklej drabinie.

Ruby parsknęła śmiechem.

— Czy ta drabina jest naprawdę potrzebna? — zapytała, ale klapnęła koło swojego brata, który objął ją ramieniem.

A Gene Kelly zakochał się w Debbie Reynolds. Śpiewał i tańczył w deszczu. We śnie spotkał Cyd Charisse, dziewczynę gangstera w zielonej sukni, która rzuciła go w końcu dla srebrnego dolara i nikt nigdy tak nie tańczył przedtem ani potem.

— Cyd Charisse — zauważyła Ruby. — Twoja ulubiona.

— Zgadza się — odparła Lara. — Najulubiejsza ze wszystkich.

— Może zostanę na noc, mamó — mruknął Rufus. — Nie masz nic przeciwko?

Jeśli chcesz, możesz zostać na następnych dziesięć lat, pomyślałem. Możesz zostać na zawsze. Wiedziałem jednak, że tego nie zrobi — wiedziałem, że nie może. Nie kiedy w drodze było dziecko. Nasz syn nie był z takich, nie należał do ludzi, którzy zmywają się, kiedy rodzi się dziecko, i za to między innymi go kochałem.

— Zostań tak długo, jak chcesz — zaproponowała Lara. Jednak w końcu nie został nawet na tę jedną noc.

*

Nadeszła jesień i wiele basenów zamykano na zimowe miesiące. Myślałem, że we wrześniu ja i Winston będziemy mieli mniej pracy, ale nasz portfel zamówień powiększał się w miarę, jak dni stawały się coraz krótsze.

— Nie sposób obsłużyć wszystkich — powiedział Winston, kiedy chrząc oponami po żwirze, podjechaliśmy pod rezydencję w Richmond. Przed domem stało już od kilku tygodni bmw x5. — Koniec lata to najtrudniejszy okres.

Wyciągnął niczym więzienny strażnik wielkie kółko z kluczami i otworzył boczną furtkę do ogrodu. Choć słońce nie świeciło już tak mocno, woda nadal była niesamowicie błękitna. Unosiły się na niej liście. Z pobliskiego domu dobiegała piosenka Beach Boysów, kompletnie nie na miejscu, niczym bożonarodzeniowa choinka na Wielkanoc.

Winston wyłowił liście, a ja dodałem chloru —: Winston preferował potrójną dawkę — bo kiedy się o tym zapomniało, każdy brud i odpadki zostawiały ślady trudne do usunięcia na wiosnę. Posmarowaliśmy metalo-

we drabinki wazeliną, żeby zabezpieczyć je przed korozją, i zakryliśmy trampolinę. Patrzyłem, jak Winston napełnia wodą ze szlauchu kilkanaście plastikowych butelek po mleku, po czym wrzuca je do basenu. Nigdy wcześniej tego nie widziałem.

— Dzięki temu, jeśli woda zamarźnie, lód pokruszy butelki, a nie ściany basenu — wyjaśnił. — Chcesz go zakryć? — zapytał, szczerząc zęby w uśmiechu.

Pokiwałem głową i poszedłem do małej szopy w rogu ogrodu. Wewnątrz była terma gazowa i panel kontrolny basenu. Wcisnąłem przycisk pokrywy i wyszedłem na zewnątrz, żeby zobaczyć, jak wysuwa się powoli z przeciwnej strony. Pacyficzny błękit zaczął znikać pod skorodowanym tu i ówdzie białym metalem. W niespełną minutę woda zniknęła i można by pomyśleć, że nigdy jej tu nie było.

Kiedy wychodziliśmy, do domu przyjechała czarna taksówką rodzina, mężczyzna, kobieta i kilkunastoletni chłopiec, więc pomogliśmy im wnieść walizki. Chłopak pobiegł na górę i puścił jakąś muzykę, przerywając panującą w domu ciszę. Mężczyzna chciał nam dać jakieś pieniądze, ale Winston podziękował. Kobieta chciała nas poczęstować herbatą, lecz w domu nie było mleka.

Pożegnaliśmy się więc i zostawiliśmy ich, opalonych i trzęsących się z zimna w letnich strojach, ubranych niezbyt odpowiednio na londyńską pogodę, ale szczęśliwych, że wrócili do domu.

*

Kolejka zaczynała się przy drzwiach teatru i biegła kilkaset metrów wzdłuż Shaftesbury Avenue. Turyści i pracownicy biur gapili się na długi rząd mężczyzn i kobiet, w większości bardzo młodych, niekiedy zaskakująco atrakcyjnych, lecz tancerze w ogóle się tym nie przejmowali.

Zdałem sobie nagle sprawę, że w tym samym miejscu kiedyś się poznaliśmy. Uśmiechnąłem się i miałem właśnie wspomnieć o tym Larze, kiedy ludzie stojący w kolejce zaczęli sobie powtarzać nowinę.

— Szukają szóstki i szóstki — poinformowała stojąca przed nami młoda kobieta i Lara wyjaśniła, że chcą zatrudnić sześciu tancerzy i sześć tancererek.

— Sześciu chłopców i sześć dziewczyn — dodała. W balecie nie ma mężczyzn i kobiet. Wyłącznie chłopcy i dziewczyny.

— Kogo szukają? — zapytał stojący za nami chłopak, który naprawdę był chłopcem, o kilka lat młodszym od Rufusa.

— Szóstki i szóstki — odparła Lara, a on ożywiony przekazał wiadomość dalej.

Lara wzięła mnie pod ramię i uśmiechnęła się.

— To wszystko do mnie wraca — powiedziała i popatrzyliśmy na kolejkę, która coraz bardziej się wydłużała: tej długiej kolejce szczupłych, obolałych ciał, która zajmowała połowę Shaftesbury Avenue. W jej płonących oczach widać było wszystko.

Nadzieję na angaż, podniecenie wynikające z tego, że stoi na ulicy wraz z setką innych tancerzy, ale również świadomość ryzyka, lęk, że może zostać odrzucona, przewidywanie klęski — by wymienić tylko część tego, co mogło ją zboleć. Dziewczyna przed nami zaczęła rozciągać mięśnie.

—Swoją drogą, to przecież chłam — parsknęła. — Kolejny musical o Sherlocku Holmesie. Nie ten, który grali przez kilka miesięcy. Ten drugi. Ten, który zszedł ze sceny po tygodniu. Ten z wykrzyknikiem.

—Zgadza się — powiedziała Lara. — Występowałam w nim.

Dziewczyna posłała jej obojętne spojrzenie. A potem przyjrzała się uważniej Larze i być może uwierzyła. Czym jest dwadzieścia lat różnicy, kiedy ma się kilkanaście? Całym życiem.

Kiedy weszliśmy do środka, zająłem miejsce daleko z tyłu, na jednym z obitych czerwonym pluszem foteli widowni. W pierwszym rzędzie parteru siedział dobrze zakonserwowany dżentelmen w ciemnych okularach. Przypominał sześćdziesięcioletniego gwiazdora rocka. Kiedy Lara wyszła na scenę w grupie pięćdziesięciu tancerzy, poczułem dreszcz lęku i dumy. Na scenie była z nimi kobieta. Chuda jak szczapa, apodyktyczna jak strażniczka więzienna. Klaszcząc w dłonie, ustawiła ich w rzędzie i nie zwleając, wydała instrukcje. Zagrała muzyka.

Zaczęli tańczyć. Kobieta bez przerwy nimi komenderowała. Oni wykonywali polecenia. Płynne ruchy w odpowiedzi na mechaniczne rozkazy. Wszyscy robili na mnie niesamowite wrażenie. Słuchali choreografki, w ogóle o tym nie myśląc. A potem stanęli wszyscy w miejscu, złani potem, z ramionami unoszącymi się w rytm głębokiego przeponowego oddechu, a kobieta zeszła na dół, żeby porozmawiać z mężczyzną, który siedział samotnie z przodu na tej czerwonej pluszowej widowni. Zobaczyłem, jak palce prawej dłoni Lary zatrzepotały, by uśmierzyć ból w prawym biodrze, a potem opadły wzdłuż boku. Po powrocie na scenę kobieta przeszła wzdłuż rzędu tancerzy, dotykając ich ramion i mówiąc „dziękuję”.

Ci, których dotknęła, schodzili ze sceny szybko i bez słowa.

Ale Lara nadal tam stała.

*

Larry tracił na wadze.

Poważnie, tak, że zmieniły się rysy jego twarzy i cała sylwetka. Ubranie wisiało na nim niczym zwinięty cyrkowy namiot, spod ulubionej zielonej koszulki Lacoste wystawała długa na sześć cali blizna na piersi. Żona musiała mu zwrócić uwagę, żeby kupił sobie nową garderobę.

Mimo to wyglądał dobrze — lepiej niż kiedykolwiek. Pewnego dnia musiał umrzeć, lecz nie różnił się pod tym względem od innych, którzy zamieszkiwali tę planetę, więc nie mogłem pozwolić, by to mi popsulo humor.

Spojrzałem na niego i uśmiechnąłem się. Czasami patrzymy na starego przyjaciela i sam fakt, że jeszcze żyje, napędza nas szczęściem. Tak właśnie się czułem, patrząc na Larry'ego.

Siedzieliśmy w sali nad kwiaciarnią. Moje oczy pobiegły ku bębniącym o szybę kroplom deszczu. Piętro niżej nikt nie siedział w kafejkach przy Hampstead High Street i uświadomiłem sobie, że kiedy zajmowałem się czym innym, zmieniła się pora roku.

Przed nami stał nowy facet, zacierając bez przerwy ręce, zupełnie jakby je mydlił. Nie był taki stary — miał moim zdaniem koło trzydziestki — ale odznaczał się niebezpieczną nadwagą.

— Przybrałem na wadze po operacji — wyjaśnił, zacierając ręce. Lany — odmieniony Lany — uśmiechnął się, dodając mu otuchy. —

Uprzedzili mnie, że utyję wskutek zażywania sterydów, ale nie rozumiem, dlaczego wcale nie pomagają ćwiczenia, które wykonuję. Żona martwi się, że jestem...

Facet umilkł. Domyślaliśmy się, o co martwi się jego żona.

— To normalne — stwierdził Geoff, krzyżując ręce na piersi. — Przez pierwszy rok twoje nowe serce nie jest podłączone do systemu nerwowego, więc reaguje na ćwiczenia wolniej, niżbyś się spodziewał. Nowy facet spojrzał na Geoffa.

— Nie wiedziałem o tym — mruknął. Geoff posłał mu krzepiący uśmiech.

— Za bardzo się tym nie przejmuj — poradził. — Będzie coraz lepiej.

Larry przeszedł przez pokój, objął nowego faceta i podziękował mu za wypowiedź.

A potem nadeszła pora modlitwy. Wstałem i wyciągnąłem ręce: jedną z nich wziął stojący po mojej prawej stronie Paul, drugą stojący po lewej Geoff. Zaniknęliśmy oczy i pochyliliśmy głowy, bo to była prawdziwa modlitwa.

— Jesteśmy wdzięczni naszym rodzinom za wsparcie — powiedział Larry. — Jesteśmy wdzięczni za dar życia. Jesteśmy wdzięczni naszym lekarzom za ich biegłość. I jesteśmy wdzięczni dawcom, którzy to umożliwili.

Bóg wiedział, że byłem wdzięczny za wszystkie te rzeczy, ale miałem ochotę opuścić następne spotkanie. Teraz, kiedy wróciłem do domu, sytuacja się zmieniła.

Wiedziałem, że nie będę miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Nasze spotkania cieszyły się dużą popularnością. Uczestników było tylu co na zebraniach Anonimowych Narkomanów i lekcjach tańca brzucha dla początkujących razem wziętych. Poza tym nigdy do końca nie przekonałem się do całego tego obejmowania obcych.

Wystarczająco długo trwało, nim nauczyłem się obejmować członków własnej rodziny.

*

Myślałem, że będziemy tylko my dwaj. Mój syn i ja. Ale już nigdy nie mieliśmy być tylko we dwójkę.

Czarna taksówka podjechała pod główne wejście domu handlowego Selfridges i zobaczyłem, że z tyłu siedzą Nancy i Alfie. Nie mogli przyjechać autobusem? — pomyślałem. Czy mój syn po to tak ciężko haruje, żeby rozbijali się taksówkami?

Alfie wysiadł pierwszy.

— Cześć, Alfie — przywitałem się, lecz on zmierzył mnie pustym spojrzeniem. Potem z taksówki wysiadła jego ostentacyjnie ciężarna matka, posyłając mi drwiący uśmiezek i wydając jednocześnie polecenia Rufusowi, który siedział na tylnym siedzeniu i podawał przez szybkę banknoty kierowcy. Instynktownie sięgnąłem do tylnej kieszeni po pieniądze, lecz on już się tym zajął.

Stojąc na Oxford Street razem z Alfiem i Nancy, która ochrzaniała swojego syna za najnowsze przewinienie, patrzyłem na mijający nas tłum i

pytałem sam siebie: Co mnie z nimi łączy? Rufus stanął obok nas. Nie objąłem go: rozdzieliła nas Nancy. Weszliśmy do środka.

— Tylko nie zaczynaj — pogroziła Nancy Alfiemu, lecz on niestety zaczął i wcale nie zamierzał skończyć. Najwyraźniej nie miał ochoty robić zakupów w Selfridges. Z tylnej kieszeni dzinsów wystawał mu gumowy młotek, a na szyi dyndał mu zawieszony na sznurku plastikowy klucz francuski.

— Mam dla ciebie mnóstwo roboty u mnie w domu — powiedziałem wesoło, w odpowiedzi na co zmierzył mnie podejrzliwym spojrzeniem.

Nancy miała listę. Nie było na niej rzeczy, które zamierzaliśmy kupić ani ja, ani Rufus, ale miałem nadzieję, że da być może mojemu synowi godzinę wolnego za dobre sprawowanie. Nadzieja okazała się płonna. Wlekliśmy się posłusznie za nią, gdy penetrowała bez uśmiechu dział dla ciężarnych matek, dział dziecięcy i dział damskiego obuwia. A potem, kiedy niczym przymierzająca szklany pantofelek brzydka siostra usiłowała wcisnąć stopę w sandał Jimmy'ego Choo, zdaliśmy sobie nagle sprawę, że nie ma przy nas Alfiego.

Poczułem ukłucie w dołku. Ukłucie tej przyprawiającej o mdłości paniki, gdy okazuje się, że zaginęło dziecko. Nie ma na świecie lęku, który byłby równy tej panice. I autentycznie współczułem Nancy, która zaczęła wołać syna po imieniu, raz, drugi i trzeci, coraz głośniej i z coraz większą desperacją. Oszalała ze strachu rozglądała się dokoła, zjedną stopą bosą i drugą w sandale Jimmy'ego Choo.

Dotknąłem delikatnie jej ramienia.

— Naprawdę powinno się ich pilnować w takim miejscu jak to — powiedziałem i nie miałem na myśli konkretnie jej, ale tak w ogóle wszystkich, lecz ona odwróciła się do mnie z taką furią w oczach, że zdałem sobie sprawę, iż mnie nienawidzi.

Zobaczyliśmy nagle Rufusa, który szedł ku nam, trzymając Alfiego na rękach. Chłopczyk oglądał się do tyłu i wymachiwał gumowym młotkiem, i zorientowałem się, że zainteresowali go pracujący w drugim końcu sklepu robotnicy, którzy burzyli coś starego i budowali coś nowego.

Nancy złapała syna i potrząsnęła nim. Alfie wypuścił z ręki gumowy młotek i zaczął płakać. A Rufus tak słodko i serdecznie się uśmiechał, że nie dbając o to, czy mi wolno, objąłem go i poklepałem dwa razy po kościastej łopacie.

A potem zajęliśmy się tym, co planowaliśmy przez cały czas, i wybraliśmy garnitur, w którym mój syn miał pójść do ślubu.

Rozdział dwudziesty drugi

Siedziałem w fordzie capri, wbijając palce w obity skórą fotel pasażera obok kierowcy i mimowolnie wciskając prawą stopą nieistniejący hamulec, spocony jak mysz mimo zimowego chłodu.

Moja mama pochyliła się do przodu z tylnego siedzenia i słyszałem, jak kurczowo łapie powietrze. Mój tato zahamował przed pustym rondem, odczekał chwilę, rozejrzał się niepewnie, zaczekał jeszcze trochę, mruknął kilka słów, które mogły, lecz nie musiały wiązać się z prowadzeniem pojazdu, a potem ruszył powoli do przodu, prosto pod koła pędzącej ciężarówki. Przed nami mignęła wykrzywiona z wściekłości i zdumienia twarz kierowcy, który wyminął nas i wcisnął klakson głośny niczym syrena okrętowa.

— Nie gorączkuj się, chłopie — skomentował tato bo cię szlag trafi.

Zjechał z ronda, nie sygnalizując tego kierunkowskazem, po czym przeciął dwa pasy ruchu, o mało nie zderzając się z siwowłosą starszą panią w nissanie, która pokazała mu dwa palce.

— Palant! — poznałem, jak mówi, po jej wargach. Mój tato był, odkąd pamiętam, szybkim i kompetentnym

kierowcą. Miał staroświeckie podejście do kwestii bezpieczeństwa — mężczyzna zapinający pasy niewiele się według niego różnił od faceta paradującego w sukience — i upominany przez mamę za to, że traktuje limit szybkości jako niezobowiązującą sugestię, powoływał się stale na swoje czyste konto. Myśląc o nim w dzieciństwie, wyobrażałem go sobie zawsze za kierownicą samochodu. Był jednym z tych facetów, dla których prowadzenie samochodu jest prawdziwą przyjemnością, i radził sobie za kółkiem bardzo dobrze, a w każdym razie ze swoistą wojowniczą biegłością. Nie wyobrażałem sobie, by mógł kiedyś przestać prowadzić. A teraz właśnie nadszedł ten moment.

Przewoziliśmy do domu resztę moich rzeczy. Nie było tego dużo — kilka upchniętych w bagażniku capri kartonów z ubraniami, płytami i książkami, które wydawały mi się kiedyś ważne. Dziesięćmilowa jazda z przedmieścia do centrum potwierdziła niestety to, o czym od pewnego czasu mówiła mi mama.

— Jakoś sobie radzi, kiedy trzeba jechać prosto — powiedziała, kiedy tato wyjmował rzeczy z bagażnika. — Gubi się, kiedy trzeba gdzieś skręcić. Porozmawiaj z nim — dodała, patrząc na ojca, który dźwigał pudło z książkami.

Poprosiłem go więc, żeby pomógł mi zrobić herbatę, i patrzyłem, jak krząta się powoli po kuchni, nie zapominając o niczym, ale czyniąc z zagotowania wody, wyjęcia mleka z lodówki, wsadzenia saszetek do filiżanek i

wsypania do nich cukru coś równie skomplikowanego jak dyrygowanie orkiestrą symfoniczną.

— Dziękuję za podwiezienie, tato.

W odpowiedzi skinął lekko głową. Nigdy nie przywykł do gładkiego amerykańskiego „nie ma o czym mówić” i nie sądziłem, by teraz zaczął używać tego zwrotu.

— Wiesz, capri bardzo się zestarzało — mruknąłem. Twarz taty się rozjaśniła.

— Tak jak ja! — stwierdził, odmierzając cukier równie starannie, jak fizyk nuklearny odmierza dawkę plutonu.

— To był wspaniały samochód, ale naprawdę uważam, że najlepsze lata ma już za sobą.

Byłem przygotowany na gniewny sprzeciw albo przynajmniej jakieś kontrargumenty i urażoną minę. Ojciec sięgnął jednak z zamyśloną miną po mleko.

— Prawdę mówiąc, nie nadaje się już do jazdy — zgodził się, spoglądając na mamę, która zajrzała do kuchni, spodziewając się pewnie, że będzie musiała nas rozdzielać. Zerknęła na nas niepewnie i zaczęła otwierać szafki, szukając herbatników.

— Rozmawiałem właśnie z tatą o samochodzie — wyjaśniłem.

— Ostatnim razem ledwie udało się nam przedłużyć datę ważności rejestracji, pamiętasz? — powiedział tato.

Mama pokiwała głową i położyła na talerzyku trochę herbatników Jaffa.

— To było takie urocze małe autko — stwierdziła. Tato spojrział na herbatnik Jaffa, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

— Za bardzo przeżarła go rdza, rozumiecie? — wyjaśnił. — Nawet jeśli silnik jest sprawny, karoseria jest przeżarta rdzą. Jeśli się dba o silnik, nigdy nie przestanie być sprawny. Ale nie można nic poradzić na rdzę.

Mama wzięła go za rękę.

— Nie przejmuj się.

Naprawdę go kochała. I wiedziałem, że cokolwiek się stanie, nie przestanie go kochać.

— Miał swoje wielkie dni — stwierdził tato bez żadnego sentymentu i użalania się nad sobą. Nie było mowy o nowym samochodzie.

— Tak — odparła mama. — To były naprawdę wielkie dni.

*

W następny weekend zabraliśmy samochód do dealera, który oświadczył, że jest za mało wart, by opłacało się go trzymać na placu. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że jego zdaniem capri jest bezwartościowe. Dealer próbował być miły — zaproponował, żeby dać ogłoszenie i nastawić się na kolekcjonera. Być może zainteresuje się ktoś z niszowego rynku, choć on osobiście raczej w to wątpił. Kolekcjonerom zależy na pojazdach w nieskazitelnym stanie. Capri było za bardzo skorodowane. Dał nam adres po drugiej stronie rzeki.

Moi rodzice usiedli zatem z tyłu, trzymając się za ręce, a ja zawiozłem ich fordem capri tam, gdzie zajmowano się tak zwanym recyklingiem po-

jazdów, chociaż z tego, co widziałem, można było odnieść wprost przeciwne wrażenie. To były pola śmierci, cmentarzysko widoczne z odległości wielu mil na płaskiej równinie Kentu. Z daleka wyglądało jak usypane z uśmierconych samochodów górskie pasmo. Z bliska, kiedy witany przez szczerzące zęby brytany przejechałem przez bramę, samochody wznosiły się nad naszymi głowami, ciągnęły się, dokąd sięgnąć okiem. Łańcuchy górskie poskręcane metalu, zniszczonego przez czas i w wypadkach drogowych.

Nie musiałem się spieszyć, wypełniając papiery, ponieważ żeby oddać samochód, trzeba było odstać swoje w kolejce. Gotowe do regularnego złomowania stały w rzędzie skorodowane rzęchy z zagraniczną rejestracją, wycofane z eksploatacji samochody powypadkowe z nadal zakrwawionymi rozbitymi szybami, nieopodatkowane, nieubezpieczone i niekochane. I parę takich, na które przyszła po prostu pora.

Pozwolono nam patrzeć z bezpiecznej odległości. Laweta z dźwigiem podniosła capri z ziemi i przewiozła tam, gdzie czekał gigantyczny wózek widłowy. Wózek ostrożnie przetransportował capri pod dźwig. Kiedy się wycofał, ramię dźwigu zatoczyło krąg i nad dachem samochodu zawisło pięć potężnych stalowych szczęk. Szczęki otworzyły się i zjechały w dół z pierwotnym jękiem metalu. Wbiły się w capri, podniosły je z ziemi, a potem opuściły z powrotem na dół. Od samochodu odpadły koła. Był w tym wszystkim jakiś element okrutnej teatralności, podobnie jak w zapasach, w których mężczyźni ubrani są w elastyczne trykoty i noszą na twarzach maski. Drobiazgowo wyreżyserowana przemoc, która mimo premedytacji nie jest wcale mniej realna.

Metalowe szczęki nadal trzymały capri. Podniosły je wyżej i dźwig zatoczył krąg do przypominającej olbrzymią gofrownicę maszyny, która stała pod stromą górą powykręcanej stali. Ramię dźwigu wstawiło capri do gofrownicy. Kiedy pokrywa się zatrzasnęła, szyby samochodu eksplodowały, rozpryskując się na miliony kawałków.

Olbrzymia gofrownica otwierała się i zamykała do chwili, gdy capri przestało w ogóle przypominać samochód. Ramię dźwigu wróciło, podniosło je z gofrownicy i zaczęło rozrywać na strzępy niczym sęp, który pożera ofiarę wypadku. Moja mama odwróciła wzrok. W końcu dźwig podniósł capri i zrzucił je na górę poskręcane metalu.

Matka wsunęła dłoń pod pachę ojca, w geście, który zrodził się, kiedy nie mieli jeszcze dwudziestu lat, i który nigdy im się nie znudził. Oparła głowę o jego ramię. Miała łzy w oczach, ale tato był wyraźnie ożywiony.

Kiedy ustał hałas, mrugnął do mnie i szturchnął w żebra, po czym wskazał głową górę martwych samochodów i uśmiechnął się, jakby coś mu się upiekło.

— Nie mogę narzekać — oświadczył. — Na pewno za niego nie przepłaciłem.

Patrzył na to, co było niegdyś jego samochodem, ale myślał o czymś innym.

*

Siedziałem w czerwonym pluszowym fotelu w ostatnim rzędzie parteru i nikt się mną nie interesował.

O tej porze dnia nie było tu zbyt wiele osób. Jedna z asystentek reżysera rzuciła mi dziwne spojrzenie, kiedy szła po kawę, ale nic nie powiedziała, wracając. Chyba dlatego, że byłem ubrany jak dozorca.

Obserwowałem, jak chuda apodyktyczna kobieta — Lara wyjaśniła mi, że to choreografka — chodzi po scenie między dwunastoma mężczyznami. Nazywała ich chłopcami i rzeczywiście większość miała koło dwudziestki, ale występowało tam także kilku, którzy dawno przekroczyli trzydziestkę i nawet wykazując mnóstwo dobrej woli, trudno było ich określić tym słowem.

Wybierając i odrzucając tancerzy, choreografka wskazywała ich, wymieniając nazwę i kolor garderoby. Niektórych znała z imienia. Znała sporo imion. Ale nie mogła znać wszystkich. Przez cały czas pojawiali się nowi. Poza tym odpadali dawni chłopcy i dziewczęta. Ale nawet jeśli identyfikowała kogoś wyłącznie po kolorze ubrania, wszyscy w jakiś sposób wiedzieli, o kim mowa. Nie wiedzieli tylko, czy zostali wybrani, czy odrzuceni, czy są dalej potrzebni, czy nie. Czy są dobrzy.

— Diego... chłopak z opaską na czole... bojówki... Johnny... dziewczyna w koszulce Penguina... czerwony top.

Obserwowałem ich twarze od owej strasznej chwili, kiedy nie wiedzieli, czy kazano im zostać, czy odejść, do chwili, kiedy dowiadawali się, że zostali przyjęci lub odrzuceni.

— Proszę na lewo — powiedziała choreografka. — Reszcie bardzo dziękujemy. — Klasnęła dwa razy w dłonie, tłumiąc w zarodku pomruki radości i rozpacz. — Następna grupa.

Zobaczyłem, że Lara czeka za kulisami.

Na tym etapie chłopcy i dziewczęta tańczyli osobno, podobnie jak to się dzieje na szkolnym balu. Ci, którzy nie tańczyli, stali na skraju sceny, ucząc się kroków, poruszając się w rytm muzyki, oceniając konkurs i rozmasowując bolące miejsca.

Lara masowała od tyłu prawą nogę. Z tego, jak zachowywała się podczas snu, domyślałem się, że odczuwa teraz ból prawie bez przerwy. W obu ścięgnach podkolanowych.

I prawym biodrze. W tych miejscach, gdzie mięsień trzyma się kości i tancerz czuje, ile ma mil na liczniku. Wybiegła na scenę razem z grupką dziewczyn.

— Zaczynajcie od *Kim jest ten prywatny detektyw?* — poleciła choreografka

Asystentka puściła taśmę i zabrzmiało to jak musical z późnej epoki disco. To był popisowy numer Watsona wykonywany w finale *Sherlocka!* Mieli tańczyć za solistą, pstrokata zbieranina edwardiańskich dżentelmenów, kwiaciarek i policjantów w cylindrach.

Kim jest ten prywatny detektyw z opryskliwym kumplem?

To proste, to proste.

— Zróbcie to z większym biglem — poleciła choreografka. Dziewczyny poruszały się jak stado ptaków, jak ławica

ryb. W tym momencie znały już ruchy i doszły do stanu, kiedy mogły je wykonywać, w ogóle nie myśląc. Obserwowałem Larę. Zdawałem sobie sprawę z obecności innych, ale patrzyłem tylko na nią.

*Jeden włos albo krwawa plama,
genialnemu umysłowi to wystarcza.
Tak jest, zażywa czasem koki, ale się **nie skarżą**,
bo to proste.*

— Krok, pchnięcie, krok, krok, kontakt, wymach... mocne ramiona!
— komenderowała choreografka. Krążyła dokoła tańczących niczym nauczycielka w sali egzaminacyjnej, klaszcząc w dłonie, obserwując ich spod zmrużonych powiek, nie dając wypaść z rytmu. — Siedem, osiem... do psów z PIEKŁA RODEM... krok, obrót, krok, kontakt... starczy, starczy.

*Z Baker Street do psów z piekła rodem,
kto jest królem detektywów? Brutalna prawda
jest taka, że to proste.*

Kiedy muzyka się skończyła, Lara stanęła w miejscu, oparła dłonie na obolałych biodrach, nabrała powietrza w płuca, policzyła do czterech i dopiero wtedy bardzo powoli je wypuściła. Słony pot zapiekł ją w oczy i zamrugała powiekami. Chuda jak szczapa choreografka chodziła między nimi

ze wzrokiem utkwionym w reżyserze, niczym licytatorka wpatrująca się w najbogatszego człowieka na sali. Czeka ją, aż dobieje targu.

— Dobrze, dobrze. Dziewczyna w czerwonym... Megan... dziewczyna w bieli... różowe szorty... Debbie... Coco... przechodzą na lewą stronę. Reszcie bardzo dziękujemy.

Lara była dziewczyną w bieli. I przeszła na lewą stronę. Nie sądzę, by zdołała mnie dojrzeć w ostatnim rzędzie parteru, jednak schodząc ze sceny, uśmiechnęła się i pokazała podniesione kciuki wszystkim tym ginącym w mroku, obitym czerwonym pluszem, pustym fotelom.

*

— Może wszystko będzie dobrze — powiedziała Lara, przytrzymując szerokie rondo weselnego kapelusza, by nie porwał go jesienny wiatr. — Może będzie dobrze.

Próbowała mnie pocieszyć. Staliśmy na stopniach urzędu stanu cywilnego, czekając, aż zakończy się poprzedni ślub i będziemy mogli wejść do środka. Z sali wyszli roześmiani mężczyzna i kobieta w średnim wieku i zostali natychmiast obrzuceni płatkami konfetti przez krewnych i przyjaciół. Lara, Ruby, Nan i ja cofnęliśmy się o dwa kroki, lecz wiatr sypnął nam płatkami w twarze i weszliśmy do urzędu pokryci strzępkami papieru w pastelowych kolorach. Lara dodała mi otuchy, ściskając moje ramię, a ja pokiwałem głową na znak, że doceniam jej starania. Ale jak miałem się czuć? Byliśmy obsypani konfetti, zanim jeszcze zaczął się ślub naszego syna. To nie było w porządku. Nic nie było w porządku.

— „Urząd stanu cywilnego — świadectwa urodzenia, ślubu i zgonu” — przeczytała Ruby, wpatrując się w złożony napis nad drzwiami. — O które świadectwo nam chodzi?

O wszystkie trzy, pomyślałem.

— Bądź miła — upomniała ją Lara.

W środku było już kilka znajomych twarzy. Moi rodzice — tato w starym garniturze, mama w kapeluszu tak nowym, że ścisnęło mi się serce. Zrobiła sobie ondulację — jedną z tych przypominających średniowieczny hełm fryzur w stylu Margaret Thatcher.

Był tam Keith — Ruby wciąż nazywała go wujkiem Keithem, lecz Rufus pomijał to słówko i w dziwny sposób odmładzało to starego Keitha. Twarze z pracy Rufusa. Faceci z ochrony. Mała muzułmanka. Ale koledzy ze szkoły odpłynęli, a występując w pubie, nie zdażył nawiązać nowych znajomości. Rufus zainwestował wszystko w tę jedną nieciekawą kobietę, i to było tak, jakby ktoś, kogo kochasz, spuszczał swoje życie wraz z wodą w klozecie.

Strona Nancy była lepiej reprezentowana. Sporo kolczyków, zwłaszcza u mężczyzn. Wyglądali, jakby wybierali się do Ascot, żeby obrobić paru frajerów. Twardzi faceci w przyciasnych garniturach, z krótko przyciętymi włosami albo w ogóle bez włosów. Kobiety o wyglądzie prostytutek ze sztucznymi piersiami i złotymi łańcuszkami na kostkach. To akurat były jej babcie.

Lara pociągnęła mnie w środek tłumu i usiłowała przedstawić kilku osobom. Ale matka Nancy, fertyczna pięćdziesięcioletnia blondynka ze wspaniałymi nogami i tatuażem West Fłam United, oraz ojciec Nancy, któ-

regu wolelibyście nie spotkać nawet w dobrze oświetlonej alejce, byli oboje z nowymi partnerami, więc spotykając się z rodzicami, mieliśmy przed sobą cztery osoby. Słabo się uśmiechnąłem. Wszystko to było dla mnie zbyt skomplikowane. Wszystkiego było za dużo.

W końcu pojawili się oni. Pan młody, panna młoda i pamiątka panny młodej z poprzedniego związku, chłopczyk ubrany w garnitur i muszkę, co upodabniało go do cyrkowej małpy. Gdyby matka nie trzymała go mocno za rękę, przysięgłbym, że mógłby czymś pożonglować. Weszliśmy gęsiego do sali, gdzie miało dojść do zawarcia małżeństwa.

— Przystań wzdychać — syknęła na mnie moja żona. ' Ale Bóg najwyraźniej odwrócił od nas swoje oblicze. Nie

było panny młodej w bieli, nie było najdłuższego dnia w waszym życiu i świetlanej przyszłości. Wyłącznie mój syn ślubujący wierność starszej od siebie ciężarnej kobiecie z cudzym bachorem przy boku, chłopczykiem w muszce, który dłużył w nosie, a następnie z uwagą przyglądał się swoim znaleziskom. Chciałem, żeby to się skończyło. Chciałem wrócić do domu.

Urzędnik stanu cywilnego mamrotał formułki. Stary grubas uśmiechał się i można było uwierzyć, że Rufus i Nancy nie są dziesiątym tego dnia małżeństwem na jego liście. Prawił normalne w takich okolicznościach banały bez rąbka nadziei, że mogą nam sprzyjać niebiosy. Lecz potem zabrała głos panna młoda: zamierzała złożyć tradycyjną irlandzką przysięgę małżeńską. Urzędnik rozpromienił się. Nie wiedziałem, że jej rodzina to Irlandczycy.

— Niechaj twoja obecność będzie dla mnie tym, czym jest światło dla oczu, czym jest chleb dla głodnego, czym jest radość dla serca — powiedziała. — Oto ręka, którą ci daję, abyśmy związali się na całe życie i abym dożyła z tobą starości.

A ja po raz pierwszy spostrzegłem, że ma na sobie jasnożółtą suknię, chyba odpowiednią na drugi ślub.

Ciąża była wyraźnie widoczna, lecz teraz, kiedy przyjrzałem się lepiej Nancy, dostrzegłem, że jej twarz złagodniała. Tak, jakby ten dzień pozba-
wił ją całej agresji i rozgoryczenia.

I w tym momencie ulotnił się cały mój cynizm: miałem wrażenie, jak-
by ktoś oczyścił ranę z trucziny.

Kiedy Rufus odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, nikt nie mógł mieć
cienia wątpliwości, że ją kocha, że to najszczęśliwszy dzień w jego życiu i
że bez względu na to, co przyniosą nadchodzące lata, jest tam, gdzie powi-
nien dzisiaj być.

I kimże byłem, żeby im tego odmawiać? Kim byłem, by twierdzić, że
mój syn marnuje swoje życie? Być może moje mroczne obawy spełnią się
co do jednej, jednak dzisiaj nie sposób było nie przyznać im przywileju
wątpliwości, zwłaszcza gdy zobaczyłem, co chłopiec — Alfie, miał na imię
Alfie — trzyma w ręku i co nie było wcale babą wydłubaną z nosa. W ma-
łej piątce ścisną obrączki i kiedy podał je urzędnikowi, jego matka i mój
syn uśmiechnęli się, spoglądając na jego krótką marchewkową grzywkę.

Tak jest, pomyślałem. Może jeszcze wszystko się ułoży.

Lara wiedziała, że da sobie radę.

Ostatniego dnia przesłuchań czuła przeszywający ból. W ścięgnach i w prawym boku, tam gdzie biodro czasem niechcący spotka się z najniższym zębem. Wiedziała jednak, że da sobie radę, i kiedy o tym mówiła, wystarczyło spojrzeć jej w oczy, by mieć pewność, że się nie myli. Technicznie była lepszą tancerką od nich wszystkich, absolwentek szkół baletowych i dramatycznych.

Zagrała muzyka. Zaczęli tańczyć. To był kawałek o prywatnym detektywie i jego opryskliwym kumplu.

A potem, kiedy muzyka ucichła, chuda jak szczapa kobieta popatrzyła na starego faceta na parterze i powiedziała:

— Dziewczyna w bieli... dziękujemy bardzo.

Lara stała w miejscu, powoli uświadamiając sobie klęskę. Choreografka przecięła szybko scenę i dotknęła jej ramienia. Czy był to rzadki przejaw współczucia, czy chciała po prostu mieć to z głowy? Chciała, żeby do dziewczyny w bieli to dotarło i żeby zeszła ze sceny?

Nie usłyszałem jej — nikt nie mógł jej usłyszeć — ale odczytałem z warg jej słowa.

— Przykro mi, kochana — powiedziała. — Nie te lata.

*

Lara siedziała na skraju naszego łóżka, masując obolały bok. Chciałem jej powiedzieć, że odmowa nic nie znaczy, że była najlepsza w całej grupie, że jestem z niej dumny i w ogóle.

Ale musiałem to sobie odpuścić, bowiem bólu nie dało się dłużej ignorować. Nie mogłem go już uzasadniać zbyt wielkimi wymaganiami, które stawiała swojemu ciału. Nie mogłem go lekceważyć. Ból zabarwiał wszystko.

— Naprawdę musisz z tym pójść do lekarza — stwierdziłem. — Wiesz o tym, prawda? Coś jest nie tak.

Lara wyprostowała się i spojrzała na mnie. Bolało ją wszystko. Nie musiała mi tego mówić. Widziałem to.

— Tak — odparła znużona. — Pójdę.

Czekałem. Lara zdjęła ubranie i została tylko w majtkach i T-shircie, lecz ja nadal czekałem. Uśmiechnęła się do mnie.

— Obiecuję, słyszysz? Nadal stałem w miejscu.

— Kiedy? Kiedy pójdziesz do lekarza? Nie można z tym czekać. Musisz iść natychmiast.

— Czy zanim pójde, mogę zrobić jedną rzecz?—zapytała, nadal się uśmiechając. — Wolno mi?

Ale ja się nie uśmiechałem. Byłem poirytowany i przestraszony.

— Dlaczego nie możesz iść od razu? — odparłem. Lara roześmiała się ze mnie.

— Och, George — powiedziała, potrząsając głową. — Taki jesteś cholernie dorosły.

Tej nocy spała całkiem dobrze. Nie potrafiłem tego wyjaśnić.

W jej oddechu nie słyszałem żadnych przerw, które sygnalizowałyby ból i dyskomfort. Noc była zimna — wszystkie noce były teraz zimne —

ale łóżko rozgrzało się od naszych ciał i w którymś momencie Lara, nie budząc się, gwałtownie zrzuciła z siebie kołdrę.

Leżąc na brzuchu, wystawiła ku mnie nagie plecy, to ciało, które znałem lepiej od własnego.

Lecz ja nie mogłem zasnąć. Tej nocy źle spałem, a może nawet nie spałem w ogóle. Przyszło mi do głowy, że skoro nie mogę zasnąć, być może uda mi się pomodlić. Ale modlitwa była tak samo odległa jak sen.

Patrzyłem więc na plecy mojej pogrążonej we śnie żony, wypatrując konstelacji gwiazd między znajomymi pieprzykami i piegami.

Rozdział dwudziesty trzeci

W basenie moich rodziców unosiły się niczym łuski od pocisków dwie puszki red bulla.

Kiedy wyłowilem je z wody siatką do liści, tato stanął przy moim boku.

— To nowe zjawisko, tato — powiedziałem. — Nazywają je nocnym pływaniem.

— Nocnym pływaniem? — powtórzył za mną ojciec i zobaczyłem w jego oczach błysk niepokoju. Wiedziałem, że czasami zastanawia się, czy dowiaduje się o czymś po raz pierwszy, czy też powiedziano mu o tym wcześniej i zapomniał.

— No wiesz — wytłumaczyłem mu łagodnie. — Szukają w Internecie domów z basenami. Na Google Earth. W Internecie, rozumiesz?

— W komputerze — odparł tato.

— No właśnie. A potem te małe sukinsyny przychodzą, kiedy ludzie śpią albo ich nie ma, i kąpią się. Urządzają sobie imprezę w twoim basenie.

— Dobrze się bawią — mruknął ojciec.

Mama przecięła trawnik i objęła ojca w pasie. Wszyscy spojrzeliśmy na wodę. Nie była już taka nęcąca w bladym jesiennym słońcu.

— Może będziemy musieli zlikwidować basen — powiedziała. — Więcej z nim kłopotów niż korzyści.

Wiedziałem, że teraz, kiedy ojciec nie czuł się najlepiej, obawiała się, że basen może się okazać niebezpieczny.

— Cholerne szczeniaki — mruknęła.

— Nocni pływacy — oznajmił spokojnie ojciec, jakby było czymś całkowicie zrozumiałym, że obcy wdzierają się do jego domu, kiedy śpi, a potem oczekują, że po nich posprzątam.

Nocni pływacy.

Tato nie był na nich wcale wściekły. Ale nie miałem o to do niego pretensji. Ponieważ ja byłem wściekły za nas obu.

*

Zaczekałem, aż rodzice pójdą spać, i przyniosłem do domu wiatrówkę kaliber **22**, którą kupiłem wcześniej w Internecie i trzymałem w bagażniku auta Lary. Usiadłem po ciemku w kuchni ze strzelbą między nogami i uchyliłem okno nad

zlewem, bym mógł wysunąć przez nie lufę, kiedy nadejdzie pora. Basen w ogrodzie lśnił niczym czarne szkło w świetle księżyca.

Wiedziałem, że Keith wyśmiałby moją wiatrówkę. Ale mogła zostawić komuś bliznę do końca życia. Mogła wyłupić komuś oko. Keith mógł się

śmiać, ale wiedziałem, że coś takiego może diametralnie zmienić czyjeś podejście do sprawy.

— George — odezwała się Lara i poczułem jej dłoń na ramieniu.

— Tylko z nimi pogadam — odparłem, nie patrząc na nią. Potrząsnęła głową i westchnęła. Słyszałem, że na górze

mama pomaga tacie w łazience. Łagodna zachęta z jednej, słaby opór oraz skargi z drugiej strony. Nie brzmiało to tak, jakby byli małżeństwem — bardziej przypominało dialog rodzica i dziecka, i to łamało mi serce.

— Miał dobry dzień — powiedziała Lara, bardzo cicho, ale tak, jakbym właśnie stwierdził coś przeciwnego.

— Ale są coraz rzadsze — odrzekłem ze smutkiem. — Dobre dni są coraz rzadsze.

Zmrużyłem oczy i pochyliłem się do przodu, widząc jakiś ruch w ogrodzie. Spomiędzy różanych krzaków wyłonił się młody lis. Przez chwilę węszył przy ziemi, po czym ruszył dalej.

— To nadal on — pocieszała mnie Lara. — To nadal twój tato.

— Na ogół to on — odparłem, myśląc o tym starym mieczu Zen. *Jeśli zmienisz ostrze, a potem zmienisz rękojeść... czy to nadal ten sam miecz?* — Ale kiedyś nadejdzie dzień, kiedy to nie będzie on. Nie będzie chłopcem, w którym się zakochała, mężczyzną, za którego wyszła. Nie będzie jej mężem. Nie będzie moim tatą, lecz kimś innym.

— Nie — zaprotestowała Lara głosem, który niewiele różnił się od szeptu. — To będzie nadal on.

Zwiesiłem głowę, przyciskając lufę dwudziestkidwójki do twarzy, a potem podniosłem wzrok i uśmiechnąłem się.

— Tak — zgodziłem się. — Oczywiście.

Wzięła mnie za ramiona. Poczulem jej oddech na twarzy. Jej głos w moim uchu.

— Proszę cię, nie bądź taki wściekły — starała się mnie ułagodzić.
— Nie bądź taki wściekły na wszystko.

Odwróciłem głowę i spojrzałem na nią.

— Pójdiesz tam wreszcie? — zapytałem. — Pójdiesz w końcu do tego cholernego doktora?!

Popatrzyła na mnie przez dłuższą chwilę i pokiwała głową.

— Idę jutro — odpowiedziała.

I nagle usłyszeliśmy głosy. Zerwałem się na nogi i przystawiłem strzelbę do ramienia. Lara położyła mi rękę na barku, ale odsunąłem się od niej. Chciałem kogoś skrzywdzić. Chciałem skrzywdzić ludzi, którzy przychodzili w nocy do naszego ogrodu.

Wyszli w tym samym miejscu co lis. Dwuosobowa drużyna pływacka. Spojrzeli na dom i zobaczyli, że nie palą się w nim żadne światła. Mieli długie włosy i z początku pomyślałem, że to dwie dziewczyny. Ale miałem przed sobą mężczyznę i kobietę. Pochyliłem się nad zlewem i wystawiłem cicho lufę strzelby przez otwarte okno.

Zobaczyłem, że zdejmują dzinsy i T-shirty i wślizgują się bezgłośnie do basenu. Przycisnąłem kolbę wiatrówki do ramienia, dotknąłem palcem spustu i wstrzymałem oddech. Zniknęli pod wodą i po kilku sekundach wynurzyli się z powrotem. Mój palec zacisnął się na spuście i przesunął lekko do tyłu. A potem zobaczyłem, że stykają się ich głowy. Zobaczyłem, że się

całują. I poczułem przy sobie moją żonę. Uświadomiłem sobie, że ona też to widzi.

Wyciągnąłem lufę wiatrówki zza okna i postawiłem ją przy nodze. Lara wzięła mnie za rękę i patrzyliśmy na nich razem. Choć właściwie nie było dużo do oglądania. Ich głowy sunęły bezgłośnie po wodzie. Stykały się na parę chwil, a potem oddalały. Czarne cienie na czarnym tle i lśniące na głowach pływaków krople wody, w których odbijało się nocne światło.

Lara powiedziała w pewnej chwili, że coś takiego musi czuć David Attenborough, podglądając dziką przyrodę, i oboje się roześmieliśmy, bardzo cicho, w ogóle tego nie komentując. Nie było czego komentować. Wiedziała, że ja też to widzę.

Byli piękni.

W którymś momencie odłożyłem strzelbę, przyciągnąłem do siebie Larę i obejmując się, patrzyliśmy, jak chłopak i dziewczyna w basenie zatacają się w nocnym pływaniu.

Dopiero na godzinę przed świtem wynurzyli się w końcu z basenu, drżąc w chłodnej porannej mgiele, śliscy niczym dwie młode foki i osrebrzeni tym, co zostało ze światła gwiazd.

Rozdział dwudziesty czwarty

Można to było poznać po jej butach.

Wszyscy w *milondze* mogli to poznać po jej butach. Były na wysokich obcasach, z paskami i cienką skórzaną podeszwą. Czarne jak noc. Lśniące jak lustro. Jej buty mówiły, że przyszła tu tańczyć.

Powtarzano to bez przerwy w Buenos Aires. Jeśli nie przyszedłeś tańczyć, włóż tenisówki albo sandały. Jeśli nie przyszedłeś tańczyć, ubierz się jak ktoś, kto podpira ściany, jak turysta. Buty Lary wyróżniały ją jako tancerkę.

Milonga, która jest czymś w rodzaju prowizorycznej sali tanecznej, znajdowała się w centrum sportowym w spokojnym *barño* w Barracas, na południu miasta. Samo miejsce było niespodzianką. Wiedziałem już, że tango mało ma wspólnego z eleganckimi parami oglądanymi w *tangueriach* podczas kolacji, na które dowożone są autobusy turystów. Spodziewałem się zadymionego baru z kilkoma panienkami lekkich obyczajów i marynarzami na przepustce, czegoś, co odzwierciedlałoby plebejskie korzenie tań-

ca. Jednak ta *milonga* mieściła się w sali gimnastycznej, na której ścianach wisały obręcze do kosza. I była autentyczna.

Staliśmy z Larą na skraju parkietu i obserwowaliśmy taniec. Wszystkie pary poruszały się w kierunku odwrotnym do wskazówek zegara, jakby chciały, by czas biegł do tyłu. Tancerze i tancerki byli w każdym możliwym do wyobrażenia wieku. Zaledwie kilkunastoletni chłopcy tańczyli z kobietami, które mogłyby być ich matkami. Emerycy obejmowali się niczym młodzi kochankowie. Ubrany w niebieski garnitur mężczyzna koło sześćdziesiątki partnerował młodej kobiecie w krótkim T-shircie, spod którego wystawał płaski i twardy jak tarka brzuch. W *milondze* wiek nie ma żadnego znaczenia. Liczy się tylko to, jak tańczysz.

Lara uśmiechnęła się do mnie, wzięła za rękę i pociągnęła na parkiet. To było niczym dołączenie do ławicy ryb. Nie było tam miejsca, lecz mimo to je znaleźliśmy. Czuję, jak ze strachu ssie mnie w dołku i jak uwierają mnie nowe buty, wybrane ze względu na cienkość podeszwy. Uśmiechając się nieśmiało, przybraliśmy pozycję i zaczęliśmy liczyć. Biorąc lekcje w Confiterta Ideal w Suipachy, nauczyliśmy się nie tylko kroków, lecz również etykiety tanga, i po sześciu dniach wiedzieliśmy, że przed rozpoczęciem tańca trzeba policzyć osiem *compases*, czyli taktów.

A teraz, siódmego dnia, zatańczyliśmy.

Szło mi nieźle. To znaczy nie deptałem jej po palcach i nie zrobiłem z siebie kompletnego idioty. Nie wywróciłem się. A ona była oczywiście piękna — radością było ją obejmować, podziwiać i z nią tańczyć, gdy dostosowywała się do mojego nieporadnego prowadzenia, prawie niedostrzeżalnie przenosząc ciężar z nogi na nogę. Jej stopy w butach na wysokich

obcasach wydawały się w ogóle nie odrywać od parkietu, a mimo to były w ciągłym ruchu, nigdy nie odpoczywały, urzekały gracją, płynnością i szybkością — to właśnie dostrzegałem, tańcząc z Larą, dostrzegałem zawsze, gdy z nią tańczyłem. To, jak udawało jej się wykonać dziesięć ruchów na każdy jeden, który ja wykonywałem. I tak właśnie tańczyliśmy, poruszając się przez cały czas w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara.

Przetańczyliśmy pięć melodii i kiedy zaczęła się przerwa, Lara uśmiechnęła się do mnie, wzięła za rękę i sprowadziła z parkietu. I nagle zauważyłem, że przygląda nam się jakiś mężczyzna.

Mniej więcej pięćdziesięcioletni, śniady i szczupły, miał potężną falę czarnych, przetykanych srebrem włosów, z których był najwyraźniej dumny. Jeśli coś wskazywało na jego wiek, to połączenie dzinsów i marynarki. Podeszedł do nas. A właściwie podeszedł do Lary.

Jego oczy były tak ciemnobrązowe, że wydawały się niemal czarne. W porytej zmarszczkami atrakcyjnej twarzy świeciły się białe zęby. Z bliska wyglądał na swoje lata, ale robił zarazem jeszcze bardziej imponujące wrażenie. Niektórzy twierdzą, że portenos z Buenos Aires są najprzystojniejszymi mężczyznami na świecie. Ten facet z pewnością stanowił potwierdzenie tej reguły.

— *Permiso* — powiedział. — *i Como andas?*

— *No entiendo* — roześmiała się Lara. — *i Usted habla ingles?*

— Nie — odparł i ukłonił się. To był subtelny lekki ruch podbródka — gdybym mrugnął, pewnie bym go nie zauważył. Lara przez chwilę mu się przyglądała, a potem zrobiła to samo. Facet wyciągnął rękę. Lara ujęła ją. I zatańczyła z nim. Nie tak jak tańczyła ze mną. Zatańczyli naprawdę.

W Confiterta Ideal powiedziano nam, że tango jest „emocją, którą się tańczy”. Można by to uznać za slogan przeznaczony dla turystów, gdyby nie współbrzmiało tak idealnie z tym, co Lara mówiła zawsze o musicalach, w których zakochała się, będąc dzieckiem. Kiedy serce wzbiera uczuciami, nie mówimy, lecz śpiewamy. Kiedy te uczucia zaczynają się przelewać, nie śpiewamy, lecz tańczymy. Stałem i patrzyłem, jak tańczą. Nie byłem w tym odosobniony.

Pary, które kończyły tańczyć, stawały na skraju parkietu i obserwowały ich. I kiedy zrobiło się więcej miejsca, Lara i mężczyzna wypełnili je, ich ruchy stały się bardziej ekspansywne. To było prawdziwe tango, podobne do tego, które tańczono sto lat temu w burdelach i barach portowych. Nie miało nic wspólnego ze smokingami, sukniami wieczorowymi, kolacjami składającymi się z pięciu dań i autobusami, które dowożą turystów do modnych nocnych klubów. Odznaczało się surowym pięknem zrodzonym w najędzniej-szych slumsach Afryki, Europy i Ameryki Łacińskiej. Przypominało przełożone na język baletu uprawianie miłości. I można było ich tylko oglądać.

Kiedy muzyka umilkła, Lara skłoniła głowę i zgodnie z tradycją podziękowała mężczyźnie. On też się uklonił i o coś ją zapytał — nie trzeba było znać *castellano*, jak *porteños* nazywają swoją hiszpańszczyznę, i nie trzeba było nic wiedzieć o etykiecie tanga, by domyślić się, że pyta, czy Lara zatańczy z nim później wieczorem.

Jej twarz lśniła od potu i szczęścia. Stała wyprostowana jak struna, jakby nie można jej było złamać. Nigdy jeszcze tak bardzo jej nie kocha-

łem. I potrzęsnęła głową — nie. Mężczyzna patrzył za nią, kiedy do mnie podeszła. Patrzyli za nią wszyscy faceci i wszystkie kobiety w *milondze*.

— Możemy teraz wracać do domu — powiedziała.

TLR

Rozdział dwudziesty piąty

Stąpając bosymi stopami po mokrej trawie, szedłem w stronę basenu rodziców razem z chłopcem człapiącym obok mnie z siatką do zbierania liści, którą trzymał nad głową niczym flagę.

Kiedy zbliżyliśmy się do wody, dotknąłem jego ramienia, a on zatrzymał się i popatrzył na mnie. Uśmiechając się, pomyślałem, że będę musiał wkrótce ogrodzić basen płotkiem.

Słyszac dochoozący z domu śmiech, spojrzeliśmy w górę. Mój tato i moja córka siedzieli nad szachownicą rozłożoną na stole ogrodowym. W ciągu ostatniego roku Ruby uznała, że szachy są dobre dla dziadka, i teraz trzymała ręce na brzuchu i odchyłała się z uśmiechem do tyłu, a ojciec gładził się po twarzy i zastanawiał nad następnym ruchem.

Chłopiec i ja podeszliśmy do skraju basenu, zostawiając ślady mokrych stóp na otaczającym go betonie. Alfie wpatrywał się z poważną miną w unoszące się na wodzie liście. Zbliżała się zima i wiedziałem, że czeka nas jeszcze kilka niedziel podobnych do tej. To podnosiło mnie na duchu i wie-

działem, że chłopiec czuje to samo. Ze wszystkich zajęć, przy których mi pomagał, najbardziej lubił zgarnianie liści.

Zabraliśmy się do pracy: chłopiec przesuwiał siatkę po wodzie, a ja niczym instruktor, który pomaga wziąć zamach golfiście, sprawdzałem, czy dobrze ją trzyma i czy przybrał prawidłową postawę. Czasami mruczałem instrukcje i słowa zachęty, czasami kazałem mu się cofnąć o krok, przeważnie jednak nic nie mówiłem, pozwalałem, żeby sam sobie radził.

Widać było, że ma do tego dryg.

Alfie obchodził dokoła basen, kładąc ostrożnie kupki mokrych liści za sobą na betonie. Kiedy skończył, wzięliśmy liście w ręce i zanieśliśmy je na tyły ogrodu, tam, gdzie leżały zeschnięte patyki i inne spadłe liście. Powiedziałem, że spalimy to wszystko później, kiedy wyschnie, a on pokiwał głową, jakby rozumiał. Wiedziałem jednak, że wolałby to zrobić teraz. Śmiejąc się, dotknąłem jego włosów i wróciliśmy do reszty.

Mój syn wychodził z domu, trzymając w ramionach własnego syna. Niemowlę płakało. Wyrzynały mu się pierwsze ząbki i jego rodzice czuwali przy nim przez całą noc. Kiedy podeszliśmy bliżej, płacz zmienił się z głośnego ryku w żalosne łkanie. Moja matka i Nancy wyszły z kuchni z tacami. Ruby podniosła ostrożnie szachownicę i przestawiła

ją na bok, starając się nie poruszyć figur. Ojciec uśmiechał się pod nosem. Jeszcze go nie pokonała. Kobiety nakryły do stołu. Coś ładnie pachniało.

—Popatrz — powiedział chłopiec. Znalazł w trawie długi cienki kij, zwęglony u jednego końca, i podał mi go.

— Wiesz, co to jest, Alfie? — zapytałem, badając kawałek drewna, a on potrząsnął głową. — To fragment rakiety.

Mały otworzył szerzej oczy.

— Prawdziwej rakiety? — zapytał. — Chyba nie prawdziwej?

— Prawdziwej rakiety — zapewniłem go, oddając kij. Podniosłem wzrok i zobaczyłem Larę, która stała w progu z opaską we włosach. Było w niej coś w nieokreślony sposób latynoskiego, ale poza tym wcale się nie zmieniła.

Zerknąłem na chłopca, żeby sprawdzić, czy nie zrobił sobie nic złego, nie wydlubie kijem oka czy coś w tym rodzaju, a kiedy ponownie podniosłem wzrok, nadal tam stała.

Uśmiechając się do mnie. Czekał na mnie.

— Do biegu! Gotowi! Start! — zawołałem, a Alfie roześmiał się, odrzucił zużyty fajerwerk i zaczęliśmy się ścigać po trawie.

Kiedy dobiegliśmy do naszej siadającej przy stole rodziny, wszyscy na nas spojrzeli. Niemowlę przestało płakać.

— Zobacz, tato — powiedział do mnie mój syn. — Uśmiecha się do mnie.

TLR